KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

3 (42)
lipiec sierpień wrzesień 2003
PL ISSN 0860-1917

Kwartalnik społeczno-kulturalny

Wyróżnienia IV Targów Książki Pomorskiej „Costerina" 2003

Z satysfakcją informujemy, że na ostatnich Targach Książki Pomorskiej w Kościerzynie, które odbyły się 23 sierpnia br. wyróżniono dwie publikacje ściśle związane z Kociewiem: zbiór opowiadań Andrzeja Grzyba „Ścieżka przez las. Czarna krew", wydany przez Wydawnictwo Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum" oraz pracę zbiorową „W kuchni i przy stole. Ksiónżka o jeściu na Kociywiu" pod redakcją Romana Landowskiego, która ukazała się nakładem Kociewskiego Kantoru Edytorskiego.

Indywidualne wyróżnienia autorom publikacji wręczono w czasie targów książkowych.

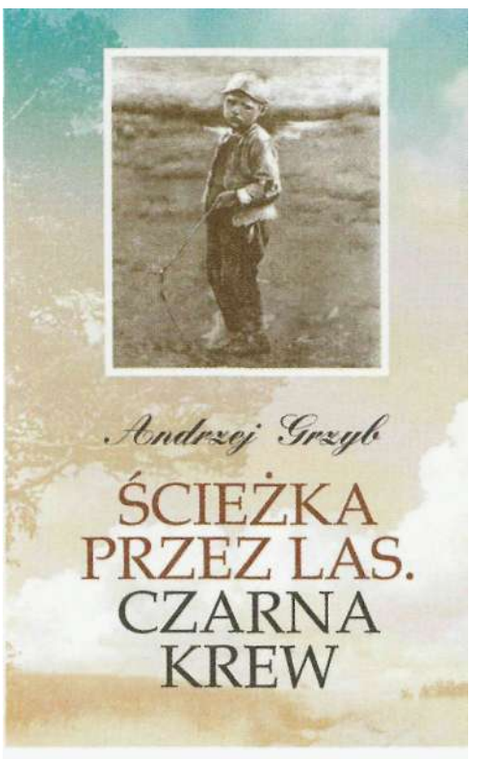

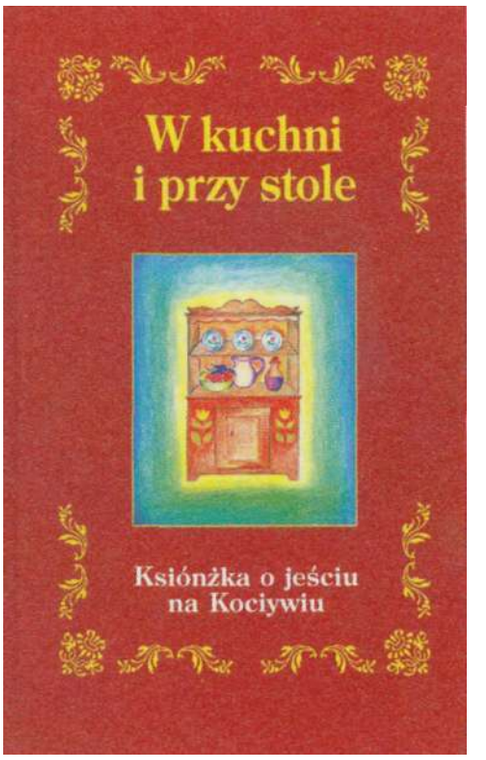

Jest to książka bardzo osobista, a więc dużo więcej niż autobiograficzna. Przeniknięta klimatem specyficznej szczerości dojrzewającej w miarę czytania, udziela się czytelnikowi jak intymna gawęda, słuchana o zmierzchu na progu domu lub w nikłym blasku tlącego się ogniska. Zbiór tych szczególnych opowieści składa się z sześciu samodzielnych tekstów - od *Ścieżki przez las* po *Czarną krew,* stanowiących klamrę całego zbioru. Każde opowiadanie jest niby odrębnym tematem, ale czytając je w zaproponowanej przez autora kolejności, uświadamiamy sobie, że pochodzą z tego samego nurtu fabularnego.

Książka Andrzeja Grzyba jest zapewne udaną próbą właściwego umiejscowienia Kociewia w dziejach Pomorza, zachętą do zwrócenia należnej uwagi na tę część nadwiślańskiego regionu - od średniowiecza po dramaty drugiej wojny światowej.

Zbiór tych opowiadań doskonale ułatwia rozumienie małych ojczyzn i odświeża obraz Kociewia.

(fragment recenzji Romana Landowskiego „Płynąc korytem rzeki")

Andrzej Grzyb, *Ścieżka przez las. Czarna krew. Opowiadnia.* WDP „Bernardinum, Pelplin 2003, nakład 600 egz., s. 104, form. 12,5 x 19,5 cm.

Można zapytać, dlaczego w ogóle wydano tę książkę i jakim celom ma służyć. Przede wszystkim zależało nam na zgromadzeniu rozproszonej dotąd wiedzy o kulturze stołowania na Kociewiu. Poza tym liczymy na to, że czytelnicy zechcą skorzystać z umieszczonych w niej przepisów. Należy przypuszczać, że publikacja przekona też kociewskich restauratorów, by wprowadzili do swoich jadłospisów proponowane dania regionalne, które przecież są bardziej atrakcyjne od hot-dogów, hamburgerów i równie obcych pizz. W ten sposób przypomną, że tradycyjna kuchnia ludowa, budząca dzisiaj duże zainteresowanie, jest jednym z ważniejszych elementów kultury regionalnej, przeżywającej na Kociewiu swoisty renesans.

Publikacja doczekała się już drugiego wydania, nieznacznie poprawionego. Pierwsze, przygotowane z okazji II Kongresu Kociewskiego 2000, rozeszło się w ciągu roku, co świadczy o szczególnym zainteresowaniu tego rodzaju literaturą.

(fragment. Wstępu do wydania drugiego)

W kuchni i przy stole. Ksiónżka o jeściu na Kociywiu. Kociewski Kantor Edytorski Tczew i PHU „Promocja" Starogard Gd. 2000, nakład 1000 egz., s. 202, form. 16,0 x 24,5, opr. twarda, ii.

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Skulteta
SEKCJA HISTORII MIASTA
TCZEW

KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

Kwartalnik społeczno-kulturalny

Nr 3 (42) lipiec • sierpień • wrzesień 2003 • PL ISSN 0860-1917

WYDANO ZE ŚRODKÓW BUDŻETU MIASTA TCZEWA

RADA PROGRAMOWA
Kazimierz Ickiewicz - przewodniczący
oraz Irena Brucka, Czesław Glinkowski, Andrzej Grzyb,
prof. Maria Pająkowska-Kensik, Józef Ziółkowski.

REDAKCJA
Roman Landowski redaktor naczelny
Wanda Kołucka sekretarz
Magdalena Pawłowska **skład**
Halina Rudko łamanie

PRZEDSTAWICIELE TERENOWI
Andrzej Solecki (Gniew), Marek Śliwa (Nowe)

WYDAWCA
Kociewski Kantor Edytorski
Sekcja Wydawnicza Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. Aleksandra Skulteta w Tczewie
dyrektor Urszula Wierycho

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
83-100 Tczew, ul. J. Dąbrowskiego 6, tel. (058) 531 35 50

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, zmiany tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych w nadesłanych tekstach.

Teksty oraz zdjęcia zamieszczone w niniejszym numerze zostały przekazane przez autorów nieodpłatnie.

NAŚWIETLENIE, MONTAŻ I DRUK
Drukarnia Wydawnictwa Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum"
Pelplin, ul. Biskupa K. Dominika 11

Nakład: 1000 egz.
Objętość: 6 ark. druk.

NA OKŁADCE
Już we wrześniu zawitała jesień
fot. **Jan Przychodzeń**

KMR

W NUMERZE

2 Od redaktora
KOCIEWIE BYŁO, JEST I BĘDZIE

3 Henryk Samsonowicz
O WIĘKSZEJ I MAŁEJ OJCZYŹNIE

5 Krzysztof Kowalkowski • KOCIEWSKA EMIGRACJA

8 Zdzisław Mrozek
PELPLIN WE WSPOMNIENIACH PODRÓŻNIKÓW

9 Mirosława Danielewicz
OTRZĘSINY PO KOCIEWSKU

10 Beata Łobocka
TCZEWSKIE OGNISKO WYCHOWAWCZE

12 JÓZEF CEYNOWA LAUREAT MEDALU STOLEMA

14 Izabela Kujot, Katarzyna Nowak
CZYM SKORUPKA ZA MŁODU...
O konkursie wiedzy o Tczewie

15 JUBILEUSZ ZYGMUNTA BUKOWSKIEGO

15 Zygmunt Bukowski • SMÓŁKI (wiersz)

15 Regina Kotłowska, Wioletta Grzemska
INNOWACJE PEDAGOGICZNE I EKSPERYMENTY

17 Krystyna Zbielska • PRZYJACIEL LUDZI

18 Jerzy Sobczak
ZGINĄŁ Z KRZYŻEM W DŁONI
Konterfekty

20 Józef Weltrowski
MOJA WYPRAWA NA SYBERIĘ
I NAD JEZIORO BAJKAŁ

22 Adam Murawski
PÓŹNO ODKRYTY TALENT

24 JERZY KAMIŃSKI

26 Magdalena Nierzwicka
SKARBY ZE SKRYPTORIUM

32 Tadeusz Linkner
NOWY BEDEKER KOCIEWSKI

34 Roman Landowski
UTWORY HUBERTA POBŁOCKIEGO
W ALMANACHU XI SPEKTRUM

35 Kazimierz Nowosielski
KSIĄDZ Z „PRADOLINY WISŁY"

36 Franciszek Kamecki • WIELKI PIĄTEK (wiersz)

36 Bernard Janowicz • KURÓNEK I KOKOSZKA

37 BERNARD JANOWICZ (1908-2003) • Nekrolog

37 Hubert Pobłocki
PACIYRZ ZA KOCIYWSKA DUSZA

38 Czesław Knopp • ŻOŁNIERSKIE WSPOMNIENIA
(dokończenie)

42 Witold Banacki • O NASZYM OJCU

47 NOWE TEKSTY KOCIEWSKIE

47 Marlena Zakrzewska
A WSZISKO BEZ TYGO BROJÓNA

48 Anna Kleszczewska • WIOSENNE PORZÓNDKI

48 HERB KOCIEWIA

Od redaktora

Kociewie było, jest i będzie

Dotarły do nas śmieszne i zaiste przedziwne informacje. Podczas jednej z konferencji prasowych w Starogardzie Gdańskim, któryś z żurnalistów pisma w nazwie mieniącym się „kociewskim", oświadczył że Kociewia nie ma. Najpierw spór toczył się o to, że Kociewia nie ma jako jednostki administracyjnej, potem że w ogóle nie istnieje taki region.

W pierwszym znaczeniu należy przyznać rację - nie ma żadnego w nazwie „kociewskiego powiatu" czy „kociewskiej gminy". Z tej też racji nie mamy szans na pozyskanie z funduszy unijnych jakichkolwiek środków pomocowych dla Kociewia. Unia Europejska nie uwzględnia nazw etnicznych, za region uważa tylko struktury administracyjne. Może dlatego niegdyś tak mocno walczyli nasi „starsi bracia" o to, by nazwać województwo kaszubskim lub kaszubsko-pomorskim.

Kiedy jednak z ust światłego niby człowieka pada stwierdzenie, że Kociewie jako region w ogóle nie istnieje, to światłość owego staje się co najmniej wątpliwa.

Przypomnijmy więc, choć wielokroć już o tym pisaliśmy, że o Kociewiu jako regionie etnicznym mówili i pisali najwybitniejsi znawcy przedmiotu - folkloryści, etnolodzy, dialektolodzy: Breza, Brukner, Bujak, Bystroń, Ceynowa, Gajek, Górnowicz, Haliczer, Kolberg, Kreja, Kujot, Labuda, Nitsch, Popowska-Taborska, Stamirowska, Stelmachowska, Stieber, Sychta, Taszycki, Zabrocki i wielu naprawdę bardzo wielu innych. Jeżeli te nazwiska nie mówią nic owemu żurnaliście, to wydaje o sobie nie najlepsze świadectwo.

Przypomnijmy też, że po raz pierwszy nazwa *Kociewie* została udokumentowana w 1807 roku przez ppłka Hurtiga w raporcie do gen. Dąbrowskiego. Można to sprawdzić na str. 278-279 w „Źródłach wojskowych do dziejów Pomorza" (Toruń 1933). Od tego czasu nazwa funkcjonuje w piśmiennictwie. Wśród ludu jednak nazwanie regionu mogło być używane dużo wcześniej, niektórzy uważają, że od setek lat.

Dziwne, że na owej konferencji nikt nie zaprotestował, a byli przecież na niej przedstawiciele miejscowej administracji. Z naszej strony zapewniamy, że Kociewie było, jest i będzie. Kto uważa inaczej to już jego bardzo osobista sprawa, bowiem dzisiaj każdy może wygłaszać własne brednie.

Roman Landowski

W ramach tzw. użytku publicznego, dla dobra upowszechniania wiedzy regionalnej, publikujemy przedruk tekstu znanego, prof. Henryka Samsonowicza, wygłoszony podczas VI Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury, który odbył się we wrześniu 1998 roku w Radomiu. Referat został następnie zamieszczony w publikacji książkowej „Tożsamość narodowa a ruch regionalny w Polsce", pozycji wydawniczej Krajowego Ośrodka Dokumentacji Regionalnych Towarzystw Kultury (Ciechanów, 1998).

HENRYK SAMSONOWICZ

O większej i małej ojczyźnie

Słowo „ojczyzna" w pisanej polszczyźnie pojawiło się w końcu XIV wieku i przynajmniej do XVIII stulecia oznaczało spuściznę po ojcach, wymiennie używane ze spuścizną po dziadach - dziedzictwem. W XVII stuleciu jeszcze ten termin funkcjonował jako określenie spadku, należnej części ojcowizny. „Ojczyzna moja zniszczona, dobrze, że stryjowizna ocalała", jak pisał pewien szlachcic po szwedzkim „potopie". Już jednak wcześniej pojęcie ojczyzny było używane też w znaczeniu szerszym, oznaczając dziedzictwo po przodkach należących do rozleglejszej wspólnoty, ludzi powiązanych tym samym językiem, prawem, historią pochodzeniem, terytorium. I dawniej i obecnie dziedziczy się imię, określone dobra materialne, wiedzę o swym pochodzeniu. Innymi słowy dziedzictwo - ojczyzna - wyznacza miejsce człowieka w czasie i w przestrzeni. Rodowym dorobkiem można się niekiedy szczycić, tym więcej, jeśli mieszczą się w nim nie tylko dobra materialne lecz także chwalebne wydarzenia, powszechnie uznawane zasługi przodków. Ten kto dziedziczy majątek, staje się posiadaczem dóbr, które określają jego pozycję w społeczeństwie. Dziedzictwem jest spadek nie tylko po ojcu, po rodzinie, ale także po szerszych wspólnotach. Człowiek żyje w gromadzie, zbiorowości. Ona mu zapewniała przewagę w walkach z drapieżnikami i podczas łowów na mamuty, ona określała formy jego pracy, dawała możliwości bezpiecznego bytu. Przynależność do wspólnoty była wartością, na ogół wartością odziedziczaną - ojcowizną.

Nie ma i nie było jednej tylko wspólnoty, do przynależności której pretendowali ludzie. Rodzina, ród, sąsiedztwo, plemię, związek plemienny-wyznaczały kręgi kolejnych, coraz to szerszych wspólnot. Wszystkie one były dla człowieka potrzebne i w przeszłości i teraz, gdy jest członkiem rodziny, narodu, wspólnoty religijnej. Zmieniały się w dziejach hierarchie tych wspólnot. Stracił na znaczeniu ród, nie odgrywają już roli w naszej strefie cywilizacyjnej plemiona, natomiast pojawiły się znacznie ważniejsze więzi międzyludzkie - państwowe i narodowe.

Niegdyś wspólna więź wyprowadzana była od wspólnego przodka. Ród oparty na związkach krewniaczych określał granice posiadłości ziemskich, udział we wspólnych pracach, z czasem i uzyskiwane przywileje. Nie jest zapewne sprawą przypadku, że w Polsce do XVI wieku używano około 40 określeń oznaczających bardzo precyzyjnie stopnie pokrewieństwa i powinowactwa. Nie istniała świadomość wspólnoty bez pamięci o jej przeszłości. Niekiedy sięgała trzech, czterech pokoleń, niekiedy - szczególnie wówczas, gdy nie słowo pisane, lecz mówione zapewniało wiedzę o przeszłości - także dawniejszych czasów. Nasz pierwszy kronikarz - Gall Anonim wymienia osiem pokoleń władców, poprzedników współczesnego mu Bolesława Krzywoustego. Obecnie rzadko kiedy pamięć młodych ludzi przekracza dwie generacje. Oczywiście wiedza o przeszłości dziedzictwa nie dotyczy jedynie ludzi. Nie byłoby przecież nas - Polaków bez wydarzeń, które wykształciły nasz obyczaj, język, charakter, określiły stosunek do sąsiadów bliższych i dalszych. Nasze dziedzictwo tworzyły dzieje, których doświadczenia i dziś kształtują nasze postępowanie i naszą wiarę. Chwała płynąca z dokonań przodków daje nam poczucie wartości. Klęski stanowią zbiorową naukę lepiej lub gorzej wykorzystywaną. W tym dziedzictwie mieści się też podstawowe narzędzie, które umożliwia nasze wzajemne porozumienie - język. Oczywiście w pierwszym rzędzie chodzi o mowę; łącznik Polaków ale i barierę wobec innych wspólnot. Chodzi też i o inne znaki dla nas zrozumiałe: wspólne dzieła rąk ludzkich na naszej ziemi stworzone, wzbogacające jej piękno, świadectwa naszej cywilizacji, naszych gustów i umiejętności. Nazwy sławnych miejscowości, imiona bohaterów - stanowią hasła wspólnie odbierane, rozumiane. Szczerbiec Chrobrego, ołtarz Wita Stwosza w Krakowie, warszawska kolumna Zygmunta, Wawel i Westerplatte, katedra Gnieźnieńska i sanktuarium w Częstochowie należą - jak i wiele innych do tych słów - kluczy, które pozwalają nam rozpoznawać się wśród obcych, a poprzez poznawanie własnej przeszłości lepiej rozumieć siebie samych. Ta więź języka, tradycji, więź geograficzna tworzy wspólnotę kto wie, czy nie najważniejszą dzisiaj, wspólnotę narodową składającą się z tych, którzy uważają się za Polaków.

Czy byłaby ona możliwa bez istnienia innej, państwowej wspólnoty? W XIX wieku także my, Polacy, daliśmy przykład światu, że może istnieć naród bez swego państwa. A kiedy powstał naród polski? Niektórzy badacze widzą jego początki wraz z powstaniem państwa, w X wieku, niektórzy znacznie później, już w dobie późnonowożytnej, w XVIII wieku. Liczne są sądy głoszące, że świadomość narodowa jest dobrze poświadczona już dla XIII-XIV wieku. Skąd te rozbieżności? Pomijając podstawowy problem związany ze spornymi definicjami narodu wydaje się, że można te stanowiska pogodzić. Różnice między definicjami narodu dotyczą nie tyle problemu jego zaistnienia w świadomości społecznej, co miejsca w hierarchii innych więzi łączących społeczeństwo. Ilu było ludzi, którzy w cza-

sach Mieszka I czuli się Polakami? Zapewne można by ich policzyć na palcach kilku rąk. Czy to poczucie dominowało, było ważniejsze od więzi plemiennych, grupowych (np. drużyny), terytorialnych, czy było silniejsze od poczucia przynależności do nowej religii - chrześcijaństwa, można wątpić. Wzrost znaczenia więzi narodowej nastąpił wówczas gdy w XIII-XIV wieku zaczęło wzmagać się zagrożenie dla spadkobierców tej ziemi płynące ze strony przybyszów, głównie niemieckojęzycznych. Zagrożenie nie tylko polityczne, ale też społeczne, kulturowe. Przybysze reprezentując inne tradycje, inny język, inną wiedzę stawali się zbyt silną konkurencją dla miejscowych elit. Podważali ich znaczenie, ich dorobek, a tym samym ich dotychczasowe miejsce w społeczeństwie. Na pewno więc nie tylko istniało wtedy, lecz grało też istotną rolę poczucie wspólnoty polskiej.

Natomiast chyba uległo ono osłabieniu w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, gdy do uczestnictwa we władzy dopuszczona była tylko szlachta - co prawda liczna - ale mówiąca wieloma językami - polskim, litewskim, ruskim, niemieckim. Więź państwowa, wsparta systemem politycznym i - co bardzo istotne - strukturami prawa, stała się, niestety na krótko, główną formą wspólnoty ponadregionalnej.

Dochodzimy tu do ważnej konstatacji. Wspólny dorobek, podobne formy działania, wspólna przeszłość tworzą ojczyznę. Czy jednak tworzą jedną, w dodatku taką, która wyklucza jednoczesną przynależność do innych wspólnot, innej ojczyzny, innego dziedzictwa? Już nasi przodkowie wiedzieli, że można być -jak Stanisław Orzechowski - gente Ruthenus, natione Polonus. Można było pisać Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, a jednocześnie rozpoczynać epos narodowy wezwaniem „Litwo, ojczyzno moja". Bohater naszych dziejów - Jan Zamoyski był pierwszym obywatelem „państwa zamojskiego", wielkim polskim statystą, należał też do europejskiej elity intelektualnej - Respublica Litteraria, Republique des Lettres. Nie można mu też odmówić udziału we wspólnocie Kościoła rzymskokatolickiego. Czy były to sytuacje wyjątkowe? Raczej stanowiły i stanowią nadal regułę. Człowiek umieszczony jest w wielu wspólnotach niezbędnych mu do zaspokajania różnorodnych potrzeb. I dziś więź najbliższą tworzy rodzina. Ale jednocześnie dobrze jest mieć wokół siebie krąg ludzi bliskich spoza niej, krąg wspólnoty zawodowej; sąsiedzkiej, pokoleniowej. Ludzi, którzy określa ją krąg interesów, zainteresowań nauką, sztuką, sportem. Do iluż takich wspólnot każdy z nas należy! Na pewno ich znaczenie w naszym życiu jest zróżnicowane, niemniej wszystkie one określają naszą sylwetkę, pozwalają nam na realizację odmiennych potrzeb - psychicznych, materialnych, ludycznych.

Czy te wspólnoty można nazwać małymi ojczyznami? Może raczej najmniejszymi, bowiem we współczesnym świecie jest zapotrzebowanie na przynależność do znacznie szerszych. Nie ulega wątpliwości, wielką rolę gra tu przynależność do narodu i do państwa. Ale istnieją przecież także więzi jeszcze rozleglejsze. Być Europejczykiem to znaczy poczuwać się do wspólnoty kultury wytworzonej na naszym kontynencie i tworzącej podstawy postulowanego porządku światowego. Być chrześcijaninem - czyli należeć do Kościoła powszechnego. Być człowiekiem - pod tym pojęciem, bardzo przecież szerokim, mieszczą się nie tylko stwierdzenia dotyczące biologii, ale także etyki, psychologii.

Szczególne miejsce w tych wywodach winno być poświęcone jednak wspólnocie regionalnej. W poprzednich czasach widziano ją jako element folkloru etnograficznego, stanowiącego bardziej atrakcję turystyczną niż odbicie głębokich treści. Pozornym zaskoczeniem było zjawisko odrodzenia się - czy może raczej - ujawnienia się w 1980 roku historycznych regionów Polski, kiedy to powstawały nazwy pozornie już dawno nie istniejących wspólnot regionalnych. Solidarność powstawała na Mazowszu, na Dolnym Śląsku, w Małopolsce. Przyjmowane nazwy świadczyły o potrzebie potwierdzenia istnienia „małych ojczyzn" regionów, z których składa się Polska.

Co to jest region? Jest to terytorium powiązane wydarzeniami przeszłości, legitymujące się jako określona całość odrębnymi dziejami. Owe dzieje wytworzyły wspólne formy życia zawodowego, wspólne obyczaje, wspólny język. One też „zorganizowały" przestrzeń; ukształtowały sieć komunikacyjną, powołały do życia ośrodki gospodarki, nauki, kultury, stworzyły sanktuaria religijne, ułatwiły powstanie skutecznej organizacji usług i - w znacznym stopniu przyspieszały nawiązywanie relacji międzyludzkich - krewniaczych, sąsiedzkich, zawodowych. Region taki jest dobrze postrzegany z zewnątrz niekiedy jako jednostka geograficzna, niekiedy - gospodarcza, niekiedy kulturalna, a na ogół łącząca razem wszystkie te odrębności. Ludzi zamieszkujących region łączy łatwość wymiany myśli wypowiadanej wspólnym językiem. Może ściślej byłoby zastosować określenie „systemem znaków", jako że na ten język składa się często dialekt, składają się czasem gesty, odwołania do wzajemnie rozumianych symboli, do ważnych lokalnie wydarzeń. Regiony są jednostkami naturalnym i najczęściej w sensie podwójnym: społecznym i geograficznym. Nic dziwnego, że w drodze do wymarzonej „naturalności" naszego państwa odrodziły się 20 lat temu ułatwiając samookreślenie swym mieszkańcom.

Oczywiście regiony nie są dane raz na zawsze. W okresie powstawania Polski jej „prowincje" najpewniej powstawały z terytoriów wielkoplemiennych, charakteryzujących się odmiennymi warunkami geograficznymi. Ziemia Polan - Wielkopolska obok Kujaw, Mazowsza, Sandomierskiego (ziemia Lędzian?), Pomorza nadwiślańskiego i Pomorza nadodrzańskiego, ziemi Krakowskiej, Śląska. Geografia plemienna nie jest dla nas do końca jasna, stają przed historykiem pytania dotyczące przeszłości Łęczycy, Kalisza, nawet Sandomierza. Niemniej ten zasadniczy zrąb regionów był utrwalany przez osiem wieków istnienia naszej państwowości, korygowany i zmieniany przez wydarzenia polityczne. Niekiedy wiązały się one z utratą przez Polskę prowincji - jak Śląska, czy ziemi Lubuskiej, niekiedy ze zdobyczami terytorialnymi -jak Rusi Halickiej, czy Warmii. Najczęściej tworzyły się nowe regiony w granicach starych, wielkich. I tak podzielił się Śląsk, wyodrębnił się z Sandomierskiego region (województwo) lubelski, powstały księstwa (województwa) sieradzkie, łęczyckie. Kształtowanie granic wspólnot lokalnych, okręgów grodowych, ziem, powiatów było efektem wewnętrznych przemian demograficznych, gospodarczych, podziałów politycznych.

Jaką rolę pełnią regiony w czasach dzisiejszych? Sądzę, że na to pytanie można odpowiedzieć w trojaki sposób. Jest rzeczą oczywistą, że zgodnie z tym, co było wyżej przedstawione, region stanowi obszar współżycia społecznego. Pozwala nie tylko na lepsze, łatwiejsze kontakty społeczne, lecz także zapewnia poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Jest obszarem znanym, a więc bezpiecznym, swojskim, a więc takim, na funkcjonowanie którego można mieć większy lub mniejszy wpływ. Innymi słowy - i to jest kolejna część odpowiedzi na pytanie o rolę regionu - jeśli

mamy myśleć poważnie o państwie samorządów terytorialnych, to te reprezentacje wyrażające wolę społeczności muszą być zakotwiczone w jednostkach dobrze znanych przez ich mieszkańców, w pełni uznawanych za własne. Warto przy tym podkreślić jedną z istotnych cech postulowanej przez nas cywilizacji. Wśród wielu członów definicji Europy wymienia się jako jej cechy charakterystyczne: chrześcijaństwo, demokrację, prawa człowieka. Ważnym wyznacznikiem jej granic jest stwierdzenie, że sięgają one tam, dokąd dotarły samorządy terytorialne. Stwierdzenie słuszne, jako że w pojęciu cywilizacji Europy mieści się określenie „społeczeństwo obywatelskie", rozumiane jako aktywna postawa ludzi decydujących o własnych sprawach.

Istnieje też trzeci aspekt znaczenia regionu. Kiedy mówimy „Polska", nie jawi się w naszej wyobraźni mapa kraju, nie wyobrażamy sobie tekstu konstytucji. Owszem, naszą wspólnotę - wielką Ojczyznę symbolizują znaki - Orzeł biały i biało-czerwony sztandar. Ale myśląc o Polsce przywołujemy dobrze znane krajobrazy, konkretne, rzeczywiste: własny dom, miasto lub wieś i dobrze znany widnokrąg. Będzie on odmienny w wyobrażeniach każdego z naszych rodaków. Góral wspomni swe Tatry, Gdańszczanin - plaże nadmorskie, mieszkaniec Sandomierza - wzgórza i wąwozy lessowe, Mazowszanin — piaski i laski nad Wisłą, Bugiem i Narwią. Ojczyzna, ta wyobrażana konkretnie, ta której nam brak na wychodźctwie, jest obrazem odtworzonym z własnego regionu. On nadaje realne kształty pojęciu większego, szerszego obszaru: kraju, państwa. Polskę przedstawia się wspólnymi dla nas symbolami. Małą ojczyznę - znanym krajobrazem, własnym domem. Jeśli warto to przypominać, to z dwóch co najmniej powodów ważnych i dla nas i dla tych, którzy dzierżą władzę: po pierwsze - w skali ogólnospołecznej wielka Ojczyzna widziana jest przez pryzmat tej mniejszej. Po drugie - obie ojczyzny, oba dziedzictwa po przodkach znakomicie się uzupełniają. Co więcej - wydaje się, że dla zdrowia psychicznego ludzi obie ojczyzny są potrzebne. I ta z pierwszego miejsca w naszej hierarchii więzi - wielka ojczyzna, jaką jest Polska i ta mniejsza, równie ludziom niezbędna - ojczyzna mała, ojczyzna regionalna.

Świat w wielu wypadkach jest tak wypielęgnowany, że przypomina on dzieło sztuki. Człowiek przetworzył go na swoje podobieństwo. Przyroda została uczłowieczona. Harmonii między różnymi składnikami nie można uznać za spontaniczne dzieło dzikiej przyrody. Jest ono wynikiem określonej współpracy między człowiekiem a miejscem jego zamieszkania, czyli tego, co można nazwać uwodzeniem ziemi.

R. Dubos, ***Pochwala różnorodności,*** **Warszawa 1982,** s. **131.**

Lata zaboru pruskiego na Pomorzu to także, najmniej chyba znane, lata wielkiej emigracji. Jej powodów było wiele, jak choćby upadek Napoleona, przegrane powstania: listopadowe i styczniowe czy wiosna ludów. Zawsze po tych wydarzeniach jakaś określona grupa Polaków emigrowała z Polski. Była to jednak w większości emigracja polityczna i nie stanowiła ilościowo znacznej wielkości, ale rola jaką ta emigracja odegrała na obczyźnie była ogromna, szczególnie dla podtrzymania polskości oraz w walce o niepodległość i odrodzenie Polski. Jednak największą grupę Polaków stanowiła emigracja zarobkowa. Emigracja ta dotyczyła nie tylko Polski, ale także wielu krajów europejskich. Przyczyna tej emigracji była dla wszystkich jednakowa - brak pracy.

KRZYSZTOF KOWALKOWSKI

Kociewska emigracja

W Polsce rozpoczęła się ona na dobre w drugiej połowie XIX wieku, a najwcześniej na Pomorzu włączonym do państwa pruskiego. Przy tym oddzielić należy tu emigrację sezonową na teren dzisiejszych Niemiec, do Francji czy Belgii, od emigracji stałej poza Europę. Wyjeżdżali głównie mężczyźni np. do prac polowych, którzy po wykonaniu pracy wracali na zimę do swych rodzin, przywożąc ze sobą zarobione pieniądze. Ta druga emigracja wiązała się często ze sprzedażą posiadanego dobytku i wyjazdem całej rodziny w nieznane. Głównym celem wyjazdu była Ameryka Północna i Południowa, a później także Australia i Nowa Zelandia.

Emigrację „za chlebem" przyspieszyła propaganda przedstawicieli Towarzystwa Żeglugi Morskiej w Hamburgu, którzy do 1860 roku oferowali rejsy statkiem bezpłatnie. W późniejszym okresie robili to także sami emigranci, którym się powiodło, namawiając swoich ziomków do pójścia w ich ślady. Wzrost emigracji na Pomorzu z jednej strony spowodowany był coraz większą germanizacją, a z drugiej coraz gorszymi warunkami pracy i życia najbiedniejszych warstw wiejskich. Głównymi portami, z których wypływały statki z polskimi emigrantami były Hamburg i Brema. Podróż za ocean odbywała się w bardzo trudnych warunkach, w ciasnych kabinach, bez podstawowych warunków higienicznych. W epoce żaglowców rejs do Ameryki trwał dwa - trzy miesiące, co pociągało za sobą liczne przypadki śmierci, szczególnie dzieci i osób starszych. Już po dopłynięciu do USA czekał wszystkich okres tzw. kwarantanny, podczas którego zapadała decyzja o wpuszczeniu emigranta do USA i skierowaniu w określony rejon, bądź też o jego powrocie do kraju. Jeszcze dłużej trwał rejs do Australii i Nowej Zelandii, bo jego czas dochodził do czterech miesięcy.

Spośród pomorskich wsi wyjechało także wielu Kociewiaków, m.in. ze wsi w parafiach: Godziszewo, Trąbki Wielkie, Subkowy, Lubiszewo, Klonówka czy Miłobądz. Właśnie ze wsi należących do parafii Miłobądz wyemigrowało wiele rodzin, do Australii, Nowej Zelandii i USA, a pierwsze emigracje, o których piszę poniżej i zostały udokumentowane, miały miejsce w 1872 roku, kiedy to do Otago i Southland w Nowej Zelandii wyemigrowały trzy rodziny pochodzące z Mieścina. Byli to: Anna i Józefa Gurzinski, Franciszka i August Plewa, Joanna i Franciszek Reikowscy. W tym samym roku, z Dąbrówki Tczewskiej, również w parafii Miłobądz, wyjechała rodzina Filipa i Brygidy Konkel. W następnych latach, także w ten sam rejon Nowej Zelandii, wyemigrowały kolejne rodziny z miłobądzkiej parafii, być może zachęcone listownie, przez te które już wyjechały, może skuszone propagandą emigracyjną, jaka wówczas była prowadzona. Były to: w 1874 roku Jan i Paulina Klaas z Mieścina i w 1875 roku Jan i Franciszka Klukowscy z Kolnika. Na temat trzech kolejnych rodzin, które wyemigrowały z terenu parafii Miłobądz, posiadam więcej informacji, gdyż w ostatnim okresie nawiązali ze mną kontakt ich potomkowie. Pierwszą z nich jest Ceil Jensen, mieszkająca dziś w USA, której przodkiem jest Franciszek Wendt z Mieścina, drugą - Michelle van Kemenade-Kranz z Holandii, której przodkiem jest Mateusz Żurawski z Malenina, a trzecim jest Robert (Bob) Jankowski z USA, którego przodkiem jest Jakub Antoni Jankowski z Łukocina. Oto ich krótka historia.

Przodek Ceil Jensen - Franciszek Wendt (Went), syn Jana i Katarzyny z domu Reszke, urodził się w Mieścinie 16.11.1837 roku i zawarł związek małżeński z Paulina Stelmach. Z małżeństwa tego urodziło się troje dzieci. Jednym z nich był Franciszek Józef Wendt (dziadek Ceil) urodzony 9.04.1869 roku. Cała rodzina wyjechała w 1892 roku do USA i tam w Detroit w 1899 roku Frank (Franciszek) zawarł związek małżeński z Agatą Ździebko. Ich dzieci zawierały małżeństwa z potomkami polskich emigrantów. Również syn Frank-junior- w 1942 roku zawarł związek małżeński z mającą polskich przodków, Elżbietą Przytulską, z którego w 1950 roku rodzi się Ceil. To Ceil zajmuje się historią wszystkich rodzin związanych z jej przodkami i prowadzi stronę internetową rodziny, a także stronę Michigan Polonia Home - http://mipolonia.net dla Amerykanów poszukujących informacji o swych przodkach w Polsce.

Praprzodek Michelle van Kemenade- Kranz - Mateusz Żurawski ur. około 1784 roku, zmarł w 1863 roku w Maleninie. Jego żoną była Małgorzata Bylang (lub Behling?), która zmarła w Maleninie w 1862 roku. Mateusz i Anna mieli siedmioro dzieci, z których: Anna wyszła za mąż za Jana Zalewskiego z Łukocina, Marianna za Antoniego Kopeckiego, Michał ożenił się z Anną Domagalską, Józef ożenił się z Marianną Hinz (przodkowie Michelle), a Barbara i Marcin zmarli jako dzieci. Józef Żurawski urodził 27.02.1826 roku w Maleninie, a jego rodzicami chrzestnymi byli Franciszek Doring i Barbara Woyke. Jak już wcześniej wspomniałem w 1849 roku w Miłobądzu Józef zawarł związek małżeński z Marianną Hinz (ur. 1827 r.). Tu ich miłobądzki ślad się urywa. Rodzina prawdopodobnie przeprowadziła się do niedalekiej Kłodawy. Jednak we wspomnieniach nazwa Kłodawa jest pisana w różny sposób, nie ma więc pewności, że chodzi właśnie o tę Kłodawę. Mieli sześciu synów i wiadomo, że czterech z nich wypłynęło razem z całą rodziną. W październiku 1872 roku rodzina wypłynęła z Hamburga statkiem „Lammershagen" do Australii. Przypłynęli do Morten Bar 8.01.1873 roku, lecz ze względu na panującą na statku chorobę, jeszcze sześć tygodni przechodzili kwarantannę. Józef zmarł w Australii w 1914 roku. Jeden z synów Józefa - Jan (dziadek Michelle) ożenił się z Matyldą Ciechowską (Ziechowską, Zerowską?). Niestety pisownia nazwisk jest trudna do jednoznacznego ustalenia. Oni mieli osiemnaścioro dzieci. Losy rodziny były bardzo różne i stanowią interesującą historię. Michelle, wnuczka Jana i Matyldy, od 1989 roku mieszka w Amsterdamie w Holandii. Dziś Michelle gromadzi informacje o rodzinnej historii i szuka krewnych na ziemi przodków.

Najstarsze informacje o rodzinie Jankowskich dotyczą końca XVIII wieku. Jakub Jankowski miał żonę Mariannę (Grasorowki?), która zmarła w Łukocinie w 1816 roku. Ich syn Franciszek urodzony w 1815 roku w Łukocinie zawarł związek małżeński z Marianną Hildebrant, z którego urodził się w 1854 roku w Miłobądzu Józef Jankowski. Józef Jankowski ożenił się w 1877 roku z Anną Katarzyną Jurczonowską z Miłobądza. Natomiast rodzicami Anny byli Jakub Antoni Jurczonowski - ur. w 1823 roku i Marianna z domu Lewandowska - ur. 1823 roku (oboje z Miłobądza). Z kolei rodzicami Jakuba Antoniego byli Jakub ur. w 1768 roku i Małgorzata Żurawska ur. w 1794 roku w Malenininie. Wiadomo, że rodzicami Małgorzaty byli Mateusz Żurawski i Małgorzata z domu Richter (zm. w 1829 r. w Maleninie). Z małżeństwa Józefa Jankowskiego i Anny Jurczonowskiej urodził się w 1884 roku w Miłobądzu Józef Franciszek Jankowski. Józef i Anna z synem Józefem Franciszkiem wyjechali do USA i zamieszkali w Pittsburghu. Tu Józef F. Jankowski zawarł związek małżeński z Antoniną Tomaszewską i tu urodził się ich syn Jan, który ożenił się z Cecylią Wróblewską. Ze związku tego przyszedł na świat w 1947 roku w Pittsburghu Robert Jankowski. Właśnie Robert zajął się spisaniem rodzinnej historii i opracowaniem strony internetowej.

Dziś Ceil, Michelle i Robert szukają w Polsce osób, które są spokrewnione z ich przodkami. Ceil Jensen kilkakrotnie odwiedziła już Polskę. Również Michelle van Kemenade-Kranz planuje przyjazd do kraju przodków jeszcze w 2003 roku, bez konkretnej daty.

Oczywiście są też emigranci z innych kociewskich wsi, o historii których posiadam pełniejsze informacje. Pierwszy z nich to Edward Wiórek z Milwaukee w USA. Ze strony ojca wywodzi swe korzenie z Morzewa koło Piły, ale ze strony matki właśnie z Kociewia. Jego prapradziadek Jan Kurowski urodził się w 1820 roku w Bobowie. Żoną Jana była Marianna Leszczyńska z Nowego Dworu koło Pelplina. Ich córka Julianna Kurowska urodzona w 1852 roku w Smolągu zawarła związek małżeński z Franciszkiem Ronkowskim (ur. w 1858 r. w Bietowie), z którego urodziła się Waleria. Waleria Ronkowska była babcią Edwarda. Urodziła się w 1880 roku w Zielonej Górze koło Lubichowa. W 1892 roku Waleria, zapewne z rodzicami, wyjechała do USA i w Milwaukee zawarła związek małżeński z Paulem Niemczykiem urodzonym w Milwaukee, ale wywodzącym swe korzenie z Grzybowa koło Kościerzyny. Córka Paula Niemczyka w Milwaukee, Melania zawarła związek małżeński z polskim emigrantem Edwardem Georgem Wiórkiem, z którego rodzi się syn Edward. Ed dzięki mojej pomocy znalazł już krewnych (ze strony ojca) w Polsce, a jednym z nich jest Mariusz Wiórek - wicestarosta tczewski.

Kolejną rodziną są Dewey i Erna Bosley ze stanu Nowy Jork, która również poszukuje swych przodków i krewnych w Polsce. Prababcia Erny - Anna z domu Kurowska, uro-

dziła się w 1830 roku z ojca Jakuba Kurowskiego i Marianny Ciarkowskiej (ze wsi Małe Wyręby). W 1855 roku Anna we wsi Jeleń koło Piaseczna zawarła związek małżeński z Janem Wiśniewskim. Anna i Jan mieszkali w Piasecznie przez wiele lat. Tam urodziło się ich ośmioro dzieci, tam też zmarł Jan. Najstarszy syn Jana - Juliusz Wiśniewski wyemigrował około 1870-1880 roku do Brazylii. Najmłodsza siostra Juliusza - Franciszka wyjechała z rodziną do Berlina i tam zawarła związek małżeński, z którego urodziła matkę Erny. Erna po drugiej wojnie światowej zawarła związek małżeński z Dewey'm i wyjechała do USA.

Kolejnym Kociewiakiem jest Paul Tomasko. Jego mama Norma - z domu Guzowska - swe korzenie również wywodzi z Kociewia. Dziadek Normy - Józef Guzowski - urodził się w 1894 roku w Rozentalu, skąd w 1899 roku ze swą mamą Franciszką (z domu Świniarską) wyjechał do USA. Tam osiedlili się w Pittsburghu, gdzie rodzina mieszka do dziś.

W USA istnieje wiele organizacji zrzeszających potomków polskich emigrantów, poszukujących swoich korzeni. W stanie Minnesota działa m.in. organizacja „KANA" - Zrzeszenie Kaszubskie Północnej Ameryki. Wielu z nich poszukuje przodków na własną rękę, korzystając jedynie z kontaktów internetowych.

Wracając do emigrantów zamieszkałych w Nowej Zelandii, trzeba dodać, że ich potomkowie założyli tam Stowarzyszenie pod nazwą „Polskie Dziedzictwo w Otago i Southland", które ma siedzibę w mieście Dunedin. Członkiem Zarządu jest Paul Klemick, którego przodkowie przed ponad stu laty także wyemigrowali do Nowej Zelandii. Paul Klemick (Klimek) za działalność na rzecz krzewienia kultury i tradycji kociewskiej poza granicami kraju otrzymał w tym roku medal za zasługi dla Kociewia „Chwalba Grzymisława". On to przesłał informacje o kolejnych rodzinach pochodzących z Kociewia, których przodkowie wyemigrowali do Otago i Southland w latach 1872-1875. We wszystkich przypadkach użyta jest pisownia nazwiska jaką podał Klemick i ówczesna przynależność parafialna:

Z parafii Godziszewo wyjechali: Veronika i Franciszek Annis (Turze), Franciszka Cherkowska (Turze), Anna i Juliusz Byszewski (Siwiałka), Maria Gdaniec (Bojary), Tomasz i Julianna Gdaniec (Bojary), Joanna i Jan Halba, (Trzciński), Rozalia i Franciszek Jankowski (Siwiałka), Rozalia i Józef Kreft (Bojary), Franciszka i August Orłowski (Trzciński), Anna i Jan Orłowski (Turze), Maria i Jakub Szczepański (Trzciński), Anna i Michał Wiśniewski (Turze).

Z parafii Lubiszewo Tczewskie: Regina Annis (Małżewo), Jan i Anna Buchholz (Małżewo), Luiza i Franciszek Chajewski (Lubiszewo), Jakub Gdaniec (Lubiszewo), Marianna i Marti Grenz (Małżewo), Jan i Anna Hoffman (Małżewo), Barbara i Antoni Kowalewski, (Lubiszewo), Józefina i Lorenz Kowalewski (Stanisławie), Rozalia i Jan Kreft (Stanisławie), Józef Pedowski (Stanisławie), Anna i Antoni Piernicki (Stanisławie), Paulina i Franciszek Rogacki (Stanisławie), Rozalia i August Rydzewski (Małżewo), Johann Schulz (Rukocin), Franciszka i Jan Smoliński (Małżewo), Franciszka i Jan Świtała (Małżewo), Anna i Franciszek Tykowski (Wętkowy), Anna Walińska (Stanisławie), Valeska i Jan Wróblewski (Stanisławie).

Z parafii Subkowy: Marianna i Marcin Bielicki (Gorzędziej), Julianna i Jan Dysars (Brzuśce), Franciszka i Jan Haftka (Gorzędziej), Katarzyna i Paweł Haftka (Gniszewo).

Ponadto z innych kociewskich parafii: Anna i Mateusz Klimek (Rokitki - Tczew), Matilda i Fred Teike (Rokitki - Tczew), Helena i Piotr Barra (Czarnica - Skarszewy), Joanna i Jan Michalski (Kłodawa), Katarzyna i Józef Orłowski (Ełganowo - Trąbki Wielkie), Jan i Rozalia Filipowski (Postołowo - Trąbki Wlk.), Franciszka i Józef Welnowski (Klonówka), Barbara i Michał Kornowski (Rywałd - Klonówka), Franciszka i Franciszek Kurowski (Rywałd - Klonówka). Historia emigracji, a później życia ostatniej z tej listy - rodziny Kurowskich - stanowić może temat kolejnej opowieści. Jak piszą potomkowie rodziny Kurowskich, Franciszek z żoną i czwórką dzieci wypłynął w 1876 roku z Hamburga do USA na statku „Fritz Reuter", jednak zamiast do Ameryki statek w Anglii zmienił kurs i popłynął do Nowej Zelandii. Jej potomkowie mieszkają dziś w Nowej Zelandii, USA i Wielkiej Brytanii. Jeden z nich Brett Raili mieszkający w Nowej Zelandii pisze, że posiada korespondencje rodziny Kurowskich z rodziną von Tempskich.

Jak widać z powyższego wykazu w ciągu 3 lat z czterech kociewskich parafii, Miłobądz, Godziszewo, Lubiszewo i Subkowy, wyjechało ponad 40 rodzin. W wykazie przesłanym przez Paula Klemicka prawie zawsze obok nazwisk rodziców figuruje stwierdzenie „z rodziną", co oznacza, że mogło wyemigrować w tym czasie 200-300 osób. Jak ogromna musiała być liczba emigrantów z całego Pomorza? Dziś mówi się, że liczba potomków polskich emigrantów na całym świecie może wynosić 10-15 milionów ludzi.

Wszystkim, którzy są zainteresowani powyższym tematem, a w szczególności kontaktem z szerzej opisywanymi rodzinami lub z Paulem Klemick, podaję mój numer telefonu domowego 556-49-39 oraz adres internetowy k-e-kowalkowski@wp.pl

W opracowaniu wykorzystano:

1. Bosley Erna, informacje o rodzinie, e-mail, USA 1998-2003,
2. Crofskey Mark, *Kurowski Famili,* e-mail 2002.
3. Jensen Wendt Ceil, *Milobadz photo album,* USA Detroit czerwiec 2001.
4. Ickiewicz Kazimierz, *Pomorzanie w Nowej Zelandii,* maszynopis Tczew 2002.
5. Jankowski Robert, informacje internetowe o rodzinie, USA 2003.
6. Joć Iwona, *Kia Ora, Pomorzanie w Nowej Zelandii,* [w:] Pomerania nr 10, Gdańsk 2001.
7. van Kemenade-Krenz Michelle, internetowe informacje o rodzinie, Holandia 2003.
8. Klemick (Klimek) Paul, *Polish Immigration to New Zealand,* e-mail, Nowa Zelandia 2003.
9. Kornowski Edward, informacje rodzinie Kornowskich, e-mail, USA 2002-2003.
10. Kowalkowski Krzysztof, *Miłobądz - historia miejscowości i parafii oraz wsi do niej należących 1250-2000,* Miłobądz 2000.
11. Kowalkowski Krzysztof, *Brzeźno Wielkie, z dziejów wsi,* Pelplin 2002.
12. Raili Bret, informacje internetowe o rodzinie Kurowskich, Nowa Zelandia 1999.
13. ks. Nir Roman, *Etniczność, życie społeczne i kulturalne Polonii,* A. R. Poray Book Publishing, Stewen Point, WI USA 1989.
14. Singleton Richard, *Kurowski Famili In NZ,* e-mail Nowa Zelandia 2003.
15. Tomasko Paul, internetowe informacje o rodzinie, USA 1999-2003.
16. Wiórek Ed, *Historia Rodziny,* e-mail USA 1999-2003.

KMR

ZDZISŁAW MROZEK

Pelplin we wspomnieniach podróżników

W II połowie XIX wieku Pelplinowi towarzyszyło zainteresowanie wielu znakomitych osobistości świata kultury i nauki. Był wśród nich głośny historyk literatury, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, hrabia Stanisław Tarnowski (1837-1917). Odbył on w latach 80. dziewiętnastego wieku dłuższą podróż po Pomorzu Gdańskim. Owocem tej peregrynacji okazało się dzieło pt. „Z Prus Królewskich", wydane w Krakowie w 1882 roku. Następny nakład tej książki pojawił się - bez istotnych zmian tekstowych - dwanaście lat później pt. „Z wakacji".

Publikację tę Tarnowski w całości poświęcił Prusom Królewskim. Uwagę zwracają obszerne partie książki dotyczące Pelplina, którym krakowski profesor był wyraźnie zachwycony. Zwiedziwszy uprzednio Gdańsk, Malbork i Frombork, przybył następnie do stolicy diecezji chełmińskiej Pelplina, gdzie powitał go i wprowadził do miejscowych obiektów sakralnych historyk i pisarz ks. dr Stanisław Kujot. Fakt ten upamiętnił Tarnowski dedykacją, umieszczoną na jednym z egzemplarzy swoich „Prus Królewskich" pisząc: *Wielebnemu księdzu Kujotowi na pamiątkę swojej szczerej wdzięczności i serdecznego wspomnienia gość pelpliński w dniu 20-go sierpnia 1881 roku. Stanisław Tarnowski* (egzemplarz ten znajduje się w zbiorach toruńskiej Książnicy Miejskiej).

W Pelplinie Tarnowski przebywał od 20 do 21 sierpnia 1881 roku. Notując swoje wrażenia na widok tutejszej architektury (katedra, klasztor pocysterski) w szerokim kontekście historycznym rozwodzi się na temat j dziejów opactwa cystersów w Oliwie i porównuje je z pelplińskim. Swój opis diecezji chełmińskiej rozpoczął od przypomnienia ważniejszych wydarzeń z jej dziejów. Zdaniem Tarnowskiego, przeniesienie siedziby biskupiej do Pelplina miało aspekt czysto polityczny.

Chełmno - pisze autor - *ściąga do siebie polską szlachtę, służyło w początkach naszego wieku za małe zapewne, ale przecież jakieś centrum polskiego życia, w Chełmnie najwięcej znaczy biskup, najwięcej powagi nadawało mu biskupstwo polską tradycją uświęcone, przez co polskiemu ludowi drogie. Rząd pruski w swojej pracy karczowania polszczyzny uznał za dobre wykarczować, a przynajmniej przesadzić biskupstwo, około którego skupiał się żywioł polski, przez co znowu utrzymał się polski charakter miasta. W Pelplinie był ogromny kościół, zatem przenieść biskupstwo do Pelplina! A biskup Ignacy Mathy, Polak, co dziwna i pomorski szlachcic, nie opierał się, przystał i rzecz skończona.*

Tarnowski mylnie podaje Chełmno zamiast Chełmżę, która była siedzibą biskupa diecezji chełmińskiej.

W dalszych partiach swych wspomnień rektor krakowskiej Alma Mater opisał intensywny rozwój pelplińskiego życia umysłowego i kulturalnego. *Diecezja pelplińska* - odnotował *-jest dotąd jedyną w cywilizowanym świecie, która ma stolicę na wsi, a dziś ta wioska ma drukarnię, ma dom szpitalny, ma bibliotekę, miała oczywiście seminarium, dopóki Kulturkampf pruski nie zamknął i to*

Stanisław Tarnowski

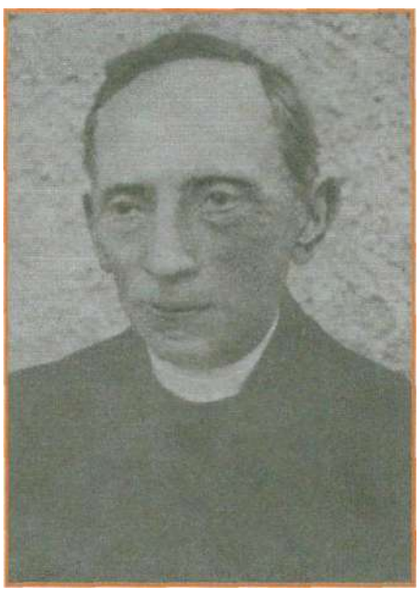

Stanisław Kujot

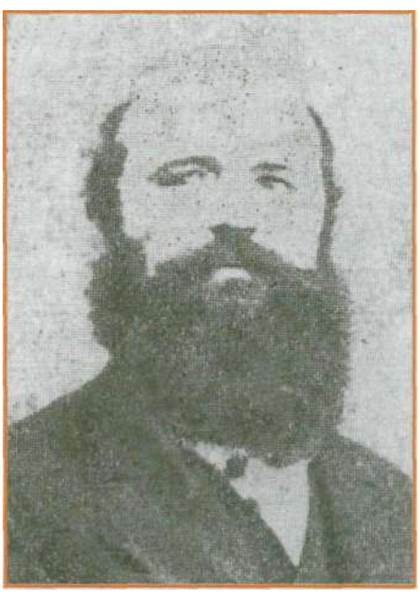

Stanisław Roman

wszystko trwa, żyje, rozwija się, a wszystko w tym wiejskim centrum robi dziwne wrażenie.

Jego największy podziw wzbudziła oczywiście katedra. Pojej zwiedzeniu tak scharakteryzował swoje odczucia i wrażenia: *Idziemy do katedry. Za przewodnika mamy tego, który historię Pelplina dawnego zna jak nikt, który ją w ciekawej i obszernej monografii opisał* (Tarnowski miał na myśli „Opactwo pelplińskie" S. Kujota), *który w pracach i zasługach Pelplina dzisiejszego ma cześć bardzo wielką nauczyciela tutejszego Collegium Marianum, znanego w naszym świecie badacza i historyka.*

Z kościoła katedralnego droga wiodła do biblioteki seminaryjnej. Również i tu przewodnikiem był mu Kujot. Oto spostrzeżenia gościa po obejrzeniu bogatego księgozbioru: *Ciekawości już nie artystów i miłośników sztuki, ale i historyków i badaczy godna jest biblioteka. Książki oczyszczono, odkurzono, ustawione pysznią się na półkach w słonecznym pomieszczeniu. Tu ks. Kujot i ks. Neubauer zawsze pracują, a kto wie, co tu jeszcze wynaleźć, co stąd ogłosić mogą? Biblioteka klasztorna, zatem przeważnie teologia naturalnie, bogata jest w rzadkości i zdobne rękopisma. Są np. komentarze do „Listów" św. Pawła z XIII wieku, są wspaniałe inkunabuły z malowanymi od ręki inicjałami, jest śliczne „Officjum" Choińskiego. Są naturalnie i klasztorne papiery i zapiski, a między tymi ciekawa książka, w której Cystersi zapisywali daty śmierci swoich dobrodziejów, zaczęta w roku 1409 - kończy się „Liber Mortuorum" w XVIII wieku, pozwala nieraz dojść lub sprostować jakąś historyczną datę. Stąd na przykład dał się oznaczyć rok i dzień śmierci księcia Mestwina - 25 grudnia 1295.*

Odnotowawszy rolę Collegium Marianum w środowisku Pelplina i Pomorza, krakowski profesor-podróżnik złożył wizytę w miejscowej drukarni i księgarni Stanisława Romana pisząc: *Odjeżdżającego z Pelplina żegna na samym końcu ładny domek, a w nim wielkimi literami wypisane jest: Drukarnia. Tu jej właściciel, pan S. Roman, drukuje „Pielgrzyma", pismo, które w sześciu tysiącach egzemplarzy rozchodzi się między wielkopolskim, pruskim i pomorskim ludem i podaje mu w jego własnym języku zdrowy pokarm polskiego ducha.*

Stawiając Pelplin za wzór innym miasteczkom naszego regionu Tarnowski zapisał w swoim diariuszu z podróży takie oto uwagi końcowe: *Ile dobrego można powiedzieć o tym Pelplinie i o tym, co się tu robi! Dość powiedzieć, że to w tym kraju miejsce jedyne, które żegna się bez smutku. Tu coś puszcza korzenie, tu coś rośnie.*

Hrabia Stanisław Tarnowski niewątpliwie dostrzegł rozwój życia naukowego, a także literackiego przyszłego miasta nad Wierzycą w II połowie XIX wieku. W swych zapiskach z podróży, mimo obiegowej opinii o zgermanizowanym Pelplinie, podkreślił stopniowe przemiany, jakie towarzyszyły przeobrażeniom duchowym i materialnym miejscowego żywiołu polskiego. Szkice krakowskiego uczonego miały na celu wzbudzić zainteresowanie społeczeństwa polskiego innych części kraju Pomorzem, jego mieszkańcami, tutejszą architekturą, tradycjami kulturalnymi i urodą krajobrazu.

(Wszystkie cytaty pochodzą z tomu pt. „Z wakacji", Kraków 1894)

MIROSŁAWA DANIELEWICZ

Otrzęsiny po kociewsku

Otrzęsiny odbyły się w Szkole Podstawowej w Wielkim Komórsku. Przygotowaniem imprezy zajęła się opiekunka samorządu uczniowskiego oraz Koła Młodych Kociewiaków - Mirosława Danielewicz. Wzięła w niej udział cała społeczność uczniowska oraz zaproszeni goście - rodzice. Już od wielu lat odbywało się w naszej szkole uroczyste ślubowanie klas pierwszych. Nikt jednak nie pomyślał o nieco starszych uczniach, którzy ukończyli pierwszy etap nauczania i przeszli do klasy czwartej.

Zamierzeniem moim było zorganizowanie takiej uroczystości, która z jednej strony podkreśli moment wstąpienia uczniów klasy czwartej do grona starszych rówieśników, z drugiej umocni więź z regionem kociewskim.

Czekając na rozpoczęcie uroczystości zgromadzeni słuchali odgłosów lasu z kasety magnetofonowej. Uczennice z klasy piątej przebrane za czarownice wykonały taniec wokół ogniska. W tym samym czasie Kociewianka odczytała legendę.

Dawno, dawno temu żyły na Kociewiu złe czarownice, które różne rzeczy czynić umiały. O północy siadały na miotły, wymawiały słowa zaklęcia i niesione wiatrem przelatywały nad polami, lasami i wsiami. Paliły ogniska, przygotowywały trucizny, które szkodziły ludziom i zwierzętom. Dotykiem mogły zmienić psa w mysz, a kota w kartofel. Czarownice zsyłały na ludzi śmierć i choroby, odbierały mleko krowom, wywoływały burze, a najgorsze, że odbierały miłość dzieciom i rodzicom.

Pewnej jesieni wstrętne wiedźmy porwały małą Kociewiankę. Tego było już za wiele. Okoliczni ludzie wybrali się liczną gromadą pod wodzą dzielnego Kociewiaka i uratowali ją. Pokropiono potem święconą wodą całe Kociewie. Przerażone czarownice wyniosły się z tego terenu i już nigdy nie powróciły. Dwie z nich święcona woda zamieniła w dobre czarownice, które po dziś dzień pomagają ludziom, zwierzętom i roślinom. Przybyły one dziś na naszą uroczystość.

Po odczytaniu legendy dwoje dzieci w strojach kociewskich powitało chlebem i solą panią dyrektor i wychowawcę klasy czwartej. Następnie dobre czarownice wybrały spośród nauczycieli i rodziców komisję, która przyglądała się popisom uczniów w poszczególnych konkurencjach. I tak uczniowie musieli zaśpiewać piosenkę o swojej klasie, powiedzieć kim są i jak nazywa się ich mała ojczyzna, zaśpiewać piosenkę o Komórsku. Na sali, gdzie odbywały się otrzęsiny zgromadziłam szereg przedmiotów i narzędzi, którymi posługiwali się ludzie na Kociewiu. Zadaniem uczniów było rozpoznać te przedmioty i powiedzieć do czego służyły. Nie zabrakło też konkurencji, które rozbawiły widzów. Uczniowie musieli kręcić magicznym kołem, za po otrzymali kociewskie medale, wykonać portret pani dyrektor i wychowawcy oraz pocałować Kociewiankę zaklętą w świnkę. Po tych zmaganiach uczniowie złożyli ślubowanie a pani dyrektor dokonała pasowania na ucznia klasy czwartej.

Sądzę, że impreza ta jak najbardziej spełniła swoje zadanie. Świadczyć mogą o tym nie tylko dobry humor wszystkich zebranych, ale również większe zainteresowanie naszym regionem. Uważam, że każda uroczystość szkolna może być wykorzystana do popularyzacji swojego regionu.

BEATA ŁOBOCKA

Tczewskie ognisko wychowawcze

Jedną z najdłużej funkcjonujących placówek opiekunczo-wychowawczych w Tczewie jest Ognisko Wychowawcze im. Kazimierza Lisieckiego „Dziadka" przy ul. Kościelnej 6/7. Miejsce to w swoim założeniu miało stać się azylem dla dzieci zagrożonych sieroctwem społecznym, demoralizacją, pochodzących z rodzin niewydolnych wychowawczo, zaburzonych psychicznie, dotkniętych patologią.

Założycielem pierwowzoru placówki był urodzony 9 lutego 1902 roku Kazimierz Lisiecki, którego postać stała się patronem tczewskiego ogniska. Rodzina tego późniejszego pedagoga została rozbita w czasie I wojny światowej, wychowywał się więc w bursie Rady Głównej Opiekuńczej, co okazało się mieć ogromny wpływ na kształtowanie się jego wrażliwej i twórczej osobowości. Już w 1918 roku Lisiecki rozpoczął pracę w Warszawie z dziećmi ulicy - sierotami i ulicznymi gazeciarzami, natomiast rok później podjął stadia na Wydziale Pedagogicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej. Jednocześnie rozpoczęło swoją działalność Akademickie Koło Przyjaciół Dzieci Ulicy, wspierane osobowością, autorytetem i talentem pedagogicznym Kazimierza Lisieckiego. Organizacja ta działała bez dotacji, opierała się natomiast o pracę społeczną studentów; w 1928 roku uzyskała nazwę Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy i statut. Formalna działalność ognisk wychowawczych rozpoczęła się z dniem 3 czerwca 1928 roku. Do chwili wybuchu II wojny światowej T.P.D.U. objęło opieką setki chłopców pozbawionych domu rodzinnego, trzy ogniska w Warszawie oraz po jednym w Łodzi, Toruniu i Grudziądzu. Podczas II wojny światowej działało jedno ognisko w Warszawie, w którym Lisiecki oprócz udziału w walkach ruchu oporu, prowadził tajne nauczanie. Po wojnie powrócił do innego, praskiego ogniska, które później udało mu się rozbudować. W 1953 roku rozwiązano Towarzystwo Przyjaciół Dzieci Ulicy, utworzono natomiast „Dom Dziecka - Ognisko", które miało charakter eksperymentalny. Doceniając pracę Lisieckiego, Prezydium Rządu postanowiło powierzyć temu wychowawcy kierownictwo powołanego w 1956 roku Państwowego Zespołu Ognisk Wychowawczych. Pedagog przeszedł na emeryturę w 1971 roku, a jego stanowisko przejęła Maria Łopatkowa. W ciągu 38 lat swojej działalności pedagogicznej Kazimierz Lisiecki został odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1933 i 1944 r.), Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski (1956 r.), Zasłużonym Nauczycielem PRL (1962 r.). Zmarł 8 grudnia 1976 roku.

Specyfika jego działalności polegała na tym, że szukał własnych, życiowych metod i form pracy z dzieckiem. Stał się animatorem ogniska wychowawczego, o którym uważał, że *...miał to być dom, normalny dom. Gdzie każdy jest dobry i ważny...* Miała to być placówka pośrednia, między domem dziecka a domem rodzinnym. Główną zasadą funkcjonowania ogniska było nie odrywanie dziecka od rodziny, ponieważ to właśnie rodzina jest najlepszą instytucją wychowawczą i żadna placówka nie jest w stanie zastąpić dziecku rodziny, domu rodzinnego. Oczywiście dzisiaj, znając dorobek pedagogiki, kwestia ta stałaby się sporną - wielu pedagogów podważyłoby to stanowisko uznając, że patologiczne środowisko rodzinne wpłynie znacznie bardziej negatywnie na kształtowanie się osobowości młodego człowieka niż przebywanie w placówce opiekuńczo-wychowawczej. Względne zdaje się więc być określenie „patologiczna rodzina" ale również prezentowany poziom danej placówki, np. domu dziecka. Nie da się jednoznacznie określić, co dla społecznie i wychowawczo zaniedbanego dziecka byłoby tzw. mniejszym złem. Wszystko to jest sprawą indywidualną i podlega subiektywnemu namysłowi.

„Dziadek" pomagał, doradzał, rozwiązywał problemy w rodzinie, sądzie i szkole. Oddziaływał swoim autorytetem na wychowanków i wychowawców, przeprowadzał indywidualne rozmowy i spotkania z grupami wychowawczymi. Wygłaszał kazania z pozycji bardzo martwiącego się o los dzieci, przenikał człowieka i poruszał ambicję. Był zwolennikiem wychowania przez pracę, sport, śpiew i zabawę oraz rozwijania szeroko rozumianej samodzielności i gospodarowania. W swojej pracy z dziećmi starał się eliminować tradycję kar oraz stopniować nagrody. Głównym celem wychowawczym wyznawanym przez Kazimierza Lisieckiego było dobro dziecka czyli bezgraniczna miłość do człowieka. Jest on ponadto autorem słów: *Dziecko rodzi się na pewno dobre* (...), *dziecko nie prosi się o przyjście na świat. Dziecku trzeba najpierw dać to, co mu się należy, a potem w miarę i w porę wymagać od niego. I nie bać się wymagać...*

Działalność „Dziadka" stała się początkiem powstawania wielu ognisk wychowawczych w całej Polsce, których podstawowe funkcje można określić jako: kompensacyjna - wyrównywanie braków powstałych na skutek dysfunkcji innych instytucji takich jak rodzina, szkoła, grupa rówieśnicza, kształtująca - wspieranie rozwoju dziecka we wszystkich sferach jego osobowości oraz funkcja wychowawcza - kształtowanie postaw prospołecznych.

Ognisko Wychowawcze im. Kazimierza Lisieckiego „Dziadka" w Tczewie zostało powołane przez Kuratora Oświaty i Wychowania w Gdańsku 1 września 1987 roku na podstawie zarządzenia Ministra Oświaty i Wychowania z dnia 7 lipca 1956 roku w sprawie statutu Państwowego Zespołu Ognisk Wychowawczych, paragraf 6 uchwały nr 460 Prezydium Rządu z dnia 21 lipca 1956 roku Dz. Urz. M. O. i W. nr 11 poz. 101 z późniejszymi zmianami. W tym celu zaadaptowano budynek po internacie Zespołu Szkół Zawodo-

wych przy ul. Kościelnej 6/7. Przeprowadzono poważne prace remontowe i modernizacyjne, które rozpoczęły się w lutym 1988 roku i objęły m.in. wymianę 2/3 konstrukcji dachowej, nowe instalacje co., kanalizacyjne, wentylacyjne elektryczne i gazowe. Powierzchnia tczewskiego ogniska obejmuje 800 m^2: kuchnia z zapleczem magazynowym i socjalnym, stołówka, osiem sal zajęć, pięć łazienek, pomieszczenia hotelikowe, dwie pracownie, trzy magazyny, dwa biura, szatnia, kotłownia i klatka schodowa.

Pracę wychowawczo-opiekuńczą ogniska zainicjowano w lipcu 1988 roku obozem wypoczynkowo-integracyjnym w PD WD Wygonin, w którym udział wzięło trzydzieścioro sześcioro dzieci, trzech opiekunów - kandydatów do pracy w charakterze wychowawców wraz z pedagogiem. Od września 1988 roku do placówki zaczęli trafiać pierwsi wychowankowie, praca z dziećmi była jednak utrudniona remontowym „zamieszaniem". Wówczas powstały dwie koedukacyjne grupy wychowawcze, liczące po dwanaście dzieci w wieku od 7 do 16 lat, które musiały zadowolić się pracą w starych, stopniowo adaptowanych pomieszczeniach. Praca z dziećmi polegała na redukowaniu deficytów szkolnych, organizowaniu zajęć hobbystycznych oraz prowadzeniu zajęć gospodarczych do nowo powstającego ogniska. Dzięki wpływom uzyskiwanym z wynajmu pomieszczenia pod sklep, udało się zakończyć ostatnią fazę remontu i wyposażania sal. Na przełomie 1989 i 1990 roku grupy I i II przeniosły się do wyremontowanych pomieszczeń w skrzydle B budynku. Wówczas zatrudnionych było dwoje wychowawców, pedagog społeczny i psycholog. Na przełomie roku 1990 i 1991 utworzona została III grupa wychowawcza. W tym samym czasie rozpoczęła pełną działalność ogniskowa kuchnia. W miarę możliwości finansowych i organizacyjnych udawało się doprowadzać do letnich i zimowych wypoczynków. W listopadzie 1992 roku powstała IV grupa wychowawcza, którą początkowo tworzyli sami chłopcy z wychowawcą. W styczniu 1993 roku rozpoczęła pracę ostatnia, V grupa wychowawcza, która niebawem otrzymała swoje świeżo wyremontowane pomieszczenia pod samodzielne zagospodarowanie. W ognisku była pełna obsada wychowanków, problem stanowili zmieniający się wychowawcy w grupach III i IV. Aż ośmiu kandydatów nie udźwignęło ciężaru pracy w okresie próbnym i nie wywiązało się ze swoich obowiązków - nie radziło sobie z problemami i niechęcią dzieci do proponowanych form zajęć, obowiązków szkolnych i ogniskowych. Osoby, którym udało się zostać i pełnić dalej funkcję wychowawcy, potrafiły zjednać sobie dzieci i nie zrażały się pierwszymi porażkami; były konsekwentne, ale umiały po partnersku rozmawiać z wychowankiem.

W ciągu tych i dalszych lat kadra doskonaliła swój warsztat pracy; stała się bogatsza o nowe formy zajęć z wychowankami, metody postępowania z rodzicami i opiekunami dzieci. Nawiązała kontakt z innymi placówkami np. tczewskim Domem Dziecka oraz niemieckim miasteczkiem, które w miarę możliwości wspomaga ognisko - organizuje wakacyjne wyjazdy dla kilku wychowanków. Ognisko nadal tworzy rodzinny klimat poprzez wspólne organizowanie takich uroczystości jak wieczerza wigilijna, Wielkanocne Śniadanie, Dzień Edukacji Narodowej; akcji wypoczynkowych (obozy letnie, zimowiska, wycieczki turystyczno-krajoznawcze). Równolegle w grupach organizuje się uroczystości urodzinowe dzieci, Andrzejki, Walentynki, Mikołajki. Ognisko utrzymuje kontakty z wychowankami usamodzielnionymi, oni sami często odwiedzają swój „stary, dobry dom", a także pomagają wychowawcom i swoim młodszym kolegom.

Do ogniska dzieci trafiają głównie z polecenia pedagoga szkolnego w porozumieniu z pedagogiem i psychologiem z tutejszej Poradni Psychologiczo-Pedagogicznej lub z polecenia Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Sytuacja potencjalnego wychowanka sprawdzana i badana jest przez ogniskowego pedagoga, a ten, po zgodzie rodziców bądź opiekunów, decyduje o przyjęciu dziecka.

Do głównych zadań tczewskiego ogniska, zgodnie ze statutem, należy:

- pomoc wychowankom w rozwiązywaniu trudności życiowych i rodzinnych,
- wdrażanie wychowanków do przestrzegania zasad współżycia społecznego, kształtowanie właściwego stosunku do nauki i pracy, podnoszenie poziomu kultury osobistej wychowanków, eliminowanie zaburzeń zachowania,
- współpraca z rodziną wychowanka, pomoc w rozwiązywaniu problemów wychowawczych, poradnictwo życiowe, podtrzymywanie emocjonalnej więzi dziecka z rodziną.

Ognisko w Tczewie wychowuje poprzez organizowanie następujących rodzajów i form zajęć zespołowych:

- sportowo-rekreacyjnych (treningi, turnieje, rozgrywki sportowe, konkursy sprawnościowe, zajęcia na basenie, turystyka piesza i rowerowa, gry stolikowe, żeglarstwo),
- zajęć ulubionych (muzyczne, plastyczne, praktyczne, techniczne, czytelnicze, gospodarstwa domowego, teatralne),
- kulturalno-rozrywkowych (spotkania z ciekawymi ludźmi, wyjścia do kina, wyjazdy do teatru, dyskoteki, imprezy i uroczystości okolicznościowe),
- prac gospodarczych w ramach dyżurów poszczególnych grup wychowawczych.

Ognisko przede wszystkim stawia na kontakt ze środowiskiem rodzinnym. Wiadomo bowiem, że to właśnie tam w głównej mierze upatrywać należy źródła problemów, które pojawiły się u dziecka. Również od uświadamiania rodziny wychowanka należy zacząć jego terapię. Z wypowiedzi wychowawców jednak wiem, że niejednokrotnie taki kontakt z rodzicem bądź opiekunem jest utrudniony, głównie przez ich roszczeniowy stosunek do pedagogów - godząc się na pobyt dziecka w placówce, właśnie na nią zrzucają odpowiedzialność za wychowanie swojego dziecka.

Placówka ta rzeczywiście współpracuje ze szkołą. Obie te instytucje wymieniają się informacjami i spostrzeżeniami na temat poczynań dziecka w szkole, ale również innych zachowań, postaw i trudności w nauce. W ten sposób nauczyciele znają zalecenia dotyczące głównie podejścia do ucznia ale również ilości i jakości zadawanych mu poleceń, a wychowawcy, znając jego poczynania szkolne i wyniki w nauce mogą optymalizować pracę terapeutyczną z wychowankiem.

Tak naprawdę każde trafiające do placówki dziecko uwikłane jest w szkolne problemy. Wychowawcy starają się więc przede wszystkim ukazać ogromną rolę kształcenia, uczą mniej emocjonalnego podchodzenia do nauczycieli, starając się zwrócić uwagę swoich wychowanków na to, iż „nauczyciel też człowiek". Celem pracy wychowawcy z dzieckiem jest zlikwidowanie lęku przed szkolnymi pedagogami, odpytywaniem itp., z jednoczesnym wyuczeniem zachowań i postaw, które mają stosować w szkole, by ich nauka była mniej stresująca i bardziej efektywna.

Młodzież znając obecną sytuację na rynku pracy oraz bardzo często korzystając z negatywnych wzorców swoich rodziców, przejawia niechęć, wręcz apatię w wykazywaniu zainteresowania lub jakichkolwiek ambicji do zdobycia interesującego zawodu. Tak naprawdę jednak ich szansę na znalezienie zatrudnienia są znikome, wychowawca jednak stara się wpłynąć lub ukierunkować bardzo chaotyczne i nierzadko infantylne myślenie wychowanków o ich przyszłym życiu.

Człowiek żyje prawdziwie ludzkim życiem dzięki kulturze
- to słowa najwybitniejszego Polaka naszych czasów - papieża Jana Pawła II.
Dlatego dla nas młodych Polaków poznanie swego miasta,
jego historii, osobliwości i ludzi z nim związanych jest obowiązkiem.
Edukacja regionalna właśnie to umożliwia.

Józef Ceynowa laureat Medalu Stolema

W każdym regionie są ludzie, którzy zapisali się na trwałe w historii miejsca, w którym przyszło im żyć. Niezwykle ciekawym człowiekiem był Józef Ceynowa, laureat Medalu Stolema, rzadkiego wyróżnienia, które przyznaje się tylko najlepszym.

Od 1967 roku „Pomerania" przyznaje corocznie honorowy Medal Stolema. Wyróżniani nim są ludzie, grupy osób a nawet instytucje, które w szczególny sposób przyczyniły się do pomnażania dorobku i osiągnięć Pomorza, czytamy na str. 338 „Bedekera kaszubskiego".

Ogłoszony przez Kaszubskie LO w Brusach konkurs „Laureaci Medalu Stolema" był czynnikiem mobilizującym do poszukiwań, badań związanych z postacią Józefa Ceynowy. W tym celu udaliśmy się do domu w Czersku, w którym ostatnie 20 lat swego życia spędził twórca. Jego potomkowie przyjęli nas bardzo serdecznie, ale o tym później.

Stolem to kaszubski mityczny olbrzym i siłacz, a takich właśnie zadań podjął się w swym życiu Józef Ceynowa. „Medal Stolema" - czy to nie piękny owoc długotrwałych trudów nauczyciela i pisarza?

Józef Ceynowa urodził się 30 marca 1905 roku w Połczynie w powiecie puckim w rodzinie rolniczej. Seminarium nauczycielskie ukończył w Kościerzynie, a Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie. Do wojny pracował w szkołach podstawowych w Kuźnicy na Helu, Dąbrówce i Ostrowitem w pow. świeckim, a od 1945 roku w szkole podstawowej i w liceum w Koronowie. W 1939 roku zmobilizowany został jako porucznik piechoty. Jako jeniec wojenny przebywał m.in. w obozie II-C Woldenberg, gdzie należał do Koła Pomorzan i pogłębiał swoją wiedzę w obozowej filii Wolnej Wszechnicy Polskiej. Ceynowa posługiwał się pseudonimem literackim - Połczyńści Józk. Został odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi i Odznaką 1000-lecia Państwa Polskiego.

Wiersze Józefa Ceynowy znajdują się w następujących antologiach: „Ma jesma od morza" (1963), „Od Bugu do Tatr i Bałtyku" (1965), „Antologia współczesnej poezji Kaszubskiej" (1967), „Pogłosy ziemi" (1971), „Wieś tworząca" (1973). Wydał też zbiory bajek: „Skarb i moc" (1975), „Bursztynowe serce" (1981), „Z tatczezne" (1981), „Urenamle" (1982), „Dobro zwycięża" (1985).

Dużo utworów nadal spoczywa w zbiorach Archiwum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubskiej w Wejherowie oraz w Bibliotece Gdańskiego Oddziału Polskiej Akademii Nauk.

Józef Ceynowa - to poeta, pisarz i rzeźbiarz z Kaszub, regionu szczególnie zasłużonego w walce o polskość. Całe swe dorosłe życie dzielił między dwie pasje - pisarstwo i pracę nauczycielską. Obie wyrastają z jednego pnia i mają wspólny cel - kształtowanie umysłów i charakterów ludzkich. Przez ponad 40 lat wpajał swoim uczniom miłość do ojczystych stron, a piórem czynił to do ostatnich lat swego życia. Przywiązanie do rodzinnych stron przejawia się prawie we wszystkich jego utworach. Opiewają one przeszłość regionu, złożone losy zwykłych ludzi na tle dramatycznych wydarzeń, przywiązanie kaszubskiego ludu do swojej ziemi i bohaterstwo w jej obronie. Bajki odkrywają z kolei przed czytelnikiem bogate złoża kaszubskiego i kociewskiego folkloru. Józef Ceynowa ponad 40 lat poświęcił nauczycielskiej służbie, a pełne pół wieku pisaniu wierszy, opowiadań i bajek. Pomiędzy te dwie pasje swojego życia dzielił czas i uczucia.

Ceynowa pisał po kaszubsku. Używał mowy północnych Kaszubów - Belaków. Tej bowiem formy polskiego języka nauczył się w domu rodzinnym i posługiwał się nią do szesnastego roku życia. Wiedział zatem dobrze, iż można kaszubskimi słowami wyrazić każdą myśl, każde subtelne uczucie i wydawało mu się, że to, co sam miał do powiedzenia, w kaszubszczyźnie oddawał najwierniej i najpełniej. Nie obawiał się wcale, że dialekt zdyskredytuje jego twórczość. Szkoda, że tylko niewielka część utworów doczekała się druku. Zawsze daleki był od rozgłosu poeta z Kaszub, lecz szkoda, by nie znalazły czytelników te ciekawe utwory.

Józef Ceynowa we wspomnieniach

Radosław Literski jest wnukiem pisarza. Mieszka w rodzinnym domu w Czersku przy ul. Starogardzkiej, w którym to ostatnie ponad dwadzieścia lat życia spędził z żoną Weroniką Józef Ceynowa. Dzisiaj dom nie ma już wrzosowego koloru jak kiedyś. Wrzos to właśnie symbol jesieni, a tę poeta spędzał w Czersku, gdzie mieszkała jego rodzina. Dnia 26 lutego 2003 roku spotkaliśmy się z Radosławem Literskim, by o jego dziadku porozmawiać, zapytać o różne pamiątki, obejrzeć Medal Stolema. Bardzo chętnie się zgodził i niezwykle gościnnie nas przyjął. Pięknie opowiadał o różnych pasjach dziadka. Z żalem mówił, iż dziadka docenia się

wtedy, gdy się już wydorośleje. Pamięta z dzieciństwa, iż dziadek dużo opowiadał o historii. W pokoju wisi obraz o tematyce historycznej. Przedstawia wojska napoleońskie pod Moskwą. Pokazał nam kolekcję rzeźb pana Józefa. Podziwialiśmy zwłaszcza rzeźbę Światowida patrzącego w cztery strony świata. Oglądaliśmy różne dyplomy, medale, odznaczenia. Jest ich cała kolekcja, wśród nich Medal Stolema, który twórca cenił najbardziej, „Laur Pokoleń" (przyznany przez młodzież bydgoską), Srebrny Krzyż Zasługi i Odznaka 1000-lecia Państwa Polskiego, Honorowy Obywatel m. Koronowa. Wszystkie podziękowania, zaproszenia, listy gratulacyjne zachowały się do dzisiaj, bo pan Józef wszystko to gromadził, dokładnie opisywał.

Jerzy Rogański (Honorowy Obywatel Czerska, długoletni prezes ZKP oddział w Czersku) wielokrotnie spotykał się z pisarzem, poetą Józefem Ceynową. Podczas rozmowy podkreślał jego serdeczność i skromność. W pracach ZKP brał czynny udział. Często na zebraniach czytał fragmenty swoich utworów. *Szkoda,* mówi pan Jerzy, *iż wiele baśni, bajek i wierszy jeszcze nie opublikowano.* Rozmówca stwierdził też, iż sylwetka Józefa Ceynowy powinna być spopularyzowana w naszym mieście. Zapytany, czy jakiś oryginalny szczegół utkwił mu w pamięci z tych spotkań, uśmiechnął się tajemniczo. Wspominał, iż bliskich znajomych Ceynowa częstował wspaniałym winem własnej produkcji.

Sądzimy, iż przedstawioną sylwetkę wybitnego twórcy kaszubskiego należy „ocalić od zapomnienia". Jako uczniowie szkoły podstawowej nie mamy odpowiednich narzędzi badawczych, dostatecznej wiedzy, by w pełni wykonać konkursowe zadanie. Pragnęlibyśmy jednak, by mieszkańcy naszego miasta znali sylwetkę twórcy, który mieszkał w Czersku. Może w przyszłości jakaś ulica będzie nosić jego imię? Taki wniosek przesłaliśmy do Urzędu Miasta, wtedy może spełni się przypuszczenie poety: *Może długo zostanę z Wami, druhowie i przyjaciele miłośnicy naszych stron uroczych.*

Fragmenty wspólnej pracy uczniów klasy VI c - **MARCINA SAŁATY** i **MATEUSZA POKRZYWIŃSKIEGO,** pod kierunkiem **BOGUMIŁY MILEWSKIEJ.**

Bibliografia

1. Ceynowa J., *Dobro Zwycięża,* Gdańsk 1985 r.
2. Ostrowska R., Trojanowska J., *Bedeker kaszubski,* Gdańsk 1974 r.
3. Ostrowski K., *Długo zostanę z wami* (w:) „Gazeta Pomorska", 15.04.1983 r.
4. Ostrowski K., *J. Ceynowa* (w:) „Gazeta Pomorska", 23.12.1999 r.
5. Ostrowski K., *Ślad nieco trwalszy,* Chojnice 1980 r.
6. Stromski Z., *Pamięci godań, chojnicki słownik biograficzny,* Bydgoszcz 1986 r., str. 124-125. \

Mateusz Pokrzywiński z Radosławem Literskim
(nauczycielem Liceum Ogólnokształcącego w Czersku) przy biurku twórcy - Józefa Ceynowy.

IZABELA KUJOT
KATARZYNA NOWAK

Czym skorupka za młodu...

O konkursie wiedzy o Tczewie

Droga do uczestnictwa w kulturze - w Europie, w świecie - prowadzi przez przeżycie własnej tożsamości.

ks. Janusz St. Pasierb

Słowa księdza Pasierba oddają sens pracy wielu nauczycieli propagujących „modny" ostatnimi laty regionalizm. Dobrze się stało, że wracamy jako naród do własnych korzeni. Już w przyszłym roku będziemy w Unii Europejskiej i cieszy nas fakt, że najmłodsze pokolenie wie, jak nazywa się region, w którym żyje i jakimi wartościami możemy się szczycić a nawet przyciągać innych do poznania piękna naszej MAŁEJ OJCZYZNY - KOCIEWIA.

W czasach, kiedy nie ma zbyt wielu autorytetów, a system wartości często jest zachwiany, przypominanie o tradycji, kulturze, dorobku minionych pokoleń, wskazywanie postaci godnych naśladowania wydaje nam się koniecznym dla zdrowego rozwoju młodego pokolenia.

Dobrze się stało, że nastąpił renesans edukacji regionalnej. Jest na nią „zapotrzebowanie" nie tylko wśród nauczycieli i uczniów ale także w społeczności lokalnej.

Młodzi ludzie, którzy pokochają Kociewie, z pewnością jako dorośli będą świadomie dbali o rozwój swojej Małej Ojczyzny poprzez pracę zawodową, społeczną czy życie rodzinne.

Naszą pracę wspiera Irena Brucka - prezes Kociewskiego Towarzystwa Oświatowego, Kociewski Kantor Edytorski oraz władze samorządowe, a szczególnie Biuro Promocji Tczewa z jego kierownikiem Ludwikiem Kiedrowskim. Instytucje te zawsze są chętne do współpracy, spotkań z uczniami i pomocy rzeczowej.

Jednym z elementów prowadzonej w Szkole Podstawowej nr 12 w Tczewie edukacji regionalnej jest Konkurs Wiedzy o Tczewie. Przedsięwzięcie to, zapoczątkowane przez Ewę Solską, najpierw jako konkurs szkolny przerodziło się z inicjatywy Katarzyny Nowak w międzyszkolną rywalizację, do której włączyli się nauczyciele z tczewskich szkół podstawowych. Wydaje nam się, że szkoła podstawowa jest odpowiednim momentem na prowadzenie tego typu konkursów. Uczniowie są chętni do poznawania bogatej w wydarzenia historii miasta, jego zabytków, przyrody, a także dnia dzisiejszego.

Postanowiłyśmy „zarazić" swoich uczniów pięknem rodzinnego miasta i cieszy nas, że działania nasze padają na podatny grunt.

Konkurs Wiedzy o Tczewie ma miejsce tylko w Szkole Podstawowej nr 12 w Tczewie i obejmuje uczniów klas IV-VI. Od dwóch lat zapraszamy do wzięcia udziału w konkursie uczniów z wszystkich tczewskich szkół podstawowych.

Głównymi celami rokrocznych konkursów są:

- promowanie wiedzy o Tczewie,
- rozwijanie zainteresowań i pogłębianie wiedzy o swoim mieście,
- integracja treści międzyprzedmiotowych,
- zachęcanie uczniów do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym Tczewa,
- rozwijanie współpracy międzyszkolnej.

Międzyszkolny Konkurs Wiedzy o Tczewie cieszy się ogromnym zainteresowaniem wśród uczniów i nauczycieli. Co roku młodzież zmaga się z różnorodnymi zadaniami konkursowymi, weryfikując swoje wiadomości o Tczewie z różnych dziedzin tj. historii, środowiska przyrodniczego, gospodarki, atrakcji turystycznych, legend, znamienitych tczewskich postaci oraz umiejętności np. czytania planu miasta, mapy topograficznej najbliższej okolicy, czy rozpoznawanie obiektów turystycznych na zdjęciach.

W bieżącym roku polimetody tj. dyktando z luką, praca z planem miasta, puzzle, pytania za określoną liczbę punktów, opowiadanie - przewodnik, krzyżówka historyczna pozwoliły obiektywnie ocenić osiągnięcia uczniów. Łączna wysoka suma punktów za konkurencje, zbliżona u wszystkich trzyosobowych zespołów, świadczyła o bardzo dobrym przygotowaniu uczniów.

W II Międzyszkolnym Konkursie Wiedzy o Tczewie I miejsce zajęli uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 11, II miejsce uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 7 i Szkoły Podstawowej nr 12, IV miejsce uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 5, V miejsce uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 10.

Konkursowi nadałyśmy uroczystą formę, zaprosiłyśmy przedstawicieli władz miasta - Mirosława Ostrowskiego, wiceprezydenta Tczewa oraz Ludwika Kiedrowskiego, kierownika Biura Promocji Miasta, którzy byli członkami jury.

Cieszy nas zainteresowanie władz samorządowych i Urzędu Miejskiego w Tczewie. Mamy głęboką nadzieję, że w w. konkurs wejdzie do tradycji naszej szkoły i nadal będzie spotykał się z zainteresowaniem innych szkół.

Młodzi tczewianie zaangażowani w poznawanie rodzinnego miasta, nawet gdy w dorosłym życiu nie „zakorzenią" się tutaj, z pewnością będą dumni z Grodu Sambora. W całym tym przedsięwzięciu to przesłanie jest chyba najważniejsze.

Jubileusz Zygmunta Bukowskiego

W bieżącym roku przypada 30-lecie pracy twórczej Zygmunta Bukowskiego, znanego na Kociewiu poety i rzeźbiarza. Jubileusz ten został odnotowany wieloma sukcesami autora.

W czerwcu odbyła się IV edycja konkursu recytatorskiego poezji Zygmunta Bukowskiego w Trąbkach Wielkich, natomiast w Tczewie w październiku przewidziana jest duża wystawa prac rzeźbiarskich. Szkoła Podstawowa w Czerniewie w maju br. została nazwana imieniem znakomitego twórcy.

Autor zaś uczestnicząc w kolejnym Konkursie Literackim im. Jana Pocka w Lublinie został uhonorowany dwiema znaczącymi nagrodami:

I nagrodę otrzymał w kategorii prozy za opowiadania - *Odpust* i *Wielkanoc,* natomiast II nagrodę w kategorii poezji za zestaw pięciu wierszy: *Gdy się wzniesie, W uczynku serca, Żywe tarany, Mistrz i dłuto oraz Smółki.* Ostatni tekst zamieszczamy poniżej.

Dołączając się do gratulacji życzymy autorowi wielu następnych sukcesów z nadzieją, że jeszcze wielokrotnie będziemy mogli go gościć na naszych łamach.

ZYGMUNT BUKOWSKI

Smółki

Na ugorze zdziczałym
Gdzie jeno mech śmiertelnik
Siwizną piachy okrywa
Smółki w róż ubrały pagór
Dla kogo lepkie panienki
Ten kolor kuszący
Widny z daleka
Czy dla mnie tylko
Ta uczta dla oczu

Jak was zostawić
Czerwcem rozpalone
Byście pomarły bez pieszczot
Czy liczycie że wasze płonące wici
Dostrzeże panicz złotogłów

Nam muszą wystarczyć
Trzmiele pocałunki
Gdyż nas nie wolno zrywać
Tulić do warg
Bo rywalki modruszki
Smołą zwalały nam łodyżki

Szkoła w Kamionce mocno tkwi w tradycjach i teraźniejszości Kociewia. Rozbudzanie zainteresowań regionem w aspekcie historycznym, gospodarczym i kulturalnym oraz szacunek dla „korzeni" weszły na stałe do kalendarza jej imprez.

Kociewie szczyci się burzliwą i ciekawą kroniką własną gwarą i piękną tradycją, która stanowi mocny fundament i zachętę do dalszego bogacenia dorobku przodków. W programach i rozkładach nauczania poszczególnych przedmiotów już od klasy I uwzględnia się tematykę regionalną. Jest ona szczególnie obecna na lekcjach języka polskiego, historii, geografii, plastyki i muzyki. Podkreślając wkład Kociewiaków wniesiony w dzieje Polski dziecko uczy się doceniać wartość i bogactwo swojego dziedzictwa oraz umacnia swoją więź z regionem.

Niewątpliwie najwybitniejszą postacią Kociewia w średniowieczu był możny feudał i polityk - Jan z Jani. W uznaniu jego zasług w walce z zakonem krzyżackim dla zachowania polskości Pomorza został mianowany przez Radę Związku Pruskiego starostą Kaszub, ziemi starogardzkiej, gniewskiej i tczewskiej, a przez króla Kazimierza Jagiellończyka, wiosną 1454 roku - pierwszym wojewodą pomorskim[1].

26 marca 1961 roku w Starej Jani odsłonięto pamiątkowy obelisk, gdzie przeczytać możemy słowa: *Janowi z Jani, wybitnemu przywódcy ruchu powstańczego przeciwko Krzyżakom na Pomorzu Gdańskim, pierwszemu wojewodzie ziemi pomorskiej, w 500. rocznicę jego śmierci. Mieszkańcy ziemi starogardzkiej.*

Obecnie wiosną każdego roku uczniowie szkoły w Kamionce, podobnie jak i innych szkół, biorą udział w organizowanych przez Gminny Ośrodek Kultury Sportu i Rekreacji w Smętowie biegach przełajowych „Szlakami Jana z Jani".

Popularyzacji regionu kociewskiego służą liczne konkursy plastyczne organizowane m.in. przez Ognisko Pracy Pozaszkolnej w Starogardzie Gdańskim, w których aktywnie uczestniczą nauczyciele i uczniowie naszej szkoły. Tematyka konkursów jest bardzo szeroka np.: „Kociewie - ziemia od wszystkich droższa", „Boże Narodzenie na Kociewiu", „Kartka Świąteczna", „Kociewska szopka betlejemska", „Słynne postacie związane z historią regionu", „Krajobraz Kociewia - tradycje, współczesność" itp. O zaangażowaniu mogą świadczyć wyróżnienia i nagrody za uzyskane w nich miejsca[2].

Szkoła może się też poszczycić osiągnięciami w popularyzacji gwary kociewskiej. Od początku lat dziewięćdziesiątych uczestniczy i odnosi sukcesy w konkursie Recytujemy Prozę i Poezję Kociewska. Laureatami na szczeblu gminnym i rejonu w finałach organizowanych w Starogardzie Gdańskim było wielu uczniów szkoły w Kamionce.

O tym, że warto propagować kulturę kociewsko-pomorską świadczą zachowane na tych ziemiach bogate zabytki. Tylko na terenie gminy Smętowo znajdują się: zbudowany w stylu gotyckim, tzw. gotyk nadwiślańsko-pomorski, kościół p.w. św. Barbary w Lalkowach (konsekrowany w 1409 roku) oraz kościół p.w. Trójcy Św. w Kościelnej Jani (najstarsza część - gotycka wieża z XIV w.), neogotycki kościół z 1904 roku w Smętowie (początkowo ewangelicki, a po drugiej wojnie światowej wyremontowany i adaptowany dla potrzeb parafii katolickiej). Poza budowlami sakralnymi znajdują się tu warte obejrzenia zespoły dworsko-parkowe w Rynkówce, Starej i Leśnej Jani, Kopytkowie i Smętówku.

Na terenie gminy znajdują się też liczne miejsca poświęcone pamięci zamordowanych przez hitlerowców jej mieszkańców. W Lalkowach są to: tablice pamiątkowe kierownika szkoły Mariana Oelberga i księdza Feliksa Bamgarda oraz mogiła nauczycielki i kierowniczki szkoły w Bukowinach Mieczysławy Małolepszej. W Leśnej Jani na murze szkoły tablica poświęcona jej kierownikowi Pawłowi Grzonce oraz pod lasem obelisk upamiętniający ofiary terroru hitlerowskiego. W Rynkówce tablica pamiątkowa na murze szkoły poświęcona Adolfowi Szykowskiemu - kierownikowi szkoły, a w Smętowie - Janowi Kosznickiemu. Przy dworze w Kopytkowie głaz z wyrytym napisem: *W tym miejscu w latach 1939-1945 hitlerowski okupant więził i torturował Polaków walczących o wolność Ojczyzny. Cześć ich pamięci.*

Doceniając ogromne znaczenie wycieczki w realizacji treści edukacji regionalnej uczniowie szkoły w Kamionce udali się rowerami w „podróż" po okolicy „Szlakiem zabytków gminy Smętowo" oraz „Szlakiem miejsc pamięci i martyrologii mieszkańców gminy Smętowo".

Dodatkową atrakcją były rozciągające się ogromne tereny leśne Borów Tucholskich z dużą liczbą malowniczo położonych jezior.

Tradycją szkoły jest organizowanie różnorodnych imprez klasowych, ogólnoszkolnych i środowiskowych. Zbliżają one uczniów do sztuki i kultury regionu, gdyż często znajdują się w nich akcenty regionalne - pieśni, przyśpiewki, zabawy ze śpiewem (zwłaszcza w klasach młodszych).

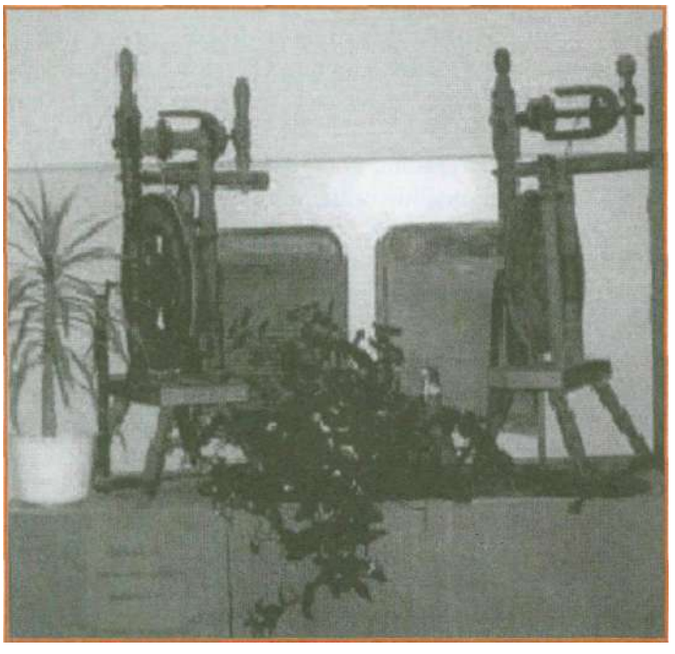

Eksponaty znajdujące się w Szkolnej Izbie Muzealnej

Przygotowywanie imprez jest ściśle związane z ważnymi wydarzeniami z życia dawnej i współczesnej rodziny kociewskiej i społeczności szkolnej. Do najczęściej przygotowywanych uroczystości należą:

- Dzień Babci i Dziadka,
- Dzień Matki,
- Dzień Dziecka,
- Topienie Marzanny,
- Lanie wosku,
- Konkursy koszyków i pisanek wielkanocnych,
- Chodzenie „po gwizdówce",
- Spotkania opłatkowe ze wspólnym kolędowaniem i inne[3].

Uczniowie chętnie uczestniczą i pogłębiają wiedzę o regionie na licznych imprezach organizowanych przez Starogardzkie Centrum Kultury w Starogardzie Gdańskim. Są to m.in.: „Festiwal Kolędniczy", „Festiwal Kociewskich Form Artystycznych" (impreza integracyjna ze Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym w Starogardzie Gdańskim).

Edukacja regionalna to podejmowanie przez szkołę działań na rzecz kształtowania u dzieci przywiązania i umiłowania określonego regionu. Ma na celu świadome kształtowanie więzi emocjonalnych z tzw. ojczyzną prywatną, tj. tym obszarem, gdzie się człowiek urodził czy gdzie spędza życie. Projekt innowacji z zakresu edukacji regionalnej zakłada pracę dydaktyczno-wychowawcza na wielu płaszczyznach. Jego realizacji miała także służyć założona w roku szkolnym 2001/2002 przez nauczycielkę historii Reginę Kotłowską, Szkolna Izba Muzealna[4].

W proces gromadzenia eksponatów zaangażowani są wszyscy uczniowie, nauczyciele i ich krewni.

Znajdują się tu eksponaty służące dawniej w gospodarstwie domowym takie jak: kołowrotek, tary, masielnica, żelazka, młynki, lampy naftowe i inne. Cenna jest kolekcja monet w gablocie.

Od momentu powstania Szkolna Izba Muzealna spełnia ważną funkcję dydaktyczno-wychowawcza, a zgromadzone w niej eksponaty są wspaniałymi środkami dydaktycznymi wykorzystywanymi w procesie rozpoznawania zainteresowań najbliższym środowiskiem i regionem, ukazywania różnic pomiędzy życiem mieszkańców wsi na początku XX wieku a życiem nowoczesnym oraz motywowania uczniów do poszukiwania i zbierania pamiątek sprzed lat.

Dumni jesteśmy z tradycji kultywowanych przez naszą szkołę w Kamionce oraz osiągnięć jakie na tym polu są jej udziałem. Poprzez szacunek dla „Małej Ojczyzny" uczymy szacunku i przywiązania do tej „Wielkiej". Najlepiej oddaje to nasze hasło na regionalnej gazetce „Stąd i dla tego regionu jesteś".

Przypisy

[1] J. Milewski, *Dzieje wsi powiatu starogardzkiego,* Gdańsk 1968, s. 245.

[2] Kancelaria szkoły, kronika szkoły.

[3] Artykuł: S. Płaczek. *Formy realizacji edukacji regionalnej* - cz. III, [w:] Biuletyn Oświatowy - miesięcznik informacyjno-doradczy, Nr 3 (35), marzec 2002.

[4] J. Mietz wykonywanie zbiorów etnograficznych Muzeum Włocławskiego do kształtowania pojęć historycznych u uczniów w młodszym wieku szkolnym, Rocznik Muzealny (Włocł.), t. 2, Włocławek, 1989, s. 171 i nn.

KRYSTYNA ZBIELSKA

Przyjaciel ludzi

Zapomnieć o własnych cierpieniach, wyjść ponad serca rozdarcie. I dawać, szaleńczo dawać bez końca, zawzięcie, uparcie. Rozdać swe życie jak kwiaty. Wszystkim, co są w potrzebie. Bo jeden jest życia kierunek - od siebie.

Krystyna Baziuk

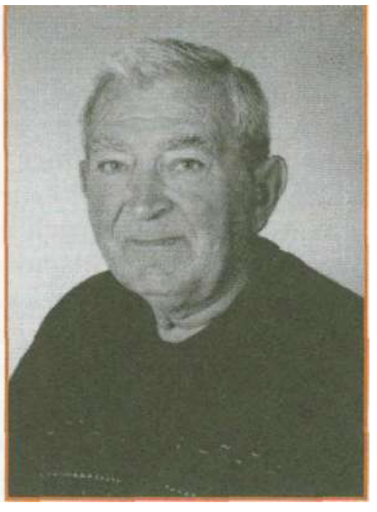

Autentyczną pasją Zdzisława Erdmanna jest ochrona przyrody. Już w 1947 roku, jako uczeń Szkoły Podstawowej w Szubinie, stał się aktywnym członkiem Ligi Ochrony Przyrody.

Zainteresowania przyrodnicze rzutowały także na wybór zawodu - ukończył bowiem Liceum Hodowlane w Samostrzelu. Następnie podjął pracę jako zootechnik selekcjoner w Powiatowym Zarządzie Rolnictwa w Szubinie. Tam właśnie zorganizował Zarząd Oddziału Powiatowego LOP i został jego sekretarzem.

Pod koniec lat pięćdziesiątych opracował publikację na temat szaty roślinnej Pomorza, nawiązując bliskie kontakty z profesorami: Szaferem, Umińskim i Walasem. Już w roku 1960 ukazała się monografia Zdzisława Erdmanna traktująca o ginącej florze i faunie powiatu szubińskiego. W tym też czasie nawiązał ścisłą współpracę z Wojewódzkim Konserwatorem Przyrody inż. Kazimierzem Szulisławskim, włączając się w prace inwentaryzacji parków wiejskich i pomników przyrody Pomorza.

Od 1966 roku Z. Erdmann mieszka w Świeciu i pracuje jako zootechnik specjalista ds. drobiarstwa w Zakładzie Wylęgu Drobiu.

Od 1968 roku pracuje aktywnie nad ochroną osobliwości przyrodniczych, inwentaryzacją zabytkowych parków wiejskich oraz ochroną naturalnego środowiska przyrodniczego powiatu świeckiego. Zebrany materiał posłużył mu do napisania publikacji „Osobliwości przyrodnicze Ziemi Świeckiej", wydanej z okazji 650-lecia nadania praw miejskich Świecia.

Wspólnie z dr Witoldem Przewoskim reaktywował po kilkuletniej przerwie Oddział Miejsko-Gminny LOP w Świeciu. Został jego sekretarzem, a w 1983 roku prezesem. Był też dwie kadencje radnym, członkiem Prezydium Rady Narodowej Miasta i Gminy, przewodniczącym Komisji Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Za swoją działalność uhonorowany został licznymi odznakami: Złotą i Srebrną Odznaką Honorową Ligi Ochrony Przyrody oraz Odznaką „Zasłużony dla ochrony środowiska". Jako jedyny z terenu województwa otrzymał Order Wdzięczności Społecznej, właśnie za działalność upowszechniania ochrony środowiska i troskę o świat naturalny.

Dzięki działaniom prezesa LOP, miasto i powiat świecki szczyci się wyjątkową ilością pomników przyrody. Zainicjował on powstanie kilku rezerwatów przyrody: Czarcie Góry, Parów Cieleszyński, Parowy Ostnicowe Gruczna. Do dziś pełni funkcję społecznego opiekuna „Czarcich Gór". Kilka razy do roku przeprowadza penetracje przyrodniczo-naukowe tego terenu w celu zbadania reliktów flory i fauny oraz zdiagnozowania stanu środowiska przyrodniczego. Ten przyjaciel przyrody dążył też do utworzenia Parku Krajobrazowego Doliny Dolnej Wisły.

W 1980 roku Zdzisław Erdmann badał wpływ świeckich zakładów przemysłowych na roślinność i opracował „Raport o stanie środowiska naturalnego". Należy też do odkrywców prawdopodobnego grodu Grzymisława położonego na „Diabelcach".

Zdzisław Erdmann nadal sprawuje funkcję prezesa LOP w Świeciu, a jego niespożyta energia przyczynia się jeszcze do wielu osiągnięć w dziedzinie ochrony przyrody. Obecnie dokonuje aktualnej inwentaryzacji pomników przyrody Ziemi Świeckiej. W ubiegłym roku obchodził 55-lecie społecznych działań w Lidze Ochrony Przyrody i z tej okazji pragnie wydać publikację na temat aktualnych pomników przyrody Ziemi Świeckiej i przewodnik „Czarcie Góry" celem promocji naszego powiatu.

Swoją pasją „zaraża" dzieci, młodzież szkolną oraz dorosłych. Uczestniczy w zajęciach edukacyjnych w wielu szkołach, bierze udział w szkolnych wycieczkach, na których pełni rolę przewodnika i przekazuje swoją wiedzę zdobytą w ciągu życia. Brał również udział w pracach Komitetu Nadania Imienia - Kazimierza Łusiewicza (działacza LOP) Szkole Podstawowej w Zbrachlinie. Grono znajomych wyraża się o nim - „przyjaciel ludzi".

Gdyby takich pasjonatów, jak Zdzisław Erdmann było więcej, być może nasza ojczysta przyroda nie byłaby tak bezmyślnie niszczona, a wiele wspaniałych jej obiektów ocalono by od ostatecznej zagłady.

KONTER FEKTY

JERZY SOBCZAK

Zginął z krzyżem w dłoni

Z KOCIEWIA NA SZAŃCE POWSTANIA

Szeroko znana jest sylwetka księdza Ignacego Skorupki, który trzymając w ręku krzyż oddał życie za Ojczyznę w czasie słynnej bitwy z bolszewikami pod Radzyminem w sierpniu 1920 roku. W podobnych okolicznościach 74 lata wcześniej, w czasie niesławnej rabacji galicyjskiej w roku 1846, zginął Edward Dembowski - radykał i demokrata. Chcąc dotrzeć do maszerujących na Kraków oddziałów chłopskich, stanął z krzyżem w dłoni na czele procesji, która wyruszyła z Krakowa 27 lutego na Podgórze i tam poległ od kuli austriackiej. Lecz chyba nikt nie zna sylwetki księdza Adama Logi, który poniósł śmierć jeszcze wcześniej - w ostatnich miesiącach powstania listopadowego, w lipcu 1831 roku, w trakcie kampanii litewskiej gen. Dezyderego Chłapowskiego. Ten zapomniany dziś kapłan zginął również za Ojczyznę, z imieniem Boga na ustach, dzierżąc w ręku krucyfiks. Dzisiaj jego postać przypomina jedynie skromna, krótka uliczka w południowej części Poznania, której w stulecie powstania listopadowego w roku 1931 nadano imię bohaterskiego księdza. W 170. rocznicę kolejnego polskiego zrywu niepodległościowego warto przybliżyć mało znaną sylwetkę z naszej historii. Tym bardziej, że jego śmierć ma, być może, bezpośredni związek ze słynną litewską Górą Krzyży w miejscowości Jurgaičiai, położonej w pobliżu miasta Szawle (Šiauliai).

Ksiądz Adam Konstanty Loga (1800--1831) jest dzisiaj postacią właściwie zapomnianą. Brak jakiejkolwiek o nim wiadomości w Polskim Słowniku Biograficznym lub Wielkopolskim Słowniku Biograficznym. Na szczęście nieco informacji pozostawił o nim znany pamiętnikarz poznański, a zarazem przyjaciel księdza - Marceli Motty (1818-1898), autor słynnych „Przechadzek po mieście" (spisanych w latach 1888-1892), a także historyk Stanisław Karwowski (1848-1917), autor „Historyi Wielkiego Księstwa Poznańskiego", wydanej w Poznaniu w roku 1918.

Ksiądz Loga urodził się 24 maja 1800 roku na Kociewiu, we wsi Rynkówka, położonej pomiędzy Starogardem Gdańskim a Nowem (nad Wisłą). Pochodził z rodziny szwedzkiej, która otrzymała z czasem indygenat polski, czyli szlachectwo i pieczętowała się herbem Topacz. Uczęszczał do słynnego poznańskiego Gimnazjum św. Marii Magdaleny, a następnie studiował filozofię w Berlinie oraz teologię w Bonn. W czasie studiów berlińskich związał się z tajnym polskim związkiem „Polonia", powstałym w maju 1819 roku. Hasło stowarzyszenia brzmiało - *Wolność i Ojczyzna*. Osobliwy był niepodległościowy „katechizm" tej organizacji wyrażający się w słowach: *Co cię zajmuje? - Myśl Ignacego Potockiego! W jakim duchu? Hugona Kołłątaja! W jakim zamiarze? Nieśmiertelnego Kościuszki!* Policja pruska z czasem wpadła na trop działalności tajnego związku, dokonując aresztowań w nocy z 10 na 11 lutego 1822 roku. W kilka miesięcy później, w lipcu tegoż roku odbył się proces, a wśród skazanych na trzy miesiące twierdzy znalazł się także Adam Loga.

Po ukończeniu studiów powrócił do Wielkopolski i w roku 1827 otrzymał w Gnieźnie święcenia kapłańskie. Posługę duszpasterską jako wikariusz sprawował do roku 1829 w katedrze poznańskiej na Ostrowie Tumskim, a następnie w kościele farnym przy ul. Gołębiej. Z dniem 4 kwietnia 1830 roku objął stanowisko nauczyciela religii w Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu (Ad Sanctam Mariam Magdalenam), najstarszej szkole poznańskiej, której początki sięgają roku 1303. Szkoła ta mieściła się wówczas w zachowanym do dzisiaj pięknym budynku (obecnie szkoła baletowa) u zbiegu ulic Gołębiej i Jezuickiej (obecnie Świętosławska), w pobliżu Starego Rynku, a fakt ten upamiętnia okolicznościowa tablica. Należy w tym miejscu wspomnieć,

KMR

iż szkoła ta o kilkuwiekowej tradycji istnieje do dzisiaj, tyle że siedzibę swą od roku 1858 ma w budynku przy pl. Bernardyńskim.

Po latach Marceli Motty tak pisał o księdzu Adamie Lodze: *...Pamiętam, jak wywarł od razu wpływ, że tak powiem magnetyczny na wszystkich uczniów, osobliwie w klasach wyższych. Gorącą i wzniosłą wymową tak z ambony, jako i na godzinach, powagą postawy i ruchów, jasnym i wyrazistym spojrzeniem, głosem dźwięcznym i podniosłym nakazywał skromność i uszanowanie.* [...] *Młodzież od samego początku nie tylko szacunek czuła do niego, lecz i szczere przywiązanie; toteż przypominam sobie wrażenie, jakie zrobiła w szkole wiadomość, że księdza Logę ruszył paraliż; szczęściem nie było to nic gwałtownego; w kilkunastu dniach wrócił do obowiązków swoich, ale po wargach z jednej strony dostrzec było można lekkie porażenie.* [...] *Ksiądz Loga, ile na to obowiązki duchowne pozwalały, brał czynny udział we wszystkim, co społeczeństwo nasze pod politycznym i towarzyskim względem wtenczas zajmowało. Znajomość łub przyjaźń, zawiązana w szkole i na uniwersytecie, łączyła go z młodą generacją obywatelstwa; Marcinkowski, Potworowski, Mielżyńscy, Stablewscy* (wybitni Wielkopolanie, patrioci, prekursorzy pracy organicznej w Polsce - przyp. autora) *i inni w ciągłej byli z nim styczności, bo przekonania religijne zespoliły się w jego duszy silnie z uczuciem gorącego patriotyzmu. Każdy o tym wiedział, a sympatyczna i towarzyska ogłada, ujmująca osobistość księdza Logi nabrała przez to wybitniejszego znaczenia...*

Kiedy tylko do Poznania dotarły pierwsze wieści o wybuchu powstania listopadowego w Warszawie, ks. Adam Loga jeszcze w grudniu 1830 roku jako jeden z pierwszych przedarł się przez granicę prusko-rosyjską i podążył do Warszawy, do szeregów powstańczych, wstępując do tworzonych oddziałów jazdy poznańskiej. Wraz z nim i profesorem Maksymilianem Braunem do powstania pośpieszyło około 100 uczniów z Gimnazjum Św. Marii Magdaleny. Wspomniany już Marceli Motty tak dalej pisał: *...Wszakże okazało się niebawem, iż zapał ów dla sprawy narodowej nie był u niego blichtrem powierzchniowym, lecz siłą pchającą do czynu.* [...] *Nie poprzestał ksiądz Loga na modłach z daleka, lecz poczuwając się do obowiązku bezpośredniej służby, przeszedł jeden z pierwszych granicę i zaciągnął się jako kapelan wojskowy do pułku jazdy poznańskiej. Tutaj znalazł się wśród przyjaciół,* (...) *podzielał wytrwale, nawet wesoło, trudy i niebezpieczeństwa w polu i bitwie z współtowarzyszami, którym nie szczędził rady i pomocy, służył pociechą kapłańską...*

Z kolei znany historyk Stanisław Karwowski, w swej „Historyi Wielkiego Księstwa Poznańskiego" z 1918 roku dodaje: *...Wstąpiwszy do jazdy poznańskiej, zawiesił krzyż na piersi i przykładem swoim wzbudzał w wojsku odwagę i poświęcenie. Gdy pod Grochowem jazda poznańska, stojąc w asekuracyi armat, wystawiona była na gwałtowny ogień, podjechał ks. Loga do pułkownika Augustyna Brzeżańskiego prosząc, aby mógł stanąć z krzyżem w ręku przed frontem w celu dodania odwagi żołnierzom...*

Kiedy w maju skierowano korpus gen. Dezyderego Chłapowskiego na pomoc powstańcom litewskim, wyruszył u jego boku, w towarzystwie sporej rzeszy Wielkopolan, ksiądz Loga. Uczestniczył on w wielu potyczkach z armią carską, lecz los wyznaczył kres jego życia niemal na końcu kampanii litewskiej, na ziemi żmudzkiej, pod Szawlami.

Maurycy Mann w swej książce „Wincenty Pol. Studium biograficzno-krytyczne", wydanej w Krakowie w latach 1904-1906 tak przedstawił bitwę z Moskalami pod Szawlami: *...Dnia 8-go lipca ze świtem rozpoczęto atak, ale bezładnie i niezgodnie. Brakowało ogólnego kierunku ze strony głównego dowódcy* (gen. Antoniego Giełguda - przyp. aut.), *brakowało porozumienia się między jenerałami, brakowało wreszcie hartu i wytrwałości w szeregach, gdy tymczasem Rosjanie pod dowództwem pułkownika Krukowa złożyli dowody dzielnej obrony i wytrwałości w boju. Szturm trwał 10 godzin i wszędzie bataljony po bastionach rozbijały się o waleczny opór załogi...* Ksiądz Adam Loga w tej tragicznej bitwie starał się własnym przykładem poderwać współtowarzyszy do boju. Nie bacząc na ostrzał Moskali, stojąc na czele jednego z batalionów 7 pułku liniowego poprowadził żołnierzy do ataku na pozycje wroga najpierw z krzyżem, a później z karabinem w dłoni. Zginął w czasie tego natarcia śmiercią bohaterską, o czym tak pisał cytowany już Marceli Motty: *...Gdy pod Szawlami szwadrony szły do ataku, znalazł się w pierwszym rzędzie, wznosząc wysoko krzyż prawą ręką; wtedy to ugodzony kulą spadł z konia i niebawem ducha wyzionął.*

Marceli Motty w swych „Przechadzkach po mieście" kończąc relację o ks. Adamie Lodze zapisał: *...Wiele lat potem jeszcze wspominał ten i ów o księdzu Lodze, opowiadając swoje przygody z kampanii; teraz już od dawna wieść o nim umilkła, chociaż zasłużył sobie, żeby nazwisko jego żyło między nami...*

No a jaki związek ma ów kapłan z Górą Krzyży pod Szawlami? Otóż przed niemal dwudziestu laty przeglądając materiały źródłowe do przygotowywanej pracy zbiorowej pt. „Szlakiem Wincentego Pola", natrafiłem na sugestię, iż pod Szawlami na kopcu ziemnym, krótko po bitwie z Moskalami ustawiono krzyż dla upamiętnienia okoliczności śmierci poznańskiego kapłana. Po latach chciałem odnaleźć źródło mej informacji, lecz moje poszukiwania w kilku bibliotekach (zarówno w wielu publikacjach książkowych lub czasopismach z lat 1834-1850) oraz w Archiwum Archidiecezjalnym zakończyły się niepowodzeniem. Sprawa ta nie dawała mi jednak spokoju, toteż utrzymując korespondencję z redakcją „Magazynu Wileńskiego" poprosiłem o przesłanie aktualnych materiałów o niezwykłej górze pod Szawlami. W odpowiedzi otrzymałem książkę p. Jadwigi Kudirko pt. „Pamiątka z Litwy", w której znajduje się rozdział poświęcony Górze Krzyży. Na stronie 22 czytamy: *Od kiedy powstała tradycja ustawiania tu krzyży, trudno już dziś dokładnie określić. Najprawdopodobniej jednak po powstaniu 1831 roku. Były one bolesną pamiątką po tych, którzy padli w walce...* Tak więc jest wielce prawdopodobne, iż śmierć księdza Adama Logi z krzyżem w dłoni dała początek niezwykłej tradycji pod Szawlami.

(Magazyn Wileński Nr 6, czerwiec 2001)

JÓZEF WELTROWSKI

Moja wyprawa na Syberię i nad jezioro Bajkał

Gdyby mi mniej dopisało szczęście, nie byłaby to pierwsza wyprawa na Syberię. Na przełomie lutego i marca 1945 roku znalazłem się w Borach Tucholskich na tyłach frontu drugiej wojny światowej, który zatrzymał się na linii rzeki Czarna Woda (Wda). Na tym odcinku Niemcy toczyły zacięte walki o korytarz ewakuacyjny Królewiec - Berlin. W tym czasie przemieszczaliśmy się przez linię ognia frontowego i płonącego naszego gospodarstwa w Jastrzębiu. W tej zawierusze frontowej zgubił się najmłodszy brat Jan (1932-2001) oraz nasz ojciec Józef senior (1892-1975). Reszta rodziny z babcią (76 lat) dotarliśmy w okolice Śliwic i zatrzymaliśmy się na wybudowaniach Osiecznej, u gospodarza Mazurowskiego. Po paru dniach, po wyzwoleniu tych terenów, funkcjonariusze Armii Czerwonej zaczęli wszystkich przesłuchiwać, szczególnie mężczyzn. Efektem tego były aresztowania, a potem pod eskortą około 150-200 osób zostało doprowadzonych do Osiecznej. Prowadzący nas żołnierze sowieccy zauważyli, że posiadamy dobre buty na nogach, kożuszki i ciepłe rękawice. Z początku stawiałem opór wyzwolicielom, ale przyszło ich czterech i siłą skrępowali mnie ściągając buty, kożuszek i rękawiczki, grożąc, że mnie zabiją jak nie będę cicho siedział w szopie.

Pomyślałem, że może być jeszcze gorzej, gdy przez szparę szopy zobaczyłem jak ustawiają aresztantów z mojej kolumny do wymarszu. Wśród żołnierzy sowieckich rozpoznałem na nogach moje buty - saperki, usłyszałem jak jeden z nich chwalił się przed kolegą, że są charosze. W tym czasie nadarzyła się okazja do ucieczki, znalazłem w tylnej ścianie szopy luźną deskę, przez którą udało mi się wydostać na zewnątrz. Znając dobrze wioskę Osieczna, przez okolice przedostałem się pod wieczór do lasu. Na drugi dzień dotarłem do gospodarstwa Mazurowskiego, u którego chwilowo zatrzymała się moja rodzina bez ojca i brata Jana.

Już jako partyzant starałem się nawiązać kontakt z kolegami i dowiedzieć się o losy mojego ojca i brata Jana. W tym czasie front przesunął się bliżej Gdańska, a ja zdążyłem porozumieć się z mieszkańcami mojej wioski Jastrzębie i Zimne Zdroje: Janem Kiedrowskim (1926-2000), Franciszkiem Kaszbowskim (1930-), Jakubem Chabowskim (1923-) i Władysławem Ossowskim (1912-1998) z Jastrzębia, żołnierzem WP w 1939 roku. W tym składzie postanowiliśmy przedostać się lasami do naszych domów rodzinnych. Udając się ostrożnie w kierunku Zimnych Zdrojów natrafiliśmy na patrol wojskowy szpitala polowego w lesie, 1 km od wioski. Zamiast oczekiwanej informacji zostaliśmy zatrzymani i pod eskortą doprowadzeni do komendy wojennej w Osiecznej. Tam nas rozdzielono - mnie umieszczono u gospodarza Koseckiego. Wówczas zaczęły się przesłuchania oraz groźby, że jestem sabotażystą.

Na jednym z przesłuchań powiedziałem oficerowi sowieckiemu, że ja tych wszystkich zarzutów nie rozumiem, bo nie znam rosyjskiego. Zaproponowałem, żeby rozmowy były prowadzone z udziałem tłumacza. Jako partyzant z Borów Tucholskich wiedziałem, że Bydgoszcz wyzwolili żołnierze polscy i że była możliwość telefonicznego skontaktowania się z tamtejszym dowództwem. Po tej informacji oficer spuścił z tonu, schował pistolet do kabury i kazał mnie zamknąć w piwnicy.

Teraz mogłem przez małą szparę okienną zobaczyć jak topnieje śnieg. Ściekająca do piwnicy woda codziennie przybywała, musiałem więc ulokować się na skrzyni. Otrzymywałem raz na dzień menażkę zupy z kaszy. Po upływie około tygodnia wezwano mnie na przesłuchanie i ku mojemu zdziwieniu za stołem siedzieli kapitan Wojska Polskiego z adiutantem oraz ten sam oficer sowiecki. Mile zdziwiony widokiem oficera w polskim mundurze zameldowałem się jako żołnierz-partyzant z Borów Tucholskich. Wówczas kapitan WP powstał i przywitał się ze mną. Prosił o wyjaśnienie okoliczności aresztowania. Po moim wyjaśnieniu prosiłem o pomoc w odnalezieniu mego ojca i brata. Sowiecki major przekazał moje dokumenty polskiemu kapitanowi, pod którego opieką się znalazłem. Tak uniknąłem wywózki na Wschód.

Jak już minęły czasy przymusowej wywózki i zsyłki to cały czas myślałem jak się skontaktować z tymi osobami, które na Syberię zostały wywiezione. Do realizacji tego doszło po bardzo wielu latach. Pomógł mi w tym przedsięwzięciu badacz Syberii i wielki podróżnik Romuald Koperski oraz moje szerokie grono turystów PTTK i „Wodniaków". Pomimo różnych przeszkód i ostrzeżeń wiekowych, bo przecież mam już 78 lat wyprawa na Syberię doszła do skutku w dniach 27 lipca do 25 sierpnia 2002 roku.

Zanim doszło do wyjazdu odbyliśmy kilka spotkań, na których zapadły ostateczne uzgodnienia, że ufundujemy marmurową tablicę i umieścimy na niej następujący napis: „J. Czerskiemu i pozostałym badaczom Syberii, Rodacy z Polski 15.08.2002 r." (również w języku rosyjskim). Niebawem uformowała się dziesięcioosobowa grupa pod patronatem PTTK Oddział Morski w Gdyni, a pilotem została nasza wspaniała koleżanka Ewa Rynkiewicz.

Wyjazd nastąpił pociągiem z Gdyni przez Warszawę do Moskwy. Na zwiedzanie stolicy Rosji poświęciliśmy dwa dni. Dalej trasą transsyberyjską cztery dni do Irkucka pokonując około 5200 km. Miasto to zwiedzaliśmy dwa dni: katedrę, cerkwie, kościoły, muzeum, port na rzece Angarze itp.

Później zadomowiliśmy się w Domu Pielgrzyma im. Jana Pawła II w Listwiance, zwiedzając Muzeum Bajkał, port i trasę kolejową Bajkału z tunelami, przy budowie których pracowali niegdyś zesłani na Syberię. Przepłynęliśmy wodolotem „Kometa" całe jezioro Bajkał aż do miasta Niżnnieangarska (około 700 km w jedną stronę). Zwiedzaliśmy Instytut Bajkału w Górnych Kotach, a także skansen-muzeum w Talwince. Następnie autobusem z Irkucka udaliśmy się do Wierszyny odległej o 170 km, gdzie mieszkają Polacy. Nasz pobyt trwał tam dwa dni. Odbywaliśmy wyprawy z młodzieżą w Góry Bajkału, na Drogę Krzyżową. Mieliśmy ciekawe spotkanie z młodzieżą katolicką, która wróciła z Toronto (Kanada), wspólne ognisko z uczestnikami kolonii letnich, pogadanki oraz kąpiele w Bajkale i wyprawy w lasy tajgi wokół Listwianki i Bajkału.

Spotkałem tam ciekawych ludzi, którzy jednak już nie mówią po polsku, ale czują się Polakami. Starszy Sybirak, który suszył siano na łące oddalonej około 10 km od miasta portowego Bajkał przyznał, że nie mówi już po polsku, choć jest rodem z Polski i nazywa się Baranowski. Żeby udowodnić, że sercem jest związany z „matuszką" Polską klęcząc zmówił modlitwy „Ojcze Nasz" i „Zdrowaś Maryjo", których nauczyła go matka, kiedy był dzieckiem. Ojca też już nie pamiętał, bo zmarł, gdy zostali tutaj przywiezieni z Wilna w 1940 roku.

Podczas spotkania z rosyjską młodzieżą kolonijną przy ognisku zapytałem, czy może ktoś ma polskie pochodzenie lub zna takie nazwisko jak Wójcicki. Po dużym namyśle jedna z dziewczyn podniosła rękę i powiedziała po rosyjsku, że jej babuszka nazywajet się Wójcicka, ale jest w szpitalu i maje 92 lata. Po krótkiej rozmowie dziewczyna przypomniała sobie, że babuszka uczyła jej piosenki polskiej, którą zapamiętała i może zaśpiewać „Szła dziewczeczka do laseczka, do zielonego" i tak całą poprawnie zaśpiewała. Na koniec zaśpiewała „Wszystkie nasze dzienne sprawy". Zaskoczeniem i wielkim przeżyciem było dla nas kiedy podczas pożegnania młodzież chórem zaśpiewała „Szła dziewczeczka do laseczka".

Czy duch „Głosu Serca Polskiego" przestał działać, nie, przekonałem się osobiście i myślę, że ks. bp Jerzy Mazur wróci do swojej diecezji irkuckiej.

Z tej wyprawy zrobiłem osobiście około 370 zdjęć i na jednej z fotografii pozostał znak szczególny Matki Boskiej Fatimskiej.

Fot. ze zbiorów autora

Turyści z Gdyni przedstawiają tablicę pamiątkową w katedrze irkuckiej

Rejs statkiem po Bajkale

Spotkanie z młodzieżą podczas mszy św. odprawianej przez ks. Wiesława Dudka

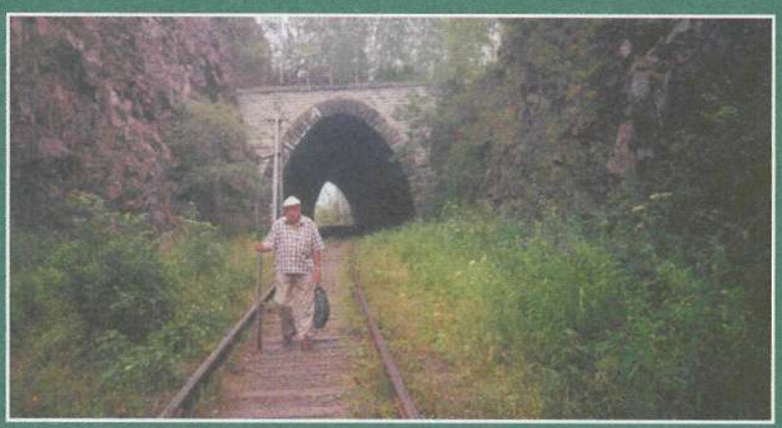

Jeden z tuneli na trasie kolei transsyberyjskiej

Plakaty o spływach kajakowych w Borach Tucholskich w klasie języka polskiego w Szkole Podstawowej w Wierszynie

ADAM MURAWSKI

Późno odkryty talent

JERZY KAMIŃSKI, urodził się 10 listopada 1946 roku w Barłożnie. Technik ogrodnik, absolwent Technikum Rolniczo-Ogrodniczego w Gdańsku Oruni. Prowadzi z żoną Marią (z domu Murawska) i czwórką dzieci 7-hektarowe gospodarstwo rolne w Barłożnie. Twórca ludowy, rzeźbiarz.

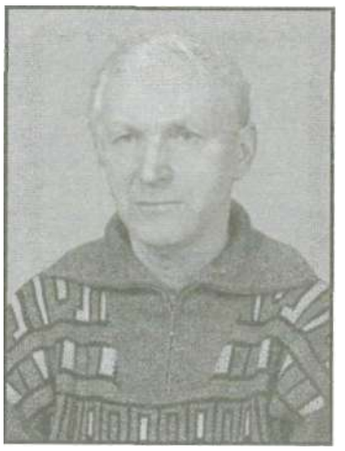

Swoją przygodę z dłutami zaczął trochę przypadkowo. W 1995 roku pomagał swojemu sąsiadowi, Romanowi Raduńskiemu, przy wycinaniu potężnej lipy, którą zasadził 80 lat temu ojciec Jerzego - Wincenty Kamiński. Sąsiad, za pomoc przy wycinaniu lipy, sprezentował część wielkiego pnia Jerzemu. Ten okorował go i schował do stodoły. Przed żniwami robiąc porządek, pomagający mu w tym chrześniak żony - Maciej Michna zapytał po co wujkowi taki wielki pień drzewa. Jerzy Kamiński odpowiedział żartem, że jak przejdzie na emeryturę rolniczą, to będzie rzeźbił. Wielkie zdziwienie było, gdy w listopadzie na swoje urodziny pan Jerzy dostał w prezencie od Macieja komplet dłut do rzeźbienia w drewnie.

- No to jak dostałem dłuta, to muszę spróbować - powiedział.

Mając drewno, dłuta spróbował rzeźbić. Jego pierwszą rzeźbą była postać księcia pomorskiego. Jest to spora rzeźba (wysokość 80 cm) przedstawiająca posępnego, mocarnego mężczyznę o sumiastych wąsach i kędzierzawej, siwiejącej brodzie. Nadal zdobi ona mieszkanie państwa Kamińskich. Rzeźbienie spodobało się Jerzemu Kamińskiemu; nadchodziła zima i rolnik ma wtedy więcej wolnego czasu. I tak powstawała mała galeria rzeźb: kowal, rybak, kat, królewicz, mnich, którego twarz jest bardzo podobna do twarzy jego ojca Wincentego. Powstają figury Ojca Świętego Jana Pawła II, Matki Bożej, Jezusa Chrystusa - to duże rzeźby, które Kamiński lubi robić najchętniej. Pierwsze rzeźby stały sobie w pokoju u państwa Kamińskich, aż zobaczyła je dyrektorka szkoły podstawowej z Barłożna. Wzięła je do udekorowania holu szkolnego, gdzie odbywała się uroczystość nadania imienia księdza Feliksa Bolta. To było dokładnie 10 listopada 1996 roku.

Rzeźby Jerzego Kamińskiego oglądało wiele znamienitych gości przybyłych na tę uroczystość, między innymi: biskup pelpliński prof. dr hab. Jan Bernard Szlaga, marszałek senatu RP Adam Struzik, wojewoda gdański Henryk Wojciechowski, starosta powiatu starogardzkiego Andrzej Grzyb i inni. Autorem rzeźb zainteresowało się Radio „Głos" z Pelplina i Radio Gdańsk oraz Muzeum Etnograficzne w Oliwie w osobie jej kustosza Krystyny Szałaśnej oraz Edmund Zieliński prezes Stowarzyszenia Twórców Ludowych oddziału Gdańsk.

Jerzy Kamiński rzeźbił coraz więcej i coraz chętniej, zaczął wyjeżdżać na plenery rzeźbiarskie, spotykał się z innymi twórcami ludowymi, wymieniał uwagi i spostrzeżenia. Zaczął brać udział w różnych konkursach rzeźbiarskich, realizować prywatne zamówienia - rozgłos zyskał rzeźbiąc serię postaci trzech rycerzy Sambora II (jedną zakupiło Muzeum Wisły w Tczewie, dwie pozostałe nabywcy prywatni: Adam Murawski z Tczewa i Czesław Czyżewski prezes Wydawnictwa Pomorskiego i „Gazety Tczewskiej").

Dzisiaj jego rzeźby znajdują się w wielu miastach Polski, a także za granicą: w Niemczech, Anglii, Holandii, a nawet Paragwaju *(Święty Franciszek z Asyżu)*. Największym przeżyciem dla Jerzego Kamińskiego była propozycja złożona mu przez profesora Mariana Kołodzieja, głównego projektanta ołtarza papieskiego dla Sopotu w 1999 roku. Znalazł on się wśród 48 twórców ludowych i 7 artystów rzeźbiarzy z Kociewia i Kaszub, których rzeźby stanowiły elementy ołtarza papieskiego podczas pielgrzymki papieża Jana Pawła II.

- Najpierw miałem zrobić tylko dwie rzeźby - mówi Jerzy Kamiński - ale wizyta papieża Polaka jest tak niepowtarzalnym wydarzeniem, że podjąłem się wykonania aż pięciu rzeźb, żeby jak najgodniej uczcić ten fakt.

I tak z tego wielkiego pnia lipowego drzewa, które zasadził jego ojciec 80 lat temu, powstała monumentalna postać *Św. Barbary,* piękna w swojej prostocie bez zbędnych ornamentacji o wysokości ponad 2 metrów. Pozostałe rzeźby, to: *Matka Boska Zielna* wykonana w formie kapliczki słupowej, *Zbawiciel na Krzyżu* - smukły krucyfiks, *Chrystus* - duża, naturalna wielkość, który został umieszczony w Sopocie na 8-metrowym krzyżu oraz figura *Świętego Franciszka z Asyżu*. Wszystkie te rzeźby zostały poświęcone przez papieża Jana Pawła II dnia 5 czerwca 1999 roku w Sopocie. Po demontażu ołtarza papieskiego na sopockim hipodromie Jerzy Kamiński postanowił przekazać dwie swoje rzeźby, tj.: *Świętą Barbarę* i duży 8-metrowy krzyż z *Chrystusem* na ręce arcybiskupa gdańskiego dra Tadeusza Gocłowskiego, który podjął decyzję o umieszczeniu głównego elementu ołtarza - hostii i części figur w Sanktuarium Matki Boskiej Brzemiennej w Matenblewie. Zebrane tu rzeźby zapoczątkowały Drogę Krzyżową w plenerze, brakujące zaś stacje dorzeźbiono potem. Dwie inne rzeźby *Matkę Boską Zielną* oraz *Zbawiciela na Krzyżu* nabyli prywatni nabywcy ze Starogardu Gdańskiego.

Dla ostatniej rzeźby z papieskiego ołtarza *Św. Franciszka z Asyżu* artysta znalazł miejsce przed swoim domem. Umieścił ją w swojej kapliczce słupowej i odtąd przypomina jemu, domownikom i wszystkim gościom odwiedzającym jego dom o doniosłym fakcie wizyty papieża Jana Pawła II na kociewskiej ziemi. To, że aż pięć jego rzeźb znalazło się na ołtarzu sopockim dało panu Jerzemu dużą satysfakcję,

także i materialną. Nigdy nie ukrywał, że rzeźbienie pozwala mu na uzupełnienie skromnego, rolniczego budżetu domowego. Z tego też powodu czasami współpracuje z Cepelią robiąc dla niej: rycerzy, wojów, świątków itp. Najmniej to lubi.

- Bo to już masówka, rzemiosło - stwierdza - ale musi być coś na chleb.

Jerzy Kamiński urodził się w Barłożnie i całe swoje życie związał z tą piękną historyczną wsią kociewską, nic więc dziwnego, że aktywnie angażuje się w życie wsi i gminy. Ceni sobie bardzo współpracę z proboszczem miejscowej parafii p.w. „św. Marcina" ks. Aleksandrem Kreftem, dla którego odrestaurował część ławek z zabytkowego kościoła, wykonał przepiękny żłobek oraz figurę *Dobrego Pasterza,* która jest umieszczona w murowanej kapliczce w środku wsi naprzeciwko kościoła, a została poświęcona przez biskupa pelplińskiego prof. dra hab. Jana Bernarda Szlagę. Miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej podarował kapliczkę słupową z rzeźbą patrona strażaków św. Floriana poświęconą przez diecezjalnego kapelana strażaków. Znajduje się ona obok remizy OSP Barłożno.

W uznaniu szczególnych zasług w dziedzinie upowszechniania twórczości ludowej w kategorii rzeźby w drewnie uchwałą Rady Gminy w Skórczu Nr XIII /88/ 2000 z dnia 30 marca 2000 roku otrzymał statuetkę Oskara Gminy „Za Zasługi dla Gminy Skórcz".

Większość swych rzeźb Jerzy Kamiński pokrywa ciemną bejcą lub tylko samym pokostem, choć niektórzy z etnografów twierdzą, że stara kociewską rzeźba ludowa była zawsze malowana, ale on rzeźbi dopiero od ośmiu lat i cały czas poszukuje własnych rozwiązań formalnych i kolorystycznych. Można jednak zauważyć, że posiada już swój charakterystyczny, rozpoznawalny styl, nawiązujący do wyraźnych elementów sztuki ludowej regionu kociewskiego. Dostrzec też można w jego pracach pewne próby świadome bądź intuicyjne wprowadzania swego innego stylu, czego przykładem mogą być tu wykonywane przez niego kapliczki słupowe. Przez niektórych znawców tematu uważane za niezwiązane z regionem kociewskim, a bardziej z Podhalem - to jednak nie przeszkadza panu Jerzemu. Wiele zamówień na taką formę kapliczek dowodzi, że styl kapliczki słupowej zaproponowany przez artystę podoba się ludziom. Wykonał ich już wiele, że wspomnimy tylko: *Matka Boska Zielna, Święty Florian, Matka Boska Różańcowa, Matka Boska Swarzędzka* (Chłapowo) i inne. Jego własny, niepowtarzalny styl możemy również zauważyć w Szopce Bożonarodzeniowej.

Charakterystycznymi elementami w jego twórczości są źródełka wodne. W swoich Szopkach Bożonarodzeniowych połączył swoje dwie pasje: rzeźbiarską i ogrodniczą. Święta Rodzina, pasterze, Trzej Królowie, zwierzęta wyrzeźbione w drewnie umieszczone są na specjalnej makiecie wykonanej z drewna, kory, mchu, kamieni, kwiatów żywych i suszonych, a do tego źródełko wodne z szemrzącą wodą w obiegu zamkniętym. Stwarza to niepowtarzalny klimat i nic dziwnego, że pan Jerzy otrzymuje wiele pierwszych nagród w Kociewskich Konkursach Szopek Bożonarodzeniowych, w których bierze udział.

Tak, jak u wielu innych kociewskich twórców ludowych w twórczości Jerzego Kamińskiego przeważa tematyka religijna z Matką Bożą na czele, jest to bardzo naturalne, najbliższe twórcom ukształtowanym w chrześcijańskiej tradycji przejętej od ojców i dziadów. Pan Jerzy lubi również rzeźbić prostych ludzi, wykonujących pospolite zawody, takich jak: kowal, rybak, mnich, kobieta z chrustem czy koszykiem grzybów. Wykonuje również rzeźby rycerzy, królów i książąt. Próbuje swych sił również w płaskorzeźbie, np. wykonał dwie płaskorzeźby o wymiarach 1 x 1,10 m stacji Drogi Krzyżowej do Sianowa. Są to: *Jezus bierze krzyż na ramiona* — stacja II oraz *Szymon Cyrenejczyk pomaga Jezusowi w niesieniu krzyża* - stacja V. Za płaskorzeźbę *Jezus Ukrzyżowany* otrzymał wyróżnienie na XVI Festiwalu Twórczości Sakralnej „Muzyka - Plastyka - Poezja" Tczew 2000. Płaskorzeźbę przedstawiającą Pietę przekazał księdzu doktorowi Jerzemu Więckowiakowi z okazji promocji jego książki pt. „Piety pomorskie w rzeźbie, malarstwie i złotnictwie" dnia 24 lutego 2003 roku w Gdyni.

Dość dobry warsztat rzeźbiarski sprawia, że Jerzy Kamiński dostaje zlecenia na renowację lub całkowite skopiowanie starych, zniszczonych, zabytkowych rzeźb. Przykładem tego niech będą kopie figur Matki Bożej oraz św. Jana o wysokości 1 metra na portal drzwi kościoła w Tychnowych koło Kwidzyna oraz renowacja figury Chrystusa Zmartwychwstałego z tego kościoła. Wykonał również replikę figury św. Jakuba do kapliczki w Dzierżążnie, która została zniszczona w czasie okupacji. Swą wielką pasją rzeźbiarską zaraził dzieci, które biorąc przykład z ojca ujawniły swoje nieprzeciętne zdolności plastyczne. Dotyczy to przede wszystkim córki Magdaleny oraz najmłodszego syna Łukasza. Ich prace plastyczne, rzeźby, Szopki Bożonarodzeniowe wystawiane na różnych konkursach czy wystawach zbierają bardzo dobre recenzje wśród znawców tematu, a młodym twórcom dostarczają nie tylko satysfakcji ale również nagrody i dyplomy. Pozostała dwójka synów ma trochę inne zainteresowania - najstarszego Andrzeja pasjonuje ogrodnictwo, zakładanie ogrodów i skalniaków (zapewne też po tacie), Piotra zaś interesuje mechanika i samochody.

Obok pasji rzeźbienia Jerzy Kamiński ma drugą, tą którą zajmuje się prawie od dziecka - to ogród, uprawa kwiatów i roślin ozdobnych. Jego przydomowy ogródek prawie corocznie zwycięża w konkursie na najbardziej zadbaną posesję organizowanym przez gminę Skórcz, (np. I miejsce w 1997 roku). Swoje zdolności w projektowaniu ogrodów, szczególnie ogródków skalnych, właściwym doborem roślin jednorocznych i wieloletnich, krzewów, iglaków wykorzystuje przy zakładaniu takowych ogródków u innych ludzi. Jest znanym w okolicy i nie tylko (w 2002 roku zakładał skalniak z oczkiem wodnym w Niemczech) budowniczym oczek wodnych i skalniaków. Posiada rzadką umiejętność tzw. „łupania kamieni" czyli dzielenia specjalnym młotem dużych kamieni na cienkie, o dużej powierzchni plastry. Jego ogródki, skalniaki, oczka wodne można podziwiać między innymi w Skórczu, Starogardzie Gdańskim, Nowej Cerkwi, Rokitkach Tczewskich, Kaliskach, Nowem, Pszczółkach i w wielu innych miejscowościach i wsiach kociewskich.

Połączenie rzeźbiarstwa i kamieniarstwa możemy zauważyć także u innych twórców ludowych, czego przykładem niech będzie działka własnościowa Jerzego Walkusza z Hapowa - znanego specjalisty od instrumentów ludowych, skrzypiec, burczybasów, które sam wymyśla dla kaszubskich zespołów. Jerzy Walkusz także rzeźbił na ołtarz sopocki - duży krzyż z Chrystusem, który po pielgrzymce umieścił na dużej kapliczce zaprojektowanej przez siebie, zbudowanej z tysięcy kamieni (chyba największa na Pomorzu). W jej specjalnych wnękach znajdują się rzeźby *Matki Bożej Różańcowej* autorstwa Jerzego Kamińskiego oraz *Święty Wojciech* autorstwa Edmunda Zielińskiego.

Rzeźby Jerzego Kamińskiego

Jerzy Kamiński z prof. Marianem Kołodziejem podczas pleneru rzeźbiarskiego w Sopocie, który odbył się w 1999 roku

Jerzy Kamiński podczas rzeźbienia figury Chrystusa

KONKURSY I WYSTAWY, W KTÓRYCH UCZESTNICZYŁ JERZY KAMIŃSKI:

KOCIEWSKI KONKURS SZOPEK BOŻONARODZENIOWYCH STAROGARD GDAŃSKI
obejmujący trzy powiaty: starogardzki, tczewski, świecki.

8 edycja – 1999 rok – I miejsce
9 edycja – 2000 rok – Grand Prix
10 edycja – 2001 rok – I miejsce (nagroda rodzinna)
11 edycja – 2002 rok – wyróżnienie

WSPÓŁCZESNA SZTUKA LUDOWA KOCIEWIA
STAROGARDZKIE CENTRUM KULTURY, GALERIA „A"

VI konkurs – 12.12.1999 rok – III nagroda w kategorii rzeźba w drewnie
VII konkurs – 26.11.2000 rok – wyróżnienie w dziedzinie rzeźby
VIII przegląd – 2002 rok – prezentacja trzech rzeźb

AMATORSKI KONKURS RZEŹBY SAKRALNEJ POMORZA
O NAGRODĘ IM. JULIANA RYDZKOWSKIEGO, CHOJNICE

X konkurs – 1999 rok – wyróżnienie
XIII konkurs – 2002 rok – wyróżnienie za całokształt

KONKURS KRZYŻE I KAPLICZKI PRZYDROŻNE

2001 rok – nagroda Prezydenta Miasta Starogard Gdański

XVI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI SAKRALNEJ
„MUZYKA – PLASTYKA – POEZJA", TCZEW

2000 rok – wyróżnienie

KONKURS „ANIOŁ KOCIEWSKI", STAROGARD GDAŃSKI
I edycja – 2001 rok – nagroda specjalna

WYSTAWA PRAC W KOCIEWSKIM DOMU KULTURY W OSIEKU

1999 rok

Matka Boska Różańcowa,
lipa, wys. 105 cm, 1999, polichromowana

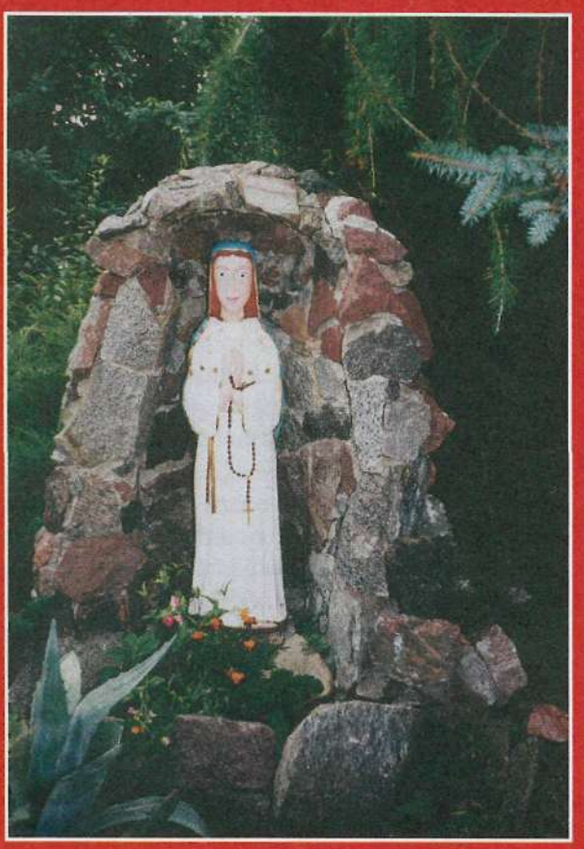

KMR

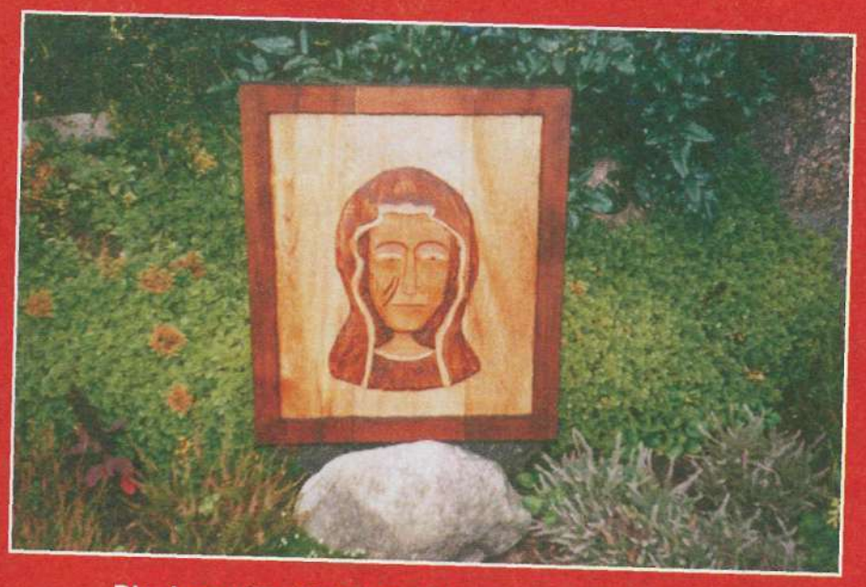

Płaskorzeźba Matki Boskiej w ogrodzie twórcy

Mnich,
lipa, wys. 85 cm, 1996

Sambor II,
lipa, wys. 88 cm, 1997

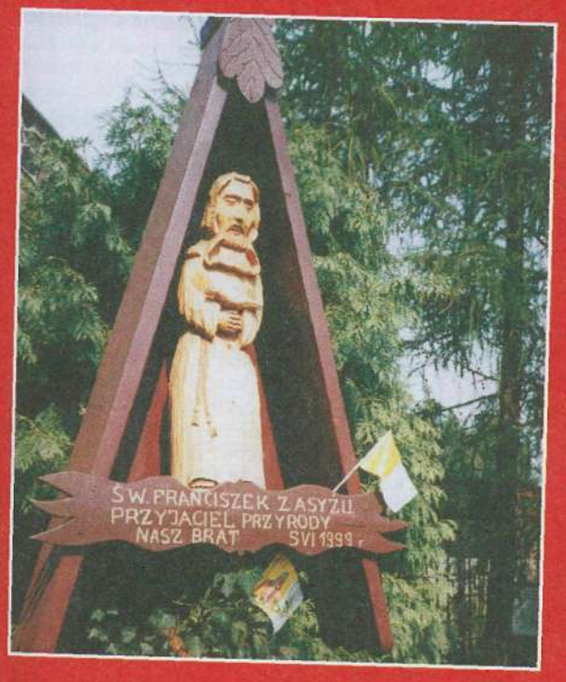

Kapliczka słupowa przed domem państwa Kamińskich w Barłożnie z rzeźbą *Świętego Franciszka z Asyżu*

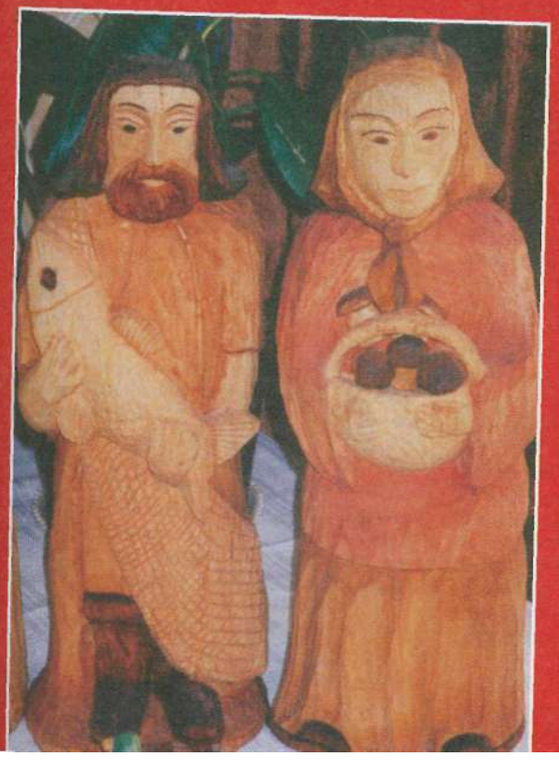

Rybak i *Kobieta z grzybami,*
lipa, wys. 48 cm, 2002

W 2001 roku minęło 725 lat od powołania opactwa cysterskiego w Pelplinie. Z tej okazji w dniach 21-23 września 2001 roku odbyła się w Pelplinie sesja naukowa „Kulturotwórcza rola cystersów na Kociewiu". Sesję zorganizowało Starostwo Powiatowe w Tczewie, Instytut Historii Uniwersytetu Gdańskiego oraz zespół naukowców Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

W czasie trzech dni wygłoszono kilkanaście referatów i kilka komunikatów z zakresu dziejów opactwa, kultury piśmienniczej i muzycznej cystersów, ich duchowości i działań misyjnych.

Plon naukowej konferencji ogłoszono w specjalnej publikacji, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum" w Pelplinie. Pokaźna książka o objętości 440 stron formatu B5 jest najobszerniejszą współcześnie publikacją o cystersach. Stanowi skarbnicę wiedzy o opactwie pelplinskim i jego kulturotwórczej roli w dziejach ziemi kociewskiej.

Do przedruku wybraliśmy interesujący tekst Magdaleny Nierzwickiej o iluminacjach rękopisów opactwa. Tytuł publikacji pochodzi od redakcji. Tytuł wygłoszonego referatu stanowi podtytuł przedruku.

MAGDALENA NIERZWICKA

Skarby ze skryptorium

Iluminacje rękopisów dawnego opactwa cystersów pelplińskich. Średniowieczne kodeksy ze zbiorów Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie

Na Pomorzu Gdańskim, w jego części zwanej Kociewiem, przez ponad pięć wieków (1276-1823) istniała i prężnie funkcjonowała placówka zakonu cystersów - pelpliński klasztor *Beatę Mariae Virginis*. Zanim mnisi dotarli do Pelplina, pierwszą ich siedzibą stały się położone nieopodal Pogódki, dokąd w 1258 r. zostali sprowadzeni z Doberanu w Meklemburgii przez księcia Sambora II[1]. W *Kronice klasztornej* przechowywanej w Archiwum Diecezjalnym w Pelplinie[2] zapisano, że konwent opuścił Pogódki *z powodu niezdrowego klimatu, nieurodzajnej gleby i nieodpowiedniego miejsca*[3], choć wiadomo dziś, iż powszechnym zwyczajem cystersi najpierw osiedlali się w prowizorycznych miejscach, by następnie znaleźć dogodniejsze siedziby dla ostatecznego założenia klasztoru i wybudowania kościoła[4].

Zakon cystersów właśnie w Pelplinie znalazł optymalne warunki dla pomyślnego rozwoju, a obowiązek lektury odpowiednich ksiąg wynikający z *lectio Divina* oraz wypracowany przez lata znaczny potencjał gospodarczy, sprzyjał rozwojowi biblioteki klasztornej. Powstała ona - zgodnie z przyjętymi w regule zakonnej normami - zapewne tuż po osiedleniu się w Pelplinie pierwszych mnichów cysterskich, swe podstawy zawdzięczając klasztorowi macierzystemu. W Statutach Kapituły Generalnej czytamy następujące wskazania: *Dwunastu mnichów z trzynastym opatem mogą przejść do nowego klasztoru, nie mogą tam jednak zostać zatwierdzeni dopóki nie zostanie przygotowane miejsce dla ksiąg, mieszkań i niezbędnych rzeczy, przynajmniej dla ksiąg mszalnych, reguły, ksiąg ćwiczeń, psałterza, hymnarza, kolekcjonarza, dormitorium, celi gościnnej i furtiana oraz rzeczy niezbędnych do życia doczesnego tak, aby można tam żyć i natychmiast zachować regułę*[5]. Powyższe słowa są dowodem, że konwent macierzysty wyposażał nowo zakładane filie w niezbędne księgi, co było zresztą powszechną praktyką stosowaną w wielu zakonach. Potwierdzeniem tego są również rękopisy stanowiące pierwotne uposażenie klasztoru macierzystego w Doberanie. Najstarsze kodeksy z XII w. przechowywane dziś w bibliotece pelplińskiej, opatrzone są notami własnościowymi: m.in. *Venerabilis monasteri in Doberan, Liber Sancle Marie perpetue in Doberan* świadczące o pierwotnej przynależności do librarii niemieckiej[6]. Najprawdopodobniej nie są to jednak wszystkie książki, jakie dotarły tu z Doberanu wraz z pierwszymi mnichami. Część z nich na przestrzeni wieków zaginęła lub została zaczytana, część zaś kryje się zapewne do dziś bez śladów tej proweniencji w zasobach biblioteki seminaryjnej w Pelplinie[7]. Nie ma jednak wątpliwości, iż opactwo zostało uposażone w sposób niewystarczający i dlatego bardzo wcześnie stanęło przed potrzebą dalszego wzbogacenia księgozbioru. Jednym z pierwszych, a zarazem najbardziej podstawowym źródłem nabytków musiało stać się własne skryptorium. Jego rolę w organizacji życia klasztornego doceniono szybko, bowiem w Statutach z 1134 r. zaznaczono, że *we wszystkich skryptoriach, gdzie mnisi piszą, powinna być utrzymana cisza*[8]. Dalsze rozporządzenia z 1154 r. zabraniały pisania i kopiowania ksiąg poza miejscem specjalnie do tego wyznaczonym - czyli skryptorium. O działalności pelplińskiego warsztatu pisarskiego, bez wątpienia współdziałającego z pracownią malarską, dowiadujemy się z kroniki klasztornej. Czytamy w niej m.in., że *w roku 1370 napisana została dla chóru opata piękna książka boskiego oficjum na godziny nocne i nieszpory w okresie zimowym*[9]. Kolejny kodeks przeznaczony *dla chóru opata na oficjum nocne i nieszpory na porę letnią* opuścił skryptorium pelplińskie w 1371 r.[10]. Podobnych informacji o powielaniu ksiąg liturgicznych bądź teologicznych przez miejscowych kopistów cysterskich, na kartach tejże kroniki, mamy jeszcze kilka". Trudno jednakże w dzisiejszych pozostałościach odnaleźć konkretne produkty skryptorium wymieniane w kronice. Zaledwie w jednym przypadku możemy bezsprzecznie odnaleźć wśród dzisiejszego zasobu bibliotecznego zasygnalizowany przez kronikarza manuskrypt[12]. Chodzi tu o pergaminowy kodeks opatrzony biblioteczną sygnaturą rkps 85/186 stanowiący dzieło Dionisiusa de Florentia *Conclusiones in quattuor libros sententiarum Petri Lombardii*. Niewykluczone również, iż inny zapis mówiący o powstaniu w 1375 r. *ładnego graduału dla chóru opata* dotyczyć może zachowanego graduału L 13[13], wyróżniającego się spośród innych woluminów liturgicznych, bogactwem dekoracji.

Książnica opactwa w ciągu wieków istnienia dzieliła losy swojego właściciela. Kres jej egzystencji przyszedł wraz z zarządzeniami władz pruskich, znoszącymi w 1823 r. klasztor pelpliński[14]. Od 1829 r. weszła zaś w skład biblioteki, przeniesionego z Chełmna do Pelplina, Seminarium Duchownego[15] i do dnia dzisiejszego stanowi jedną z cenniejszych, zabytkowych kolekcji tejże biblioteki.

W momencie kasaty biblioteka pelplińskich mnichów liczyła przypuszczalnie kilka tysięcy woluminów rękopisów, inkunabułów i starodruków. Była zapewne jedną z największych, jeśli nie największą librarią zakonną na Pomorzu[16]. Mieściła się najprawdopodobniej w osobnym pokoju bibliotecznym, w południowym skrzydle klasztoru, z czasem zaś przeniesiono ją do sali nad kaplicą gimnazjalną i zakrystią katedralną[17].

Przystępując do badań nad kolekcjami historycznymi[18], w pierwszym rzędzie w kręgu zainteresowań zarówno historyka książki, jak i historyka sztuki badającego zdobnictwo książki, znajdzie się naturalnie główny i zasadniczy przedmiot badań - zachowany księgozbiór. W przypadku Pelplina czasów obecnych doczekała 1/3 a może i blisko połowa dawnego zasobu biblioteki cystersów, przechowywana - co wydaje się szczególnie cenne - w zdecydowanej większości w jednym miejscu - w Bibliotece Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. Pośród blisko 12 tysięcy woluminów starych druków, jakie składają się dziś na zasób książnicy seminaryjnej, ok. 2000 dzieł to pozostałość po bibliotece byłego opactwa cysterskiego w tym - szczególnie interesujące nas - średniowieczne manuskrypty zachowane w liczbie - 235 woluminów, z czego ponad 140 tomów stanowią kodeksy pergaminowe. Wśród nich 33 najstarsze manuskrypty pochodzą jeszcze z epoki romańskiej (XII i XIII w.), reszta zaś wykazuje cechy charakterystyczne dla epoki gotyku. Wyłączenie 235 rękopisów opatrzonych wpisami własnościowymi klasztoru pelplińskiego, bądź charakterystycznymi dla tego zbioru sygnaturami, pozwoliło na zweryfikowanie dotychczasowych danych odnośnie wielkości ich średniowiecznego zasobu[19].

Z tego pokaźnego zbioru jedynie fragment stał się przedmiotem badań historyków sztuki, przy czym warto zauważyć, iż zajęto się przede wszystkim kodeksami o najwyższych walorach artystycznych.

Jako pierwsza zagadnienia ikonografii wybranych rękopisów pelplińskich podjęła Zofia Rozanow[20] omawiając je w dwóch zespołach: kodeksy importowane i powstałe w miejscowym skryptorium cysterskim. Analizę dekoracji kilku manuskryptów z książnicy cysterskiej przeprowadziła Iwona Błaszczyk, starając się wykazać wpływ iluminowanych manuskryptów sprowadzanych z zagranicy na kształtowanie się artystycznego środowiska lokalnego, przy czym wielką rolę w tym względzie przypisała kodeksom francuskim[21]. Kilkakrotnie temat zdobnictwa rękopisów z książnicy pelplińskiej pojawił się w opracowaniach Alicji Karłowskiej-Kamzowej. Na podstawie materiału źródłowego sformułowała ona ogólne wnioski dotyczące powyższego księgozbioru. Wykazała pionierską rolę cystersów w zainicjowaniu na Pomorzu Wschodnim gotyckiego sposobu zdobienia manuskryptów w pierwszej połowie XIV w., których zasadniczym elementem dekoracji stał się filigran[22]. Zwróciła uwagę na nowe, interesujące ujęcia ikonograficzne, powstałe w środowisku szarych mnichów. Z pelplińskich kompozycji wskazała na wyobrażenie Tronującej Marii z Dzieciątkiem[23], uznając ją za najstarszy, znany na terenie Pomorza Wschodniego, przykład prezentacji uczuć macierzyńskich (Matka bowiem przyciska do swego lewego policzka główkę Dzieciątka)[24]. Badania nad kodeksami mnichów pelplińskich rozszerzyła między innymi o trzy rękopisy noszące ich wpisy proweniencyjne, a przechowywane obecnie w Staatsbibliothek Preussischer Kulturbesitz w Berlinie[25]. Usystematyzowała i uzupełniła dotychczasową wiedzę na temat iluminowanych rękopisów cysterskich pelplińskich, zarówno tych przywiezionych do klasztoru z zagranicy (Niemcy, Francja, Włochy), jak i tych przepisanych w skryptorium miejscowym[26]. Najlepiej rozpoznanym i najszerzej omawianym manuskryptem pelplińskim jest wspomniany graduał, opatrzony sygnaturą biblioteczną L 13[27]. Stał się on obiektem badań zarówno od strony muzycznej, jak i paleograficznej[28] pozwalających na ustalenie okresu jego powstania oraz na wyłonienie cech świadczących o jego pochodzeniu z warsztatu pelplińskiego. Jego bogata dekoracja malarska została poddana analizie ikonograficznej i stylistycznej[29], przy czym najszerzej omówił ją Henryk Mędrek[30].

Warto nadmienić, iż piękno pergaminowych kodeksów pelplińskich z dawnej książnicy cysterskiej podziwiać można było już kilkakrotnie na szeregu wystaw poświęconych kulturze umysłowej cystersów w Polsce, a także przy okazji prezentacji średniowiecznych kolekcji rękopiśmiennych[31].

(...).

Powszechna praktyka uzupełniania ksiąg iluminacjami wynikała z potrzeby artykulacji tekstu dla nadania mu przejrzystości, podkreślenia jego treści w celu lepszego zrozumienia i zapamiętania, a także dla podniesienia walorów estetycznych dzieła[32]. Z tych też przyczyn inicjał, rozpoczynający rozdział lub pewną partię tekstu, wyróżniał się wysokością, kolorem i formą[33]. Jego pole ograniczone kształtem litery, wypełniało zazwyczaj barwne tło pokryte różnorakim ornamentem lub stanowiło miejsce dla kompozycji figuralnej[34]. Początkowo cystersi w radykalny sposób odnosili się do estetyki w sztuce, zwłaszcza gdy na czele zakonu stanął Św. Bernard, opat klasztoru w Clairvaux, wielki pisarz, filozof i mistyk. W swych pismach zawarł krytykę używania ozdób i przepychu barw w dekorowaniu kościołów, klasztorów, a tym samym i w księgach używanych przez mnichów cysterskich. Dla zobrazowania powyższych słów posłużyć może, często już cytowany w literaturze, fragment wypowiedzi św. Bernarda *W klasztorach, w obliczu braci czytających, jaki sens mają te śmieszne potworności, dziwne jakieś brzydkie piękno i piękna brzydota. Cóż robią tam nieczyste małpy, dzikie lwy i potworne centaury, półludzie, pręgowane tygrysy, co robią walczący żołnierze i grający na trąbkach myśliwi?*[35]. Jednak po śmierci św. Bernarda zaczęto porzucać ograniczenia i po połowie XII w. wiele skryptoriów szarych mnichów opuściły manuskrypty o bogatej dekoracji[36].

Pośród pokaźnej liczby 235 kodeksów średniowiecznych, funkcjonujący niegdyś w obrębie klasztoru cystersów pelplińskich, nie występują księgi bogato iluminowane. Wśród nich odnajdujemy dzieła z miniaturami wpisanymi w inicjał, manuskrypty z inicjałami ornamentalnymi: roślinnymi, roślinno-zoomorficznymi, zoomorficznymi, figuralne przedstawienia marginalne, a także pokaźną liczbę kodeksów, których jedyną dekoracją stały się inicjały filigranowe.

Najstarsze średniowieczne rękopisy iluminowane z kolekcji cystersów pelplińskich są importami a ich dekoracja wykazuje jeszcze formy romańskie. Takie cechy prezentuje dwunastowieczny kodeks anonimowego twórcy, zawierający *Sermones de tempore* (rkps 44/70) z graficznym inicjałem „M" (k. 2), wykonanym rubrą i ozdobionym roślinną plecionką. Ten typ dekoracji jest skromnym przykładem zastosowania wzorców będących domeną XII-wiecznej szkoły znad Mozy, które od czterdziestych lat XII w. zyskały naśladowców, rozpowszechniając się w Nadrenii, przede wszystkim w środowisku kolońskim[37], w Szwabii, Bawarii (Ratyzbona)[38], a w II poł. XII w. - w skryptoriach wielkich ośrodków klasztornych[39]. Bogatsze redakcje tej formy zdobniczej odnajdujemy w kolejnych manuskryptach. Najprawdopodobniej doberańskiej proweniencji *Biblia*[40] (rkps 58/55) z przełomu XII i XIII w., posiada trzy wyróżniające się w tekście rysunkowe, lekko podkolorowane inicjały. Bogactwem motywów charakteryzuje się inicjał roślinno-zoomorficzny „V" (k. 34 v.), uformowany z finezyjnie skręconych ciał fantastycznych zwierząt z wicią roślinną, lawowany zielenią, ugrem i czerwienią, a także graficznie wykonany kolejny inicjał „V" (k. 2), utworzony z ciała smoka z wplecioną postacią Boga Ojca. Przedstawieniu towarzyszy scena zaślubin proroka Ozeasza z Gomer z córką Diblaima. Strój kobiety odzianej w długą suknię o szerokich rękawach, spływającą na spiczaste obuwie, nawiązuje do mody szeroko rozpowszechnionej w II poł. XII w.[41], a sposób drapowania szaty skłania do poszukiwań wzorców w stylizacji postaci pośród przykładów plastyki saskiej[42].

Do zabytków doberańskiej proweniencji zaliczyć możemy wielotomową ongiś, dziś zachowaną w dwutomową, *Biblię*[43] (rkps 10/12; rkps 11/25), z których drugi wolumin na końcu zawiera wpis: *Venerabili Matthaeo in Doberan patri fatur A. dictus Abbani,* na podstawie którego Z. Rozanow datuje powstanie dzieła na pierwszą ćwierć XIII w., sugerując się latami sprawowania władzy przez opata doberańskiego Mateusza (1213-1225), wymienianego w dedykacji[44]. Nota wskazuje na powstanie dzieła poza Doberanem, być może w Danii, z którą cystersów doberańskich łączyły bliskie związki[45]. Oba egzemplarze posiadają godną uwagi, jednorodną i precyzyjnie wykonaną dekorację, złożoną z 20 podobnych stylistycznie roślinno-plecionkowych inicjałów rysowanych piórem i lawowanych rubra, błękitem, żółcią oraz zielenią. Wnętrza inicjałów szczelnie wypełnia spiralnie skręcona wić roślinna pączkująca i rozkwitająca liśćmi w formie stylizowanego akantu, w większości przypadków o brzegach podwiniętych na kształt muszelek, których plastyka podkreślona została lekkim cieniowaniem. Korpusy liter ozdabiane perełkowaniem, spinają skuwki i pierścienie świadczące o naśladowaniu przez iluminatora form złotniczych. W trzech inicjałach pojawiają się wplątane w wić roślinną figury fantastycznych smoków (rkps 10/12: „O" k. 99, „I" k. 101; rkps 11/25: „A" k. 96 v.) zaś w inicjale „P" wąż (rkps 10/12: k. 75 v.) - motywy często wykorzystywane przez twórców epoki romańskiej. Zawarta w Starym Testamencie symbolika smoka i węża (poza opisem plagi węży ognistych i węża miedzianego w Lb 20, 4-9) jest zasadniczo negatywna[46].

Dwa kolejne importowane pergaminowe kodeksy, pochodzące z kolekcji pelplińskiej, to *Epistolae Pauli Apostoli*[47] (rkps 54/23) z przełomu XII i XIII w. oraz niezauważony dotychczas przez badaczy - słynny i często kopiowany scholastyczny zbiór sentencji Piotra Lombarda - *Sententiarum libri quattuor* z XIII w. Pierwszy z nich zawierający *Listy św. Pawia* (rkps 54/23) był jedynie wzmiankowany przez Z. Rozanow[48]. Posiada 10 identycznych stylistycznie inicjałów „P" w słowie „Paulus" i jeden inicjał „M". Żółte korpusy liter obwiedzione i zaakcentowane wertykalnie czerwienią, przedstawiono na niebieskim tle. W dwóch przypadkach „ciało litery", trzony i brzuśce spinają skuwki. Wnętrze liter wypełnia romański ornament florystyczny ukształtowany w formie skręconych i przeplatających się gałązek, tworzących dekoracyjne układy. Mięsistą wić roślinną namalowano używając czerwieni, zieleni i bieli. Tylko w jednym przypadku, nie dekoracja florystyczna, a motyw zoomorficzny zdobi wnętrze inicjału „P" (k. 37). To wyobrażenie ptaka o smukłej szyi i długim dziobie zatopionym w piórach na piersi. Najprawdopodobniej jest to Pelikan, w którym teologowie średniowieczni widzieli symbol ofiary Chrystusa[49]. Miałoby to swe uzasadnienie w tekście I *Listu do Koryntian,* który otwiera tak ukształtowany inicjał. Zawiera bowiem doniosłe pod względem dogmatycznym pouczenia o zmartwychwstaniu Chrystusa i Jego wiernych (15, 1-58). Identycznie stylizowanego ptaka odnajdujemy w przypadku kolejnych trzech inicjałów wstępnych (k. 63, k. 79 v., k. 103 v.), jednak tu stanowi on „ogon" litery biorącej początek w jego dziobie. Pozostałe inicjały „P" zakończone zostały trójlistną palmetą.

Drugi manuskrypt (rkps 62/91), ozdobiono pięcioma inicjałami odznaczającymi się wysokimi walorami artystycznymi, zdradzającymi pewność ręki ich autora w oddawaniu szczegółów. Litery umieszczono na kwadratowym, granatowym tle. Ich wnętrze wypełniono złotem płatkowym, na którym zakomponowano dekoracje florystyczne, zoomorficzne i jedną figuralną z przedstawieniem Tronującego Chrystusa (k. 56 v.). Frontalnie siedzący Chrystus z prawą ręką uniesioną w geście błogosławieństwa, z lewą wspartą na księdze, odziany w błękitne szaty modelowane jasnymi plamami światła, zdradza reminiscencje wzorców przejętych przez sztukę Zachodu z tradycji bizantyńskiej. Do wykonania inicjałów użyto kontrastowych barw opartych na zestawieniu złota z nasyconym błękitem (granatem), zimnym różem, z niewielką ilością ciepłej czerwieni, zimnej zieleni i ugru - kolorytu charakterystycznego dla trzynastowiecznego książkowego malarstwa francuskiego[50].

Zabytkowy księgozbiór cystersów pelplińskich kryje kolejne nieprzeciętne dzieło spisane starannym pismem w dwóch

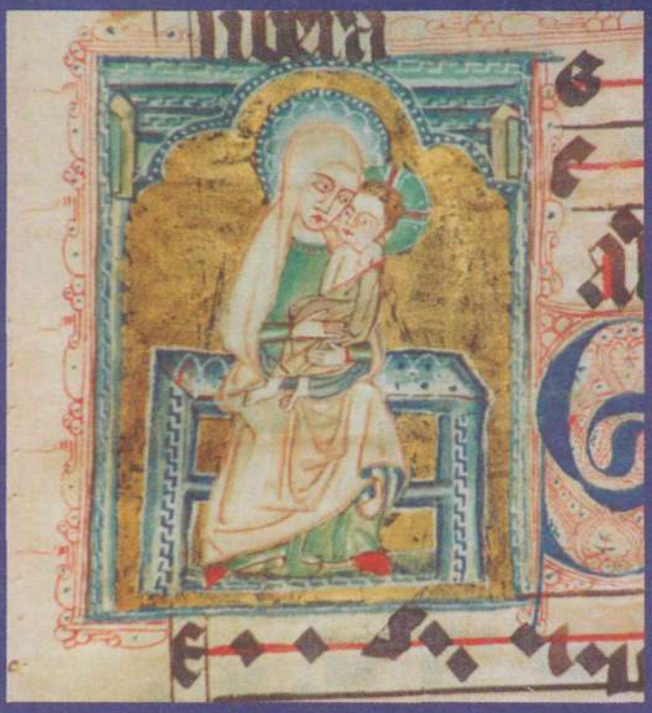

Wszystkie repr. fot. Jacek Zieliński

Przykłady iluminacji rękopisów opactwa cysterskiego w Pelplinie

kolumnach i ciekawie ozdobione. Mowa tu o *Homiliach*[51], występujących w dwu monumentalnych woluminach, opatrzonych sygnaturami rkps 1/2 i rkps 2/3. Niezrozumiałe jest rozdzielenie ich przez Z. Rozanow i omówienie pierwszego z nich wśród doberańskiej grupy niemieckich rękopisów, zaś drugiego pomiędzy wytworami skryptorium lokalnego przypisując mu cechy charakterystyczne dla miejscowej produkcji[52]. Identyczne pismo i iluminacje kodeksów wykluczają pomyłkę. Obie części kazań uzyskały dekorację w postaci plecionkowych inicjałów z motywem akantowym, wykonanych na złotym tle z użyciem intensywnych barw: ultramaryny, cynobru, niewielkiej ilości zieleni i jasnego różu (rkps 1/2 „C" k. 1.; rkps 2/3 k. 4). Z dużym prawdopodobieństwem wykonano je w jednym z francuskich trzynastowiecznych skryptoriów. Na szczególną uwagę zasługuje dekoracja drugiego tomu *Homilii* (rkps 2/3), dająca możliwość prześledzenia ewolucji ornamentyki występującej w malarstwie książkowym XIII w. Tutaj bowiem obok plecionkowej, roślinnej dekoracji i drobnych czerwonych i zielonych, inicjałów opatrzonych ciałami fantastycznych smoków („P" k. 77 v.; „O" k. 80; „O" k. 85 v.) - wzorców zaczerpniętych z epoki romańskiej - do artykulacji tekstu zastosowano inicjały z filigranowymi rozwinięciami marginalnymi wykonanymi piórkiem, jakie obserwuje się w zdobnictwie rękopisów od połowy XIII w. aż do końca średniowiecza („L" k. 99).

Wśród trzynastowiecznych kodeksów importowanych, o proweniencji francuskiej a będących niegdyś własnością cystersów pelplińskich, przypomnieć możemy rękopisy omawiane już w literaturze przedmiotu[53]. Najciekawszą dekorację otrzymały dwa z nich: *Commentaria in Epistolas beati Pauli* autorstwa Piotra Lombarda (rkps 4/8) oraz kodeks z tekstami medycznymi dwóch arabskich lekarzy: Rhasesa i Avicenny[54] (rkps 43/79). Oba uznane zostały za dzieła powstałe w północnej Francji, z dużym prawdopodobieństwem w jednym z licznie działających w XIII w. skryptoriów paryskich[55]. Cechą wyróżniającą powyższe kodeksy jest jedwabisty, cienki pergamin, staranne pismo oraz harmonia w zestawianiu poszczególnych elementów dekoracji i rozmieszczeniu ich pomiędzy kolumnami tekstu[56]. Ponadto do wykonania inicjałów w obu dziełach użyto barw charakterystycznych dla paryskiego malarstwa książkowego: złota płatkowego jako tła dla zdobień, ultramaryny, różu i cynobru[57]. Monumentalne dzieło Piotra Lombarda (rkps 4/8) ozdobiono dwunastoma figuralnymi, zoomorficznymi i florystycznymi inicjałami gwaszowymi. Elegancja w modelowaniu postaci, płynna kreska określająca kontur figur, proporcje motywów ornamentu, tworzącego także wypustki marginalne, świadczą o dużej wprawie iluminatora[58]. Ze względu na podobieństwo w kształtowaniu inicjałów i stylizacji postaci, A. Karłowska-Kamzowa wiąże ten kodeks, z psałterzem paryskim z dawnych zbiorów Ludwika z Akwizgranu (sygn. VIII, 4) datowanym na lata 1250-1260[59].

Iluminacje i dukt pisma drugiego z wymienionych powyżej - kodeksu medycznego (rkps 43/79) nie są jednolite w całym manuskrypcie. Od karty 139 został spisany gorszym charakterem pisma i innym inkaustem, stąd wniosek, iż powstać musiał w dwóch miejscach: pierwsza część w jednym ze skryptoriów paryskich, a druga słabsza pod względem warsztatowym, ozdobiona wyłącznie skromnymi inicjałami filigranowymi - najprawdopodobniej na miejscu w Pelplinie[60]. Rozpoczynający kodeks tekst Rhasesa i w dalszej części rękopisu przepisane dzieło Avicenny do karty 138 otrzymały precyzyjnie wykonaną dekorację, na którą złożyło się dziewięć inicjałów roślinno-zoomorficznych, jeden figuralny oraz dwie laski marginalne, zdobiące karty rozpoczynające tekst obu autorów (k. 1; k. 49). I znów rozpoznajemy, znaną już z wcześniejszych przykładów, francuską kolorystykę z użyciem złota, ultramaryny, różu i czerwieni. Sposób tworzenia barwnych gwaszowych inicjałów jest zapowiedzią kształtowania się nowego motywu stosowanego w średniowiecznym ilumonatorstwie książkowym - tzw. drólerie[61]. Mowa tu zwłaszcza o zdobieniach marginesu jednej z kart rękopisu, które wykonano za pomocą plastycznej laski, złożonej z fantastycznych smoków o spiralnie skręconych szyjach i ogonach oraz upiększono sylwetką ptaka i psa (k. 49) - elementami drólerie. Kolejną fazę rozwojową tego sposobu zdobienia odnajdujemy w innym, tym razem czternastowiecznym iluminowanym kodeksie pelplińskich cystersów, zawierającym zbiór tekstów kilku autorów, który otwiera *Summa confessorum* Jana z Fryburga[62] (rkps 29/15). Tutaj na pierwszej karcie manuskryptu, wśród delikatnie ukształtowanych gałązek oplatających marginesy karty, umieszczono ptaki oraz psa goniącego zająca (k. 1). Inicjał towarzyszący tej dekoracji wypełnia scena przedstawiająca mnicha zasiadającego na katedrze ze wspartą na niej księgą i nauczającego zgromadzonych wokół braci zakonnych. Sztywność i pewna nieudolność w ujęciu postaci, zachwianie proporcji ciała, świadczą o powstaniu kodeksu w drugorzędnym warsztacie francuskim[63].

Podobnymi w typie gwaszowymi floraturami marginalnymi, jednak pozbawionymi motywów animalistycznych, udekorowano dzieło Petrusa Aureoli[64] zawierające *Komentarz do sentencji Piotra Lombarda* (rkps 46/85), przepisane w 1317 r.[65]. Rękopis opatrzono trzema figuralnymi inicjałami o tej samej tematyce co powyższy: nauczania młodych zakonników. Sceny zakomponowane na złotych tłach przedstawiają mnichów franciszkańskich, przy czym w jednym inicjale, różniącym się stylistycznie od dwóch pozostałych (k. 2; k. 114), w gronie zakonników umieszczono postać mniszki w białym habicie (k. 241). Delikatne złocone gałązki z naturalistycznymi listkami w kolorze błękitnym, różowym i złotym towarzyszące inicjałom figuralnym, tworzą na marginesach karty rodzaj obramowania kolumn pisma. Na podobne florystyczne bordiury namalowane z wykorzystaniem ultramaryny, różu i niewielkiej ilości cynobru, udekorowane trójdzielnymi listeczkami natrafiamy w rękopisie Jacobusa de Losanna z tekstem *Sermones de tempore et de sanctis* (rkps 72/114), spisanym w XIV stuleciu zapewne we Francji. Dwa złocone inicjały „S" (k. 1) i „X" (k. 176) ozdobiły przestylizowane listki klonu.

Osobną i znacznie liczniejszą grupę średniowiecznych zabytków rękopiśmiennych noszących znaki własnościowe biblioteki cystersów pelplińskich, stanowią kodeksy wyróżniające się skromniejszym typem zdobienia kart z charakterystycznym inicjałem wypełnionym ornamentem filigranowym. Dekoracja ta polega na posługiwaniu się urozmaiconym repertuarem linearnych motywów zdobniczych. Posiada francuską genezę i rozwijając się od II poł. XIII w. trwa w dekoracji manuskryptów europejskich przez cały okres gotycki. Filigran rysowany piórkiem, wypełniał inicjał i - co charakterystyczne dla stylistyki gotyckiej - wychodził na marginesy wijąc się wśród kolumn tekstu. Do jego wykonania używano przeważnie czerwonego i niebieskiego atramentu, a twórcami byli najprawdopodobniej nie malarze - miniaturzyści, lecz skryptorzy przepisujący księgi, ponieważ specyfice ich pracy odpowiadał kaligraficzny charakter tego rodzaju ornamentu. Filigran stanowią delikatne ażurowe wzory roślinne i geometryczne przeplatające się ze sobą, zwijające się w formie spirali, czy tworzące układy kwiatowe[66]. W ten sposób upiększano średniowieczne kodeksy liturgiczne i świeckie, zarówno manuskrypty mniejszego formatu, jak i wielkie tomy graduałów i antyfonarzy. Zasadniczo filigran pełnił funkcję uzupełniającą i współistniał w rękopisach obok figuralnych inicjałów gwaszowych i miniatur, choć z czasem w skryptoriach prowincjonalnych stał się w wielu przypadkach podstawowym rodzajem ozdób kart. Widać to na przykładzie między innymi wytworów warsztatów pisarskich funkcjonujących przy klasztorach cysterskich, a także zakonów żebraczych w Górnej Nadrenii[67]. Podobne wnioski sformułowała A. Karłowska-Kamzowa prowadząc badania nad produkcją rękopiśmienną miejscowych warsztatów cysterskich Śląska, Wielkopolski i Pomorza Wschodniego, przy czym na ostatnim z wymienianych terenów najwcześniejsze realizacje pochodzą z Pelplina[68]. Wśród 235 manuskryptów średniowiecznych przechowywanych dziś w książnicy Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, 1/3 ozdobiono wyłącznie inicjałami filigranowymi, z których większość spisana została w XIV w. Niewielka liczba spośród nich, mająca już swą literaturę, została powiązana z produkcją miejscowego warsztatu klasztornego[69].

Biorąc pod uwagę ogólne cechy filigranu występującego w kodeksach pelplińskich zaobserwować można wszystkie odmiany tego typu ornamentu, od skromnych wręcz niedbale wykonanych inicjałów zwłaszcza w XV w.[70], do starannie zdobionych manuskryptów XIV-wiecznych[71], analizując zaś proces rozwoju: od form protogotyckich końca XIII w., do w pełni rozwiniętych przybierających kształt bogatych układów maswerkowych - w zaawansowanym średniowieczu. Trzony liter o dwubarwnym kontrastowym, czerwono-niebieskim wątku ozdabia zazwyczaj pewien motyw roślinny: przestylizowane listki, często palmeta, akant; bądź wzór geometryczny: romby, ząbki, a czasem formy imitujące elementy złotnicze: plakietki i rozetki. Filigran „nakładany" jest bezpośrednio na białą kartę rękopisu, stanowiącą jego tło. Wewnętrzne pola litery, w zależności od poziomu wykonania, budują ażurowe, abstrakcyjne linie układające się w motywy sercowe, wachlarzowe, spiralne, florystyczne i geometryczne. Wypustki urozmaicone pączkującymi łodyżkami, kolcami, nierzadko zakończone są pętelkami i sprężynkami. W wielu przypadkach sylwetę litery oraz tekst obramują rzędy perełek. Analizowana poniżej pod względem chronologicznym ornamentyka filigranowa będzie obejmowała wszystkie ciekawsze przykłady, również te nieprzypisane dotychczas warsztatowi pelplińskiemu i nie posiadające literatury przedmiotu.

Dotąd nierozwiązany został problem genezy inicjałów o dekoracji filigranowej rozpowszechnionej za pośrednictwem cystersów. Zastanawiano się, czy pierwowzorami były importowane przez klasztory francuskie kodeksy trzynastowieczne, czy też rękopisy ozdobione inicjałami protogotyckimi, powstającymi w skryptoriach zakonnych pod koniec XIII stulecia[72]. Oba przykłady zdobień odnajdujemy w dawnym zasobie cystersów pelplińskich. Biblioteka klasztorna posiadała niewątpliwie znaczną liczbą rękopisów francuskich, dziś bowiem zachowało się kilka kodeksów, świadczących o takiej proweniencji. Wśród nich przywołać można choćby trzy egzemplarze *Biblii*[73] w przekładzie Św. Hieronima (rkps 12/13;

rkps 13/14; rkps 25/22), spisane starannym pismem na delikatnym pergaminie i ozdobione drobnymi inicjałami filigranowymi. Z kolei inicjały protogotyckie zapełniły manuskrypt przechowywany obecnie w bibliotece seminaryjnej pod sygnaturą rkps 36/42[74]. Teksty Grzegorza Wielkiego i Św. Hieronima umieszczone w tym kodeksie ozdobiły inicjały posiadające formy romańskie uzupełnione protogotyckimi, skromnymi jeszcze rozwinięciami marginalnymi, rysowanymi dość grubą linią, ale będącymi zapowiedzią rodzącej się nowej stylistyki w sztuce. Niektóre korpusy liter zostały sylwetowo podzielone na dwa pola tworzące dwubarwny, czerwono-niebieski wątek geometryczny (np. „O" k. 1 v.; „U" k. 4; „T" k. 14 v.; „Q" k. 22 v.; „Q" k. 50 v.), inne wykonano jednolicie barwą czerwoną, niebieską, bądź zieloną i uzupełniono wypustkami (np. „M" k. 67 v.; „M" k. 76 v.; „C" k. 96 v.). Wczesnych przykładów zastosowania filigranu, w jego nie w pełni ukształtowanej formie dostarcza trzynastowieczny rękopis Piotra Lombarda[75] o sygnaturze katalogowej rkps 26/6. Jednobarwna - czerwona („E" k. 116; „O" k. 148), bądź dwubarwna czerwono-niebieska litera („B" k. 3) stanowi jeszcze ramę dla umieszczonego we wnętrzu ornamentu, który w sposób „nieśmiały" wychodzi poza jej obręb w postaci delikatnych finezyjnie zakończonych wypustek. Elementem budującym ornament jest tu powtarzający się romański motyw przestylizowanej palmety. Śledząc kolejne fazy rozwoju tej dekoracji natrafiamy na trzynastowieczny rękopis 27/44[76], w którym filigran już bardziej zdecydowanie pokrywa marginalia kart. Za pewnego rodzaju reminiscencję poprzedniej epoki uznać można umieszczenie węża oplatającego jedną z wypustek odchodzących od inicjału „B" (k. 2).

Dzięki zapisce: *Explicit tabula summae confessorum completa in Polplin anno domini MCCCXIX* (k. 276 v.), umieszczonej w kolofonie wieńczącym manuskrypt o sygnaturze bibliotecznej 30/90[77], mamy niezaprzeczalny dowód na powstanie tego dzieła w skryptorium klasztornym cystersów pelplińskich i jednocześnie możemy uznać go za najstarszy, znany kodeks miejscowy upiększony dekoracją kaligraficzną. Twórca księgi zadbał o stronę estetyczną dzieła polegającą na dobrym zharmonizowaniu dekoracji złożonej z kilkudziesięciu inicjałów filigranowych, z tekstem manuskryptu spisanym w dwóch kolumnach. Dzieło to jest dobrym przykładem potwierdzającym przypuszczenie o czerpaniu przez kopistów lokalnych wzorców filigranowej dekoracji, zaobserwowanych w rękopisach proweniencji francuskiej. Starannie rysowany, czerwony lub niebieski filigran pelplińskiego zabytku, wypełnia dwubarwne inicjały, otacza je i biegnie dalej cienkimi liniami wzdłuż marginesów pergaminowych kart tworząc dekoracyjne pętelki i spiralki. To już w pełni gotycki sposób zdobienia kart, który odnajdujemy w kolejnych kodeksach dawnego opactwa pelplińskiego, uznanych przez badaczy za wytwory miejscowego warsztatu[78]. Mowa tu o dwóch czternastowiecznych *Postyllach* autorstwa Mikołaja z Liry[79] (rkps 5/1; rkps 23/19). I tak *Postylla do Pięcioksięgu* (rkps 23/19) ozdobiona została ilustracjami dotyczącymi wyposażenia i planu Przybytku Przymierza a także, zgodnie ze stylistyką epoki, czerwono-niebieskimi inicjałami wypełnionymi ornamentem kaligraficznym o abstrakcyjnym motywie, uzupełnianym tu perełkowaniem. W drugim manuskrypcie tego autora zawierającym komentarze do *Ksiąg od Hioba do Daniela* (rkps 5/1), filigran wzbogacono wyobrażeniami ptaków schematycznie kreślonych za pomocą czerwonego i niebieskiego atramentu („P" k. 1; „P" k. 92 v.; „A" k. 130; „D" k. 172), kiściami winogron i dzwoneczkami („D" k. 172). Korpusy inicjałów ozdobiono złotem płatkowym, bądź wątkiem czerwono-niebieskim z motywami roślinnymi. Dekorator omawianego rękopisu posiadał biegłość i pewność ręki w tworzeniu ornamentu filigranowego. Wykonane ciemnym inkaustem rysunki niewielkich ptaków rozmieszczonych pośród filigranowej wici, występują także w kodeksie przepisanym w XIV stuleciu autorstwa Johannesa de Saxonia[80] („R" k. 1; „H" k. 272). Z dużym prawdopodobieństwem i ten rękopis opatrzony drobnymi filigranowymi inicjałami, wyszedł spod pióra pelplińskiego skryptora.

Bogate układy maswerkowe tworzy filigran na kartach dwóch kodeksów chórowych, łączonych z miejscowym skryptorium pelplińskim. Pierwszy z nich, wzmiankowany już kilkakrotnie, opatrzony sygnaturą L 13 należy do najbardziej znanych i zarazem najciekawszych średniowiecznych rękopisów skopiowanych w warsztacie pelplińskim, którego powstanie ustalono na podstawie świąt kalendarza liturgicznego pomiędzy rokiem 1347 a 1378[81]. Z uwagi na interesującą warstwę zdobniczą charakteryzującą się różnorodnością użytej dekoracji i metodą jej wykonania, omawiany kodeks zgromadził do tej pory już pokaźną literaturę[82]. Graduał posiada trzynaście przedstawień figuralnych, w tym dziewięć wpisanych w inicjał, trzy miniatury marginalne i jedną umieszczoną w kolumnie tekstu. Ponadto dekorację uzupełniają: wykonany farbami kryjącymi inicjał ornamentalny, sześć okazałych precyzyjnie wykonanych piórkiem inicjałów filigranowych i wiele drobnych o czerwonych, niebieskich i złotych korpusach liter. Okazałe inicjały zostały sylwetowo podzielone na dwubarwne, czerwono-niebieskie geometryczne pola, wypełnione starannie wykonanym ornamentem kaligraficznym. Wśród nich wyróżniono inicjał „S" (k. 145 v.) poprzez nałożenie akcentów złota, a także dwa mniejsze inicjały „G" (k. 146 v.; 147 v.), których filigranowa dekoracja została upiększona kwiatami podkolorowanymi akwarelą. Sceny ukazujące, Veraikon podtrzymywany przez Biskupa, Zesłanie Ducha Świętego i Drzewo Jessego wykonano farbami kryjącymi na złotym tle i ozdobiono florystycznymi wypustkami zakończonymi przestylizowanymi listkami klonu i bluszczu, z przewagą barwy niebieskiej, czerwonej, zielonej i złota, naśladującymi czternastowieczne dekoracje francuskich iluminowanych manuskryptów. Do tej grupy dołączyć należy Zstąpienie Chrystusa do Otchłani (różni się jedynie barwnym tłem) oraz inicjał ornamentalny „D" (k. 165) stylistycznie bliski powyżej omówionym, wypełniony florystyczną dekoracją z listkami bluszczu i kiściami winogron. Inaczej zrealizowano inicjały prezentujące: Boże Narodzenie, Niewiernego Tomasza, św. Piotra i obie Koronacje NMP. Tutaj, jako tła dla graficznie wykonanych, lawowanych kolorem wyobrażeń użyto filigranu wypełniającego literę i wychodzącego na marginesy kart. Misternie rysowany ornament złożony w dużej mierze z motywów serc i perełek, tworzy ponad przedstawieniem rodzaj gotyckiej arkady. Do powstania scen zastosowano jaśniejszą kolorystykę z dominacją zieleni, błękitów i ugrów z niewielkimi akcentami czerwieni. Analiza stylu i techniki wykonania poszczególnych kompozycji figuralnych, pozwoliła na wyłonienie dwóch głównych twórców strony malarskiej rękopisu[83]. Wybór tematów występujących w rękopisie został uzależniony od uroczystości jakim towarzyszą[84] lub powiązany z treścią przeznaczonych na ów dzień modlitw[85]. Ciekawą warstwą ikonograficzną wyróżnia się scena Bożego Narodzenia, Maryję bowiem przedstawiono w pozycji leżącej, a żłób, o charakterystycznej architektonicznej formie, zaopatrzono w otwór drzwiowy i wiszącą za nim palącą się lampę. Ten typ ikonograficzny, gdzie żłób ukazano jako ołtarz, a Maryję jako grotę narodzin, odnajdujemy w wielu przykładach średniowiecznej sztuki zachodniej, wywodzącej się z tradycji Kościoła Wschodniego[86].

Drugi ze wspomnianych graduałów cysterskich (rkps L 21) posiada dekorację filigranową i tylko jeden inicjał figuralny „A" (k. 1 v.) z popiersiem Chrystusa w górnej strefie i poniżej przedstawionym lwem ożywiającym lwiątka. Analiza dekoracji filigranowej kodeksu wykazuje różnice w sposobie i poziomie jej wykonania. Inicjał „P" (k. 12 v.) pokrywa i otacza misternie wykonany wzór geometryczno-roślinny, tworzący wewnątrz litery układy sercowe - motyw, który, w wielu przypadkach, choć w różnych redakcjach, pojawia się w systemie zdobniczym rękopisów pelplińskich[87]. Cieniutkie i krótkie wypustki „odrastające" od trzonu litery są identyczne jak inicjału figuralnego „A" (k. 1 v.). Mniej wprawna ręka kaligrafa wykonała inicjał „S" (k. 167 v.), a pionowe motywy filigranowe zdobiące marginesy przypominają z kolei formy ornamentalne użyte w kolejnym kodeksie przepisanym w Pelplinie[88], autorstwa Bartholomaeusa Cassimaria[89] (rkps 50/78). Poza dekoracją filigranową twórca strony artystycznej dzieła podjął próbę ozdobienia jednej z kart (k. 123) gwaszową floraturą marginalną i inicjałem figuralnym, przedstawiającym nauczającego mnicha w otoczeniu uczniów. Kompozycja jednak w sposób bardzo nieudolny naśladuje trzynastowieczne kompozycje francuskie.

Filigran jako monumentalny sposób zdobienia manuskryptów przetrwał w rękopisach jako podstawowa forma dekoracji do XV w. To samo dotyczy zbiorów cystersów pelplińskich. Wiele kodeksów wykonanych na papierze to kodeksy użytkowe, gdzie ornament filigranowy próbuje, bardzo nieudolnie, naśladować wzorce wypracowane we wcześniejszych wiekach. Obok tych odnajdujemy jednak w zasobie pelplińskim przykłady dzieł prezentujących wysoki poziom artystyczny. Do nich zaliczamy pięknie wykonany kodeks *De civitate Dei* Św. Augustyna z 1427 r.[90], czy Mikołaja z Liry *Postillae in Bibliam* z 1416 r.[91]. Wśród piętnastowiecznych, najprawdopodobniej importowanych kodeksów rękopiśmiennych, na uwagę zasługuje, ze względu na swą oryginalną, choć wykonaną na przeciętnym poziomie artystycznym dekorację, wolumin zawierający anonimowego autora *Glosa do Ewangelii* (rkps 89/154)[92]. Pierwsza karta z tekstem zapisanym w jednej kolumnie otoczona została linearnie wykonanym ornamentem filigranowym, z użyciem niebieskiego i czerwonego atramentu, uzupełnionym gwaszowymi zielono-ochrowymi liśćmi klonu, dębu i palmety. Na prawym marginesie wyobrażono świętego ze złotym nimbem, odzianego w zieloną szatę i czerwony płaszcz, siedzącego przy pulpicie skryptorskim z otwartą księgą i piórem w dłoni. Z uwagi na fakt, iż ilustracja umieszczona została obok tekstu glos do ewangelii św. Łukasza, możemy przypuszczać, że przywołana wcześniej postać to św. Łukasz Ewangelista. Ponadto dekorację uzupełniają trzy postacie, a wśród nich hybryda z tułowiem zwierzęcym i głową kobiety. Poszczególne rozdziały i akapity w tekście omawianego manuskryptu, wyodrębnione zostały za pomocą wielu drobnych złotych i srebrnych inicjałów.

Zaprezentowany materiał pozwala na wysunięcie kilku wniosków dotyczących iluminacji średniowiecznych kodeksów rękopiśmiennych należących do księgozbioru opactwa cysterskiego w Pelplinie. Różnorodnością dekoracji odznaczają się jedynie

dzieła importowane, zwłaszcza trzynastowieczne, pośród których odnajdujemy ciekawe przykłady zastosowania form wypracowanych przez szkołę znad Mozy, ponadto, godne uwagi paryskie rękopisy wykonane na dobrej jakości pergaminie i opatrzone inicjałami gwaszowymi zdradzającymi biegłość ręki miniaturzysty, a także czternastowieczne francuskie manuskrypty ozdobione floraturami marginalnymi, w tym jeden z przykładem drólerie. Analiza zabytków potwierdza dotychczasowe ustalenia badaczy dotyczące produkcji miejscowego skryptorium cysterskiego w Pelplinie, iż najważniejszym sposobem zdobienia lokalnych wytworów stał się ornament filigranowy wykonywany piórkiem[93]. Podjęto próbę uchwycenia ewolucji dekoracji filigranowej od jej początków rodzących się na kartach trzynastowiecznych kodeksów, gdzie elementy romańskie przeplatają się z motywami filigranowymi zwiastującymi nadejście nowej estetyki w malarstwie książkowym, poprzez miejscowe adaptacje do form typowych i powszechnie występujących w dziełach z XIV i XV w. Skryptorium pelplińskie nie stanowiło w tym względzie wyjątku, ponieważ podobne wnioski sformułowano na podstawie znanych kodeksów powstałych w innych cysterskich warsztatach klasztornych: na terenie Wielkopolski i Śląska[94]. Bezsprzecznie twórczy i najbardziej oryginalny rozwój iluminatorstwa pelplińskich cystersów widać na przykładzie graduału L 13.

(...)

Badania prowadzone nad całością średniowiecznego księgozbioru pelplińskiego przyniosły dane szacujące stan zachowania kolekcji na 235 kodeksów i zakończyły błędne opinie cytowane w literaturze na ten temat. Zasadniczym i wciąż aktualnym postulatem jest potrzeba przygotowania pełnej monografii całej zabytkowej kolekcji, będącej wynikiem pracy nie tylko historyka sztuki ale bibliologa i paleografa. Z uwagi na duży zasób zachowanych inkunabułów, stanowiących niegdyś własność szarych mnichów pelplińskich, w których również natrafiamy na dekoracyjne inicjały, należałoby poszerzyć studia także o tę grupę zabytków.

Przypisy

[1] S. Kujot, *Opactwo pelplińskie*, Pelplin 1875, s. 56-57; R. Frydrychowicz, *Geschichte der Cistercienserabtei Pelplin und ihre Bau-und-Kunstdenkmäler*, Düsseldorf 1905, s. 5; idem, *Nowy ilustrowany przewodnik po Pelplinie*, Pelplin 1928, s. 9; zob. też J. Ciemnoloński, J. St. Pasierb, *Pelplin*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Łódź-Gdańsk 1978, s. 6.

[2] Archiwum Diecezjalne w Pelplinie (dalej cyt.: ADP), sygn. 421/623 *Chronica Monasterii Pelplinensis*, t. 1-2 (dalej cyt.: CMP); Kronikę tę przełożył z języka łacińskiego o. Pius Antoni Turbański OFM. Egzemplarz tłumaczenia w maszynopisie przechowywany jest w Archiwum Diecezjalnym w Pelplinie. Wszystkie cytaty zamieszczone w niniejszym artykule pochodzą z tego tłumaczenia.

[3] CMP, t. 1, cz. I: 1258-1592, s. 8.

[4] J. Ciemnoloński, J. St. Pasierb, *op. cit.*, s. 6.

[5] Cyt. za A. M. Wyrwa, *Rozprzestrzenianie się cystersów w Europie Zachodniej i na ziemiach polskich*, (w:) *Cystersi w kulturze średniowiecznej Europy*, red. J. Strzelczyk, Poznań 1992, s. 27.

[6] Są to manuskrypty o sygnaturach 11/25; 13/299.

[7] Do nich najprawdopodobniej zaliczyć można księgi o sygnaturach 10/12, 58/55, 112/196, 114/195, 149/222.

[8] A. Schneider, *Skriptorien und Bibliotheken der Cistercienser*, (w:) *Die Cistercienser, Geschichte - Geist - Kunst*, Köln 1974, s. 431; ibidem, Bd. 1, Nr 31, s. 58.

[9] CMP, t. 1, cz. I, s. 38.

[10] *Ibidem*, s. 39.

[11] *Roku 1385 napisany został mszał żałobny (zw. Mszałem zmarłych) za opata Piotra, ibidem, s. 42; Roku 1387 napisany był mszał na pergaminie, na końcu którego jest notatka, że za czasów opata o. Jana został napisany, ibidem*, s. 43.

[12] *Książka ta napisana została w roku Pańskim 1395 w dzień Gerwazego i Protazego, świętych Męczenników, dla o. Jana w Pelplinie przez ręce Konrada, pisarza tego czasu, ibidem*, s. 46.

[13] *Ibidem*, s. 40.

[14] *Diecezja chełmińska, zarys historyczno-statystyczny*, Pelplin 1928, s. 59; T. Glemma, *Historiografia diecezji chełmińskiej*, „Nova Polonia Sacra", t. 2, 1926, s. 1-132; A. Liedtke, *Zarys dziejów diecezji chełmińskiej do 1945 roku*, Pelplin 1994, s. 77.

[15] T. Glemma, *Biblioteka Biskupstwa Chełmińskiego w Pelplinie*, (w:) *Biblioteki wielkopolskie i pomorskie*, red. S. Wierczyński, Poznań 1928, s. 289.

[16] Zob. przede wszystkim: A. Mańkowski, *Biblioteka pokapucyńska w Rywałdzie*, „Zapiski Towarzystwa Naukowego w Toruniu", t. 8, 1930, nr 8, s. 225-262, nr 9-10, s. 269-290; E. Piszcz, *Biblioteka klasztoru oo. reformatów w Łąkach na Pomorzu*, „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne", t. 2, 1961, s. 207-226; M. Strutyńska, *Biblioteka bernardynów w Lubawie*, „Z Badań nad Polskimi Księgozbiorami Historycznymi", t. 9, 1986, s. 5-78; F. Mincer, *Biblioteka bernardynów bydgoskich i jej ofiarodawcy*, „Kronika Bydgoska", t. 11, 1989 (druk: 1991), s. 221-234; K. Ciesielska, *Inwentarz kościoła św. Mikołaja i klasztoru dominikanów w Toruniu z lat 1817 i 1831*, „Zapiski Historyczne", t. 48, 1983, s. 186-199; eadem, *Inwentarz kościoła Najświętszej Marii Panny i klasztoru bernardynów w Toruniu z lat 1678-1821, ibidem*, t. 47, 1982, s. 201-226; H. E. Wyczawski, *Nowe*, (w:), *Klasztory bernardyńskie w Polsce, Kalwaria Zebrzydowska 1985*, s. 235-236; W. Kwiatkowska, *Średniowieczne księgozbiory franciszkanów i dominikanów toruńskich jako świadectwo ich kultury umysłowej i możliwości oddziaływania na środowisko mieszczańskie*, Toruń 1991, praca doktorska, maszynopis; M. Lademann, *Biblioteka klasztoru oo. Reformatów w Wejherowie*, „Studia Pelplińskie", t. 27, 1998, s. 203-250; Stosunkowo obszerne księgozbiory posiadały w początkach XVI w. klasztory franciszkanów (1075 wol.) i dominikanów (707 wol.) gdańskich; por. H. Bauer, *Bildungs- und Bibliothekswesen im Ordenslande Preußen* „Zentralblatt für Bibliothekswesen", Bd. 46, 1929, s. 405. Jednym z największych księgozbiorów klasztornych Pomorza Wschodniego była biblioteka kartuzów z Kartuz, która u schyłku XVIII w. liczyła blisko 3300 woluminów; por. K. Nierzwicki, *Biblioteki Kartuzji Kaszubskiej oraz jej konwentów filialnych w Berezie Kartuskiej i Gidlach*, Pelplin 2001, passim.

[17] Idem, *Zabytki piśmiennictwa*, (w:) R. Ciecholewski, *Skarby Pelplina*, Pelplin 1999, s. 187.

[18] Pod pojęciem księgozbioru historycznego rozumiemy za B. Bieńkowską (*Kilka uwag i propozycji w sprawie badań księgozbiorów historycznych*, „Studia o Książce", t. 16, 1986, s. 3.) nieokreśloną wielkości zbiór, którego gromadzenie zostało definitywnie zakończone.

[19] Jeszcze w latach osiemdziesiątych XX w. Alicja Karłowska-Kamzowa powoływała się na ustalenia Zofii Rozanow, szacując wielkość dzisiejszego zasobu cysterskiego na około 35 woluminów; zob. A. Karłowska-Kamzowa, *Gotyckie rękopisy iluminowane na Pomorzu Wschodnim. Problemy badawcze*, „Zeszyty Naukowe KUL", t. 27, 1984, nr 2 (106), s. 38; zob. też Z. Rozanow, *Ikonografia rękopisów biblioteki cystersów w Pelplinie a ich gatunki literackie*, (w:) *Treści dzieła sztuki. Materiały sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Gdańsk, grudzień 1966*, Warszawa 1969, s. 35. Bardziej precyzyjne dane podaje Rafał Witkowski pisząc, iż *do tej pory zachowało się ponad 100 rękopisów pergaminowych, w tym wiele iluminowanych*. Zob. R. Witkowski, *Biblioteki klasztorne opactw cysterskich na ziemiach polskich i dawnej Rzeczypospolitej. Zarys problematyki i stan badań*, (w:) *Monasticon Cisterciense Poloniae, t. 1: Dzieje i kultura męskich klasztorów cysterskich na ziemiach polskich i dawnej Rzeczypospolitej od średniowiecza do czasów współczesnych*, red. A. M. Wyrwa, J. Strzelczyk, K. Kaczmarek, Poznań 1999, s. 166.

[20] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 33-52.

[21] I. Błaszczyk, *Iluminacje średniowiecznych rękopisów ze zbiorów pomorskich*, „Gdańskie Studia Muzealne", t. 3, 1981, s. 107-123; eadem, *Les apports français dans les collections de Gdańsk et de Pelplin*, (w:) *Les relations artistiques entre la Pologne, la France, la Flandre et la Basse Rhenanie du XIIIe au XVe siècle*, Poznań 1981, s. 61-67.

[22] A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe*, (w:) *Malarstwo gotyckie na Pomorzu Wschodnim*, Warszawa-Poznań 1990, s. 196; Dekorację tego typu odnajdujemy w rękopisach cysterskich powstałych w innych skryptoriach klasztornych szarych mnichów: w Lubiążu na Śląsku, w Paradyżu i Obrze w Wielkopolsce; zob. eadem, *Rola klasztorów w rozwoju gotyckich rękopisów iluminowanych w Polsce*, (w:) *Klasztor w kulturze średniowiecznej Polski*, pod red. A. Pobóg-Lenartowicz i M. Derwicha, Opole 1995, s. 281-282; eadem, *Znaczenie iluminatorstwa cysterskiego dla rozwoju gotyckiej dekoracji rękopisów na ziemiach polskich (Śląsk, Pomorze, Wielkopolska)*, (w:) *Historia i kultura cystersów w dawnej Polsce i ich europejskie związki*, red. J. Strzelczyk, Poznań 1987, s. 367-385; eadem, *Malarstwo gotyckie Europy Środkowo-Wschodniej*, Warszawa-Poznań 1982, s. 15.

[23] Pelplin, BSD, rkps L 13 (k. 127).

[24] A. Karłowska-Kamzowa, *Gotyckie rękopisy iluminowane...*, s. 43.

[25] Berlin, SB, Theol, lat. fol. 482 *Vita Sanctorum*; Berlin, SB, Theol, fol. 484 *Homilie* Bernardi Abb., Johannis Chrisostomis, *De Militia Christiana*; Berlin, SB, lat. qu. 200 *Vita Barlam et Josephat*; zob. A. Karłowska-Kamzowa, *Znaczenie iluminatorstwa cysterskiego...*, s. 372-373; eadem, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 180, 194; V. Rose, *Die Handschriften Verzeichnisse der Königlichen Bibliothek zu Berlin*, Bd. 1, Berlin 1893, s. 121, *ibidem*, Bd. 2, s. 843; W. Erdmann, *Zisterzienser-Abtei Doberan. Kult- und Kunst*,Königstein im Taunus 1995, s. 7-8.

[26] A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, kodeksy importowane s. 180-183, kodeksy powstałe w środowisku miejscowym s. 193-196.

[27] Pelplin, BSD, rkps L 13.

[28] E. Hinz, *Średniowieczne graduały cysterskie z Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie*, Lublin 1972, (maszynopis); idem, *Cechy paleograficzne średniowiecznych graduałów cysterskich z Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie*, „Studia Pelplińskie", t. 19, 1988, s. 313-329; idem, *Z dziejów muzyki kościelnej w diecezji chełmińskiej*, Pelplin 1994, zob. rozdział VI: *Cechy paleograficzne średniowiecznych graduałów cysterskich z Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie*, s. 158-182; J. Szendrei, *Notacja liniowa w polskich źródłach chorałowych XII-XIV wieku*, (w:) *Notae musicae artis. Notacja muzyczna w źródłach polskich XI-XVI wieku, Studia* pod red. E. Witkowskiej-Zaremby, Kraków 1999, s. 196.

[29] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 46-52; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 195; Z. Kliś, *Motyw żłobu w scenie Bożego Narodzenia w pelplińskim graduale L 13*, „Studia Pelplińskie", t. 23, 1992, s. 283-301; G. Jurkowlaniec, *Iluminowany Graduał L. 13 w Bibliotece Seminarium Duchownego w Pelplinie*, praca magisterska, Warszawa 1995 (maszynopis w Instytucie Historii Sztuki); idem, *Wątki treściowe dekoracji pelplińskiego graduału L 13*, „Biuletyn Historii Sztuki", t. 60, 1998, nr 3/4, s. 353-379.

[30] H. Mędrek, *Iluminacja graduału L 13 w Bibliotece Seminarium Duchownego w Pelplinie*, „Studia Pelplińskie", t. 6, 1975, s. 297-313.

[31] L. Wetesko, *Rękopisy iluminowane*, (w:) *Cystersi w średniowiecznej Polsce, kultura i sztuka. Katalog wystawy*, Warszawa-Poznań 1991; *Średniowieczna książka rękopiśmienna jako dzieło sztuki, katalog wystawy*, Gniezno 1993; *Średniowieczna książka rękopiśmienna, katalog wystawy*, Malbork 1993; J. Grzeszewski, M. Nierzwicka, K. Nierzwicki, *Rękopisy i inkunabuły cystersów pelplińskich ze zbiorów Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie, katalog wystawy*, Pelplin 1998.

[32] B. Miodońska, *Małopolskie malarstwo książkowe 1320-1540*, Warszawa 1993, s. 103.

[33] Szeroko o historii i ewolucji ozdobnych inicjałów patrz: J. J. G. Alexander, *Initialen aus grossen Handschriften*, München 1978; o funkcji i roli inicjałów: J. Gutbrod, *Die Initialen in Handschriften des achten bis dreizehten Jahrhunderts*, Stuttgart-Berlin 1965; o rodzajach inicjałów: O. Pächt, *La miniatura medievale. Una introduzione*, Torino 1987, s. 27-28.

[34] *Ibidem*, s. 105.

[35] W. Tatarkiewicz, *Estetyka średniowiecza*, t. 2, Wrocław-Warszawa-Kraków 1962, s. 220.

[36] A. Schneider, *Skriptorien und Bibliotheken der Cistercienser...*, s. 436.

[37] *Ornamenta Ecclesiae. Kunst und Künstler der Romanik in Köln, Bd. 2: Katalog zur Ausstellung des Schnütgen - Museums in der Josef - Haubrich - Kunsthalle*, Köln 1985, liczne przykłady tego typu dekoracji wykonanej w Kolonii w II poł. XII w., s. 308-313.

[38] *Regensburger Buchmalerei. Von frühkarolingischer Zeit bis zum Ausgang des Mittelalters*, München 1987, il. 110, 109, 118 - przykłady inicjałów typu mozańskiego w malarstwie książkowym w Ratyzbonie.

[39] M. Walicki, *Iluminacje i oprawy rękopisów*, (w:) *Dzieje sztuki polskiej*, t. 1, cz. 1: *Sztuka przedromańska i romańska do schyłku XIII wieku*, pod red. idem, Warszawa 1968, s. 260.

[40] *Biblia: Duodecim Prophetae*, zob. Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 35-36; M. Walicki, *Iluminacje i oprawy rękopisów...*, s. 268.

[41] Z. Świechowski, *Sztuka romańska w Polsce*, Warszawa 1982, s. 58-59; idem, *Studia nad rzeźbą w Strzelnie*, „Biuletyn Historii Sztuki", t. 32, 1970, nr 8, s. 83.

[42] *Ibidem*, s. 83-85. Ponadto podobieństwa w ukształtowaniu wnętrza dłoni z zarysowaną literą „V", utworzoną przez linie biegnące od kciuka w kierunki małego palca, odnaleźć można w rzeźbie nagrobnej w Quedlinburgu.

[43] Pelplin, BSD, rkps 10/12 *Biblia: Libri Regum et Paralipomenon...*; Pelplin BSD, rkps 11/25 *Biblia: Parabolae Salomonis...*

[44] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 35.

[45] M. Walicki, *Iluminacje i oprawy rękopisów...*, s. 268, Sora - klasztor na wyspie Zelandii.

[46] Wnikliwą analizę romańskich inicjałów floralnych i zoomorficznych, w tym także symbolikę smoka i węża, na podstawie *Biblii Płockiej* daje R. Knapiński, *Iluminacje romańskiej Biblii Płockiej*, Lublin 1993, s. 151-179.

[47] *Biblia: Epistolae Pauli Apostoli cum expositione S. Ambrosii.*

[48] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 36.

[49] *Fizjolog* opowiada o pelikanie, który krwią wylaną z własnego boku wskrzesza swe martwe pisklęta. W średniowieczu legenda ta uległa modyfikacji - pelikan karmi pisklęta własną krwią, rozszarpując swą pierś, aż sam umiera z wycieńczenia. W obu przypadkach pelikan staje się symbolem Chrystusa, który przez swą śmierć na krzyżu własną krwią obmył grzechy ludzi i wskrzesił ich do wiecznego życia. D. Forstner, *Świat symbolики chrześcijańskiej*, Warszawa 1990, s. 246-247.

[50] A. Karłowska-Kamzowa, *Gotyckie rękopisy iluminowane...*, s. 45.

[51] Pelplin, BSD, rkps 1/2 *Homiliarius continens homiliae de adventu et nativitate Christi Bedae Venerabilis, S. Gregorii, S. Augustini et Maximi episcopi. Pars prima*; Pelplin, BSD, rkps 2/3 *Homiliarius continens homiliae evangeliorum dominicalium Bedae Venerabilis, Maximi episcopi S. Georgii, S. Hieronimi, Fulgenti... Pars secunda.*

[52] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 36.

[53] I. Błaszczyk, *Iluminacje średniowiecznych...*, s. 117-118; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 180-181; Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 36.

[54] I. Rhases, *Liber medicinalis ad Almansorem...* 2. Avicenna, *Canon medicinae...*

[55] A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 180-181.

[56] Delikatny pergamin jest cechą dzieł powstających we francuskich skryptoriach w XIII w., właściwie ani przedtem ani już później tak dobrego materiału do produkcji manuskryptów nie używano, Ch. De Hammel, *A history of illuminated manuscripts*, Boston 1986, s. 113.

[57] Liczne przykłady zob. I. Mokrecova, V. Romanova, *Francuzskaja knižnaja miniatjura XIII veka v sovetskich sobronijach 1200-1270*, Moskva 1983.

[58] L. Wetesko, *op. cit.*, s. 132; A. Karłowska-Kamzowa (*Malarstwo miniaturowe...*, s. 180-181) wyróżnia dwóch twórców strony malarskiej kodeksu; I. Błaszczyk, *Iluminacje średniowiecznych...*, s. 116.

[59] A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 180.

[60] I. Błaszczyk, *Iluminacje średniowiecznych...*, s. 117-118; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 181; L. Wetesko, *op. cit.*, s. 135.

[61] Drólerie to typ dekoracji o proweniencji anglo-francuskiej, pojawiającej się w zdobnictwie w II poł. XIII w. i mającej swój pełny rozwój w europejskim malarstwie książkowym w XIV stuleciu; zob. H. Martin, *La miniature française du XIIIe au XIV siecle*, Paris 1924, s. 31-32; J. Porcher, *L 'enluminure française*, Paris 1952, s. 48-51; L. Randall, *Images in the Margins of Gothic Manuscripts*, Los Angeles (Berkeley) 1966, s. 9.

[62] Johannes Teutonicus de Freiberg: *Summa confessorum..., Anonymus: Statuta confessorum ex sexto libro Deretalium... Tabula super summam Confessorum secundum ordinem alphabeti confecta.*

[63] A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 181.

[64] Petrus Aureoli, *Commentarius in IV, II et III libros Sententiarum Petri Lombardi.*

[65] Datę umieszczono w kolofonie (k. 113): *Explicit quartus liber sententiarum de reportacione fratris Petri Aureoli recollectus eo legente anno domini 1317.*

[66] Na temat dekoracji filigranowej zob. E. J. Beer, *Beiträge zur oberrheinischen Buchmalerei*, Stuttgart 1959; G. Schmidt, *Die Malerschule non St. Florian*, Wien 1969, s. 179-189; F. Avril, *Un enlumineur ornamentiste parisien de la premiére moitié du XIVe siecle*, „Bull. Monumental", t. 129, 1971.

[67] A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo gotyckie Europy Środkowowschodniej*, s. 63.

[68] Eadem, *Znaczenie iluminatorstwa...*, s. 375 i in.; eadem, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 194-196.

[69] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 36-51; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, rozdz. pt. *Środowisko miejscowe*, s. 193-195.

[70] Np. Pelplin, BSD, rkps 163/160; Pelplin, BSD, rkps 200/212; Pelplin, BSD, rkps 207/135.

[71] M.in. Pelplin, BSD, rkps 118/449; Pelplin, BSD, rkps 119/450, Pelplin BSD, rkps L 13.

[72] A. Karłowska-Kamzowa, *Perspektywy badań nad sztuką cysterską w Polsce*, (w:) *Cystersi w kulturze średniowiecznej Europy*, red. J. Strzelczyk, Poznań 1992, s. 133.

[73] Pelplin, BSD, rkps 12/13 *Biblia: Evangelium Sancti Matthaei et Marci*; Pelplin, BSD, rkps 13/14 *Biblia: Evangelium S. Lucae et Joannis*; Pelplin, BSD, rkps 25/22 *Biblia: Parabolae Salomonis, Ecclesiastes Cantica Canticorum, Liber Sapientiae...*

[74] Gregorius Magnus, *Homiliae in Ezechielem*, S. Hieronimus: *Epistola ad Paulum et Eustochium.*

[75] Petrus Lombardus, *Expositio super Psalterium.*

[76] Anonymus, *Expositio super Psalterium.*

[77] Johannes Teutonicus de Freiberg: *Summa confessorum ex Raymondi de Pennaforte opere extracta*; Anonymus: *Tabula super Summam Raymondi*. Zob. A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 194.

[78] Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 36-44; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 194.

[79] Pelplin, BSD, rkps 5/1 Nicolaus de Lyra, *Postilla super Job, Postilla super Isaiam, Postilla super Jeremiam, Postilla super Ezechielem, Postilla super Danielem*: Pelplin, BSD, rkps 23/19 Nicolaus de Lyra, *Postilla super Pentateuchon.*

[80] Pelplin, BSD, rkps 28/20 Johannes de Saxonia, *Summa de vitiis ac praeceptis.*

[81] H. Mędrek, *op. cit.* s. 298.

[82] Zob. przyp. 29.

[83] Pierwszy twórca namalował: Chrystusa w Otchłani (k. 78 v.), Biskupa prezentującego Oblicze Chrystusa (k. 93 v.), Drzewo Jessego (k. 151), Zesłanie Ducha Świętego (k. 96 v.), drugi zaś św. Piotra (k. 167 v.), Niewierność św. Tomasza (k. 149 v.), dwie Koronacje NMP (k. 175; k. 183), Oblicze Chrystusa (k. 18), Tron Łaski (k. 100 v.), Postać św. Bernarda (k. 177), Boże Narodzenie (k. 12 v.), Madonnę z Dzieciątkiem (k. 127).

[84] Boże Narodzenie, Zesłanie Ducha Świętego, Triumf Marii, św. Piotr; G. Jurkowlaniec, *op. cit.*, s. 376.

[85] Niewierność Tomasza; *ibidem*, s. 376.

[86] Z. Kliś, *op. cit.*, s. 283-301.

[87] Wśród cztemastowiecznych m.in.: Pelplin, BSD, rkps L 13, Pelplin, BSD, rkps 24, Pelplin, BSD, rkps 67, Pelplin, BSD, rkps 5/1; Pelplin, BSD, rkps 22/1- datowany na 1416 r.

[88] Por. I. Błaszczyk, *Iluminacje...*, s. 119; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 194.

[89] Bartholomaeus Cassimaria, *Sermones hiemales.*

[90] Pelplin, BSD, rkps 8/5.

[91] Pelplin, BSD, rkps 22/11.

[92] Pelplin, BSD, rkps 89/154 Anonymus, *Glossa in Evangelium S. Lucae, Glossa in Evangelium S. Marci...*

[93] Zob. Z. Rozanow, *op. cit.*, s. 36; A. Karłowska-Kamzowa, *Malarstwo miniaturowe...*, s. 196.

[94] Eadem, *Znaczenie iluminatorstwa...*, s. 367-385; L. Wetesko, *op. cit.*, s. 109 i in.

W czerwcu w Czarnej Wodzie odbyła się kolejna już VII Biesiada Literacka, tym razem pod nazwą *Obraz Kociewia w literaturze Pomorza.* Na sesji pracownicy naukowi Uniwersytetu Gdańskiego wygłosili trzy referaty: prof. Jerzy Samp mówił o kociewskich związkach w literaturze Franciszka Fenikowskiego, prof. Kazimierz Nowosielski omówił twórczość poetycką ks. Franciszka Kameckiego, natomiast prof. Tadeusz Linkner szczegółowej ocenie poddał *Nowy bedeker kociewski* Romana Landowskiego.

W komunikatach Jerzy Cherek przedstawił dokonania wydawnicze tematycznie związane z Kociewiem, a Roman Landowski poinformował o pisarstwie Huberta Pobłockiego zamieszczonym w Almanachu Unii Polskich Pisarzy Lekarzy.

TADEUSZ LINKNER

Nowy bedeker kociewski

Słowu BEDEKER dał początek niemiecki wydawca Karl Baedeker (1801-1859), który był pierwszym edytorem przewodników turystycznych. Dzisiaj jednak bedeker nie tylko turystom służy, ale także mieszkańcom danego regionu i nie jest jak dawniej specjalnie oszczędny w słowach. Pojawia się wobec tego problem, czy jest to gatunek publicystyczny, literacki czy może naukowy? Uważam, że ma on w sobie wszystkiego po trochu. Z publicystyki jest w nim to wszystko, co ułatwia odbiorcy dotrzeć do celu, zaspokajając jego pierwszą ciekawość. Obecnie język bedekera jest o wiele bardziej literacki niż dawniej. Zaś do nauki zbliża ten turystyczny przewodnik obiektywne i dosyć szczegółowe omówienie pewnych haseł, poparte niejednokrotnie naukową literaturą chociaż przypisów w nim nie znajdziemy.

Romantyzm był znany z podróży i przewodniki były wtenczas konieczne. Dlatego dzieło K. Baedekera zaczęło zyskiwać coraz większe uznanie. Z czasem jego turystyczne przewodniki poczęły bogacić się w treść oraz w ilustracje i bedekery poczęły być już inne i tak się upowszechniły, że gdyby dzisiaj szukać w słownikach tego wyrazu wedle jego rzeczywistej pisowni *baedeker,* to udałoby się go znaleźć takim, jak się wymawia. Trzeba to uznać za najlepszy dowód popularności i zarazem uznanie bedekera za swojski, jeżeli w *Słowniku języka polskiego* znajdujemy jego hasło zapisane wedle jego wymowy.

Lecz chociaż do informatorów i przewodników bedeker się zalicza, to nie każdemu z nimi już się kojarzy. W *Słowniku języka polskiego* mówi się co prawda, że bedeker to *przewodnik dla turystów,* ale nie jest to już cała prawda. Można się nim oczywiście posługiwać w podróży, ale można go także czytać nigdzie nie wyjeżdżając, co czyni bedeker książką. O takiej roli bedekera są przekonani współcześni ich autorzy i także Roman Landowski, który we wstępie do *Nowego bedekera kociewskiego* powie o nim jako *książce o Kociewiu,* adresując ją nie tylko do turystów, ale także do *stałych mieszkańców* tego regionu.

Tytuł książki R. Landowskiego o Kociewiu brzmi *Nowy bedeker kociewski,* wskazując zarazem, że poprzednio już coś takiego było. Najpierw pojawił się *Bedeker kociewski* autorstwa Franciszka Biernackiego i Józefa Milewskiego, wydany w 1986 roku w Gdańsku, czyli przed blisko dwudziestu laty. Taka sytuacja nie jest wśród bedekerów niczym nowym, a raczej koniecznym. W wielu bedekerach nie tylko zdezaktualizowały się informacje, ale doszło przez te lata wiele nowych, kiedy czas pogoniły komputery i świat wiedzy stał się tak wirtualny. Dlatego na skrzydełku obwoluty omawianej tu książki Wydawnictwo OSKAR będzie zapowiadało już *Nowy bedeker kaszubski,* który wobec poprzedniego, też jeszcze do niedawna nowego, miał być znacznie poszerzony i uzupełniony; dlatego Jerzy Samp wzbogacił swój *Bedeker gdański,* a Ryszard Socha wydał *Nowy bedeker sopocki.*

Mamy więc urodzaj na bedekery, co dobrze o zainteresowaniu autorów i odbiorców, bo przecież bez popytu nie byłoby podaży, swoimi regionami świadczy, chociaż zarazem dowodzi i tego, że teraz wiedzę trzeba zamykać niemal w pigułce, dając ją przede wszystkim zwartą i skondensowaną bo tak gna wszystkich życie.

Nowy bedeker kociewski inicjuje motto Janusza Stanisława Pasierba z *Gałęzi i liści,* który powiedział tam nie tylko o Galilejskiej urodzie Kociewia, ale także przydał tej ziemi urodę Toskanii. I nie inaczej, chociaż bardziej swojsko, rozpocznie Roman Landowski odautorskim słowem, jak to *Przed laty jadąc z Laskowic do Szlachty pociągiem,* zasłyszał od pewnego turysty, że *Łagodna to ziemia.* (...) I *ma wszystko na swoim miejscu.* Że tak jest, jego bedeker oczywiście tego dowodzi.

Znajdujemy tutaj 266 haseł, co nie jest mało, jeżeli w poprzednim bedekerze było ich 113. Mamy więc ich zdecydowanie więcej i są często obszerniejsze, co bogactwa wiedzy o Kociewiu w tym nowym bedekerze najlepiej dowodzi. A byłoby ich jeszcze więcej, gdyby wpisano do niego wszystkie z bedekera F. Biernackiego i J. Milewskiego, o czym tu jeszcze szerzej się powie. W tym miejscu natomiast można tylko powiedzieć, że z różnych względów pominięto ich bodaj połowę. Ale wcale to nie znaczy, że w nowym bedekerze ich zabrakło. Większość z nich znalazła swoje miejsce gdzie indziej, w innych hasłach, co o porządku czynionym wśród dotychczasowych treści o Kociewiu zarazem świadczy.

Dlatego trudniej byłoby tu wymieniać hasła pominięte, oczywiście dając „pominięte" w cudzysłowie, bo tak naprawdę to tutaj istniejące, natomiast łatwiej można sobie poradzić z hasłami nowymi, które już na początku rzucają się w oczy, jak chociażby gwoli przykładu *Agroturystyka, Bączkowski Konstanty, Bernardinum, Biesiady Literackie, Biskupi diecezjalni w Pelplinie, Bobowo...,* nie ma zresztą takiej potrzeby, aby w tym miejscu podawać je wszystkie i cały alfabet analizować.

Chociaż tematyka bedekerowych haseł jest zawsze wielce różnorodna i ukryta wśród ich alfabetycznego porządku, to przy odrobinie cierpliwości można ją sklasyfikować. Trafiamy więc w tym bedekerze, podobnie zresztą jak w każdym innym, na hasła osobowe, geograficzne, historyczne, archeologiczne, architektoniczne, folklorystyczne, etnograficzne, heraldyczne, florystyczne, prasoznawcze i wiele innych, których często nie sposób jednoznacznie nazwać i zaszeregować.

Jak bowiem poradzić sobie w pewnych przypadkach z hasłami historycznymi i archeologicznymi, jeżeli tak często jedno okazuje się przynależne drugiemu. Gdzie np. chciałoby się widzieć *Biblię Gutenberga?* Czy wśród haseł historycznych, czy dotyczących spraw sakralnych, bo przecież *Biblia Gutenberga* taką jest. Albo, czy *Kapliczki przydrożne* powinno się uważać tylko za sakrum, czy pamiętać o nich także jako element folkloru i etnografii danej okolicy, jeżeli tak wiele mają regionalnego ducha w sobie? Trudna to sprawa i wręcz niemożliwa w wielu innych przypadkach do rozstrzygnięcia. Niejednokrotnie godna rozprawy i to w przypadku każdego bedekera innej.

Dlatego nie rozwijając dalej tego tematu, przyjrzyjmy się, których haseł w bedekerze Landowskiego jest najwięcej, bowiem to też ma swój ukryty sens, który warto w tym miejscu chociażby zapowiedzieć. Oddając się więc tylko liczeniu, a nie dyskusji, okazuje się, że haseł osobowych znajdujemy tu najwięcej, bo aż osiemdziesiąt pięć. O miejscowościach nie warto tu mówić, bo najczęściej daje się ich w bedekerach tyle, ile tych wyróżniających się i znaczących jest w danym regionie. Ważniejsze są natomiast hasła historyczne, których mamy tutaj najwięcej, z archeologicznymi i sakralnymi oczywiście razem, bo przecież tym ostatnim historia nie jest i nie była nigdy obojętna, a także z tymi innymi, jak chociażby etnograficznymi i folklorystycznymi, które z historią się też jak najbardziej liczą. Podobnie jest z hasłami geograficznymi, których w tym bedekerze jest też wiele.

Bedeker bowiem o trzech tematach najczęściej informuje: o znanych i znaczących w regionie ludziach, o historii i dziejach tej ziemi oraz o jej geografii, topografii i przyrodzie. Kiedy więc przeważają wśród jego haseł dwa pierwsze tematy, jest bardzo dobrze, bo wtenczas można powiedzieć, że kultura w tym regionie wiele znaczy. Kiedy zaś haseł geograficzno-przyrodniczych też nie braknie, to jego piękno trzeba też doceniać, bo kulturze nie jest ono nigdy obojętne. I tak jest właśnie z Kociewiem, w te trzy tematy najbogatszym.

Taka sytuacja budzi natychmiast pytanie, jak wygląda to na Kaszubach, bo przecież i tam mamy *Nowy bedeker kaszubski* Tadeusza Bolduana. Haseł w nim jest niewiele więcej, bo dwieście siedemdziesiąt sześć, ale haseł osobowych jest niemal jeszcze raz tyle, natomiast haseł historycznych o wiele mniej. Jedynie geografia i topografia kaszubska mogłaby w wielości haseł z kociewską się równać, podobnie zresztą jak w przypadku folkloru i etnografii, zaś kwestie wiaroznawcze nie zostały tu niemal wcale wyróżnione, których *Nowemu bedekerowi kociewskiemu* nie brakuje, jeżeli mówi się tu nie tylko o bocianie, czarownicy, demonach kociewskich, diabelcach czy także o sobótkach, które na Kaszubach też się urządza. Ponadto, chociaż zarówno w jednym jak i drugim bedekerze znajdujemy hasła *Kuchnia kaszubska* i *Kuchnia kociewską,* to ta ostatnia jest co raz wzbogacana w osobnych hasłach o ludowe kulinaria, jak o *kraszanki, purcle* czy *ruchanki,* gdy tymczasem tej pierwszej przydano jeszcze, niepotrzebnie moim zdaniem, hasło *Potrawy kaszubskie,* bez których przecież kuchnia istnieć nie może. Także o znanych niegdyś na Kociewiu zabawach i grach Landowski opowiada, na co u Bolduana żadne hasło nie wskazuje.

Oczywiście, są to tylko luźne spostrzeżenia, chociaż na ich podstawie można wyrobić już sobie przekonanie, że bedeker Landowskiego jest wobec bedekera Bolduana bogatszym i bardziej urozmaiconym. Temu ostatniemu monotonii przydaje wielość haseł osobowych, co do słownika biograficznego raczej go zbliża, od bedekera tym samym oddalając. Lecz to już sprawa autora, który w haśle *Bedekery* wyraźnie zapowiedział, że *To autor decyduje, jakie informacje chce przekazać czytelnikom*[1]. Zapomniano tu tylko o proporcjach między poszczególnymi hasłami, których zachwianie akurat w przypadku biogramów zmienia dość radykalnie jego przeznaczenie i charakter. Tego nie dało się zauważyć w *Bedekerze kaszubskim* Róży Ostrowskiej i Izabelli Trojanowskiej, gdzie haseł osobowych mieliśmy około dziewięćdziesiąt, zaś haseł w ogóle było w nim ponad czterysta.

Bedeker kociewski Biernackiego i Milewskiego miał o ponad połowę haseł mniej. Oczywiście, trzeba to rozumieć, bo zawsze, podobnie jak słowniki, leksykony czy encyklopedie, przewodniki i bedekery czas będzie wzbogacał o nowe treści.. Tak jest więc i tutaj, w *Nowym bedekerze kociewskim.* Gdy poprzedni bedeker od *Alp Tymowskich* się rozpoczynał i omawiał je w dziesięciu wersach, tak teraz od *Agroturystyki* wszystko się tu zaczyna, ponieważ po sześciu latach słowo to stało się znane, uznane i modne. Kiedy natomiast następnym hasłem jest tutaj wyżej wskazane, Landowski przeznacza na nie aż dwadzieścia sześć wersów druku, liczących co prawda o dziesięć punktów mniej, ale i tak jest tego więcej niż poprzednio.

Kiedy następnym hasłem w *Bedekerze kociewskim* było *Archiwa i archiwalia,* tak teraz będzie tylko mowa *o Archiwum diecezjalnym,* natomiast o archiwach *Muzeum Ziemi Kociewskiej* czy *Muzeum Wisły* dowiemy się w haśle Muzea, co uważam za lepsze rozwiązanie. Podobnie o kronikach szkolnych Iwiczna, Jabłowa czy Klonówki znajdujemy informacje przy *Strajkach szkolnych.* Takich jednak penetracji w *Nowym bedekerze kociewskim* nie trzeba czynić, bo łatwiej można się nim' posługiwać, niż poprzednim, a nowe hasła są tego najlepszym dowodem.

Przy literze A mamy z nowych takie hasła, jak *Antyhitlerowski Ruch Oporu, Archeologiczne znaleziska* czy *Architektura sakralna.* Zaś pod literą B pojawił się *Baśniokrąg kociewski,* który zastąpił hasło *Baśnie (legendy), podania i gawędy.* Słusznie zabrakło tu *Bedekerów Ziemi*

Gdańskiej, ponieważ o Kociewiu się tu tylko mówi, a potem *Błędna,* które leży w Borach Tucholskich. Stąd *Borów Tucholskich* tu też nie znajdziemy, chociaż kiedyś o nich mówiono, i także Kamiennych Kręgów w Odrach. O *bobrach* w Lubichowie też się nie wspomina, bo może już tam ich nie ma, podobnie jak o gniewskim bractwie muzycznym, chociaż o nim pamięć na pewno nie zaginęła. Dlatego, mówiąc o *Gniewie,* warto by o tym powiedzieć.

Za to zamiast *Brejskiego Jana* mamy teraz *Brejskich,* bo więcej z tej rodziny osób godnych pamięci się znalazło. Jeszcze inaczej jest z *Drapiewskimi, Kalksteinami, Konopackimi, Kubickimi* czy *Romanami* i wieloma innymi hasłami osobowymi, które w *Nowym bedekerze kociewskim* się znalazły, a których wcześniej nie zauważono lub też może cenzura nie kazała ich widzieć, co tłumaczyłoby, że poprzednio haseł osobowych było tylko kilkanaście wobec blisko setki obecnie.

I tak można by w każdym miejscu tego bedekera się zatrzymywać, wskazując różnice, podobieństwa i luki, które okazują się często pozorne, ponieważ, jak już powiedziano, wiele treści zmieniło w nowym bedekerze swoje miejsce, jak chociażby jest z hasłem *Dęby,* które znalazło się teraz w *Pomnikowych drzewach.*

By jednak następna edycja *Nowego bedekera kociewskiego* była bogatsza, warto podpowiedzieć, że wśród *Tańców ludowych* nie ma *czapnika,* który miał poprzednio swoje hasło. Nie mówi się tu o medalionie Gutenberga na XVIII-wiecznym domostwie w Skarszewach, który może już teraz nie istnieje. Zaś z haseł osobowych zabrakło tu między innymi garncarza Antoniego Eichlera, chemika, poligloty i tłumacza Antoniego Grabowskiego i... Małgorzaty Hillar. Takich uzupełnień nie uniknie się nigdy, ponieważ co raz jawią się nowe i upływający czas na nowe postacie wskazuje, tymczasem bez indeksów - osobowego i miejscowości - bedeker jest niepełny i w nowym wydaniu nie powinno ich zabraknąć.

Gdyby się uprzeć, można by ciągnąć jeszcze dalej tę przyczynkarską analizę i porównując hasła poprzedniego bedekera z nowym wskazywać najpierw, czego nie było tam i co znalazło się tutaj, a potem, co przeniesiono gwoli poprawniejszej systematyzacji do innych haseł i co jeszcze powinno w nim być. To jest oczywiście najłatwiejsze, bo chętnych do poprawiania, wytykania braków i potknięć nigdy nie brakuje, jeżeli natomiast mieliby sami taki bedeker napisać, niewielu by się na to zdecydowało. Uznaję więc i w pełni rozumiem trud autora, który podjął się tego dzieła, zdającego się być tylko pozornie łatwym w zamyśle i czynie.

Bowiem wiedzy trzeba do bedekera wszechstronnej i sprawnego pióra, aby do każdego swoim słowem trafić. I to Landowskiemu się rzeczywiście udało. Czy mogło być zresztą inaczej, jeżeli tak interesuje się przeszłością i teraźniejszością Kociewia i może tyle o tym regionie napisać? Zresztą o jego twórczych dokonaniach materiału na niejedną pracę magisterską by starczyło. Bowiem autorem dobrego bedekera można być tylko wtedy, kiedy o swoim regionie czy mieście nie tylko wiele się wie, ale kiedy się także swoje Kociewie kocha, co lektura tego bedekera zdradza i czego oczywiście dowodzi.

Przypis:

[1] T. Bolduan, *Nowy bedeker kaszubski*, Gdańsk 2002, s. 26.

Komunikat

ROMAN LANDOWSKI

Utwory Huberta Pobłockiego w almanachu XI Spektrum

O Hubercie Pobłockim mało się dotąd mówiło, co nie znaczy, że należy do autorów mało znanych. Uczestniczył w niejednej naszej biesiadzie, gościł nie raz na łamach czasopism regionalnych: miesięcznika „Pomerania", kwartalników - „Zapiski Kociewskie" czy „Kociewski Magazyn Regionalny". Najchętniej jest widziany jako kontynuator tekstów pisanych w gwarze - czy prozatorskich gadek czy też utworów wierszowanych. Gwara Pobłockiego należy do mowy kociewskiej środkowej części regionu, tej nadwierzyczańskiej. Sam autor przyznaje, że owe swojskie gawędzenie bywa konsultowane przez Bernarda Janowicza, nestora kociewskich twórców, którego melodia i dźwięk dialektu jest dla innych przykładem.

Pretekstów do wygłoszenia tego komunikatu byłoby kilka. Tym najważniejszym jest jednak ukazanie się w 2002 roku XI Spektrum - Almanachu Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, której Hubert Pobłocki od kilku lat jest członkiem. Przypomnijmy, że nasz krajan z Kociewia, mieszkający w Gdańsku, jest lekarzem stomatologiem i z tej racji -jako „robiący" też w literaturze - do Unii tej został przyjęty. Odnotować również trzeba, że prezesami Unii m.in. byli tacy znani literaci, jak Jerzy Pomianowski (1967-1969) czy Jerzy Lutowski (1971-1976).

Almanach zawiera ponad 190 utworów (w przeważającej mierze wierszy) pochodzących od 20 autorów. Są to szkice, wspomnienia, liryki, treny, a także fraszki i inne utwory satyryczne. Hubert Pobłocki należy do grona tych, którzy w almanachu zamieścili najwięcej tekstów. Redaktor almanachu, Eugeniusz Czubak, pisze: *przypadł mi zaszczyt zredagowania obecnego, rocznicowego numeru* (z okazji 35-lecia Unii - dop. R.L.). *Jest on również pierwszym zawierającym prace pisane w regionalnej gwarze.* Tą gwarą jest mowa z Kociewia. Oczywiście są to teksty Huberta Pobłockiego. Są to gwarowe wiersze bożonarodzeniowe, wielkanocne, coś z satyry, ale szczególną uwagę zwraca „Gadka", utrzymana w formie dialogu dwojga małżonków - pochodzących z Kresów i z Kociewia. Zabawny to tekst - wierszowany - w którym autor wykorzystał regionalne przysłowia. Czysta polszczyzna występuje obok kociewszczyzny! Pomysł wzięty został zapewne z codzienności państwa Pobłockich - małżonka Zofia Janukowicz, znana śpiewaczka i pedagog wokalistyki, to właśnie Kresowianka, a pan Hubert - rodowity Kociewianin. Przy okazji przypomnijmy, że Ewa Pobłocka, sławna polska pianistka, laureatka wielu konkursów, goszcząca na estradach koncertowych niemal całego świata (poza chyba Afryką) - to córka państwa Zofii Janukowicz i Huberta Pobłockich.

Wracając do almanachu - uświadomić musimy sobie pewną niecodziennie występującą prawdę: to dzięki Hubertowi Pobłockiemu kociewszczyzna znalazła się wśród tekstów ogólnopolskiego wyboru eskulapowej twórczości pisarskiej.

KMR

o ukazaniu się wierszy zebranych ks. Franciszka Kameckiego (Pelplin 2001), przyznaję, przez pewien czas nosiłem w sobie drobny żal do autora tego tomu; żal o to, że nie dokonał jakiejś uważnej i daleko idącej selekcji tego, co dotąd opublikował, a co w efekcie złożyło się na obszerny, bo prawie czterystustronicowy zbiór. Mój entuzjazm dla wielu zamieszczonych w książce *Ten co umywa nogi* wierszy dość często kontrastował z wątpliwościami co do poetyckiego znaczenia niektórych z zamieszczonych tam tekstów; z pewnym trudem powierzała się im moja estetyczna i krytyczna wrażliwość, a i one, jakby też odsłaniając swoje wewnętrzne „najeżenia", zdawały mi się odwzajemniać tym samym. Wydawały się jakieś chropowate, nie do końca od strony poetyckiej obrobione, doszlifowane, nie z każdego miejsca świecące równomiernym, intensywnym blaskiem piękna. Przez wewnętrzne światy wielu utworów szło mi się, że tak powiem, jak po grudzie.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Ksiądz z „pradoliny Wisły"

Dziś, po ponownej lekturze tego tomu, a zwłaszcza po wydanej w rok później *Skardze księdza* (Sopot 2002), domyślam się, ba, nawet wiem i jestem pewien, że tak właśnie być miało i nawet w pewnym sensie również tak być powinno: nieefektownie, szaro, opornie... Opornie, a więc także: inaczej; inaczej niż przy innych pisanych przez księży wierszach, których mniej lub bardziej utajonym celem bywa prostowanie zawikłanych ludzkich ścieżek, podpowiadanie jasnych rozwiązań, wprowadzanie elementarnego ładu do potarganego przez grzechy człowieczego wnętrza. Tu nie chodzi o to, że w wierszach autora *Epilogów Jakuba* owego porządkującego naszą duchowość, a pochodzącego z niebios światła, nie ma, bo ono jest, ale o to, że częstokroć ujawnia się nie tam, gdzie się go spodziewamy. Czasami - całą istotą swego poetyckiego świadczenia ukazuje Kamecki - trzeba sobie mocno poranić dłonie, aby ów niebiański poblask odsłonić. I ksiądz-poeta - powiada on w swych wierszach - jest tym człowiekiem, któremu ów trud docierania do światła również nie został oszczędzony. Twórca *Paraboli Syzyfa* całą problemową oraz językową istotą swej poetyckiej wypowiedzi ukazuje, iż nie tylko my, ludzie świeccy, ale i on - kapłan skazany jest na chodzenie „po grudzie", i że również on od tego chodzenia ma nie tylko poranione stopy, poobijane kostki, ale i, że tak powiem, posiniaczoną świadomość. Podąża przez życie niby Herbertowy Pan Cogito, który:

tak oto
na obu nogach
lewej którą przyrównać można do Sancho Pansa
i prawej
przypominającej błędnego rycerza
idzie
(...)
przez świat
zataczając się lekko

i dla którego też, jak dodaje w innym wierszu Herbert:

pytania z pozoru proste
zawiłej odpowiedzi

W tym miejscu raz jeszcze przypomnijmy tytuł ostatniej książki Franciszka Kameckiego: *Skarga księdza* i spróbujmy wniknąć w jego głęboki sens; sens - w pewnych aspektach, rzekłbym, niezwyczajny, a nawet prowokujący. Bo jakże to - ksiądz publicznie utyskujący na swój los; skarżący się - z jakiego powodu? Komu i na co? Wszak, chciałoby się rzec, wiedziało serce, co wybierało, a i rozum też pewnie nie spał, kiedy rodziło się powołanie... A jednak - powiada Kamecki - ta „skarga" jest tym, co także z samego serca swej autentycznej wiary i ze środka swego autentycznego zaangażowania w życie ma do ofiarowania Bogu i ludziom współczesny, i nie tylko współczesny, ksiądz. Bierze się ona, owa „skarga", z żywego, a nieobcego także kapłanowi, uczestnictwa w trudach oddzielania istoty od rzeczy, grzechu od grzesznika, zmysłów od ciała, a ciała od ducha, lęku od nadziei, tęsknoty - od jej kalekich urzeczywistnień... Także jako ksiądz - zwierza się autor *Sancza i oceanu* - ja jestem z tych doświadczeń, z tych świadomościowych poranień, i jako poeta, w pewnym sensie, swoistą chropowatością moich utworów ja tę swoją sytuację uwiarygodniam. On w swych wierszach nie ukazuje siebie jako tego, kto mocą swego powołania, wyłączony z gromady zwykłych, szarych ludzi, podąża z przodu, by określać i wybierać właściwy dukt, ale pozostaje tym, kto - wiedząc, czym światło Ewangelii - idzie razem z nimi; potyka się, dzieli poczuciem niepewności, zapytuje o drogę, stara się zrozumieć i Sanczo Pansę, i Don Kichota, i króla Dawida... Stara się być z nimi - całą realnością swoich czysto ludzkich i kapłańskich doświadczeń.

Bywa też, iż sam siebie pyta, jak dobrze rozpoznać istotę swego posługiwania?; jakie kapłaństwo wybrać? Czy może to, które wskazuje narodowi kierunek: kapłaństwo Skargi, Wyszyńskiego, Bartnika? Czy może dość ekskluzywne, bo nastawione na realizowanie pełni ludzkiego bytowania poprzez uczestnictwo w kulturze wysokiej, kapłaństwo Pasierba? A może zgodzić się na posługiwanie zwykłego, prowincjonalnego księdza, który ma wiernych takich, jakich ma - i musi być z nimi: przy narodzinach, przy pracy, przy śmierci?

Kamecki do końca nie utożsamia się z żadnym z tych egzystencjalnych projektów, choć też nie ukrywa, iż mimo wszystko najbliższy jest mu ten ostatni. Mając do wy-

boru wznoszenie *Miasta na górze (Miasto na górze świeci w słońcu. Wysokość góry onieśmiela napastników* - w jednym z eseejów pisał Janusz Pasierb) i nieefektowną pracę u podstaw - opowiada się za tym drugim; wybiera posługę na dole, w kilkakrotnie przywoływanej w ostatniej książce *pradolinie Wisły;* stara się utożsamić ze *skargą ubogiego /pod bramą bogatego,* albowiem *Biedne pytania / nigdy nie są zadowolone / tłustymi odpowiedziami.* Idzie drogą Św. Marcina, który w jednym z utworów proboszcza z Gruczna powiada:

Sąd rejonowy potwierdza, że w księgach wieczystych nie ma mojego nazwiska. Nie mam domu ani ziemi. Nie jestem właścicielem. Za mną wędrują psy i koty. Zimą w pradolinie Wisły (gdzie mikroklimat) chronię nogi, ręce i głowę pod zaspami śniegu. Czasem wkładam mysz pod cienką bluzę, jak u Johna Steinbecka, bo razem nam cieplej. Marzę o królikach i kurach. O tym, że będę pracował codziennie siedem godzin i przyjmował na swoją pryczę zagubionych, szukających byle czego i byłe gdzie.

Kamecki rozpoznał i przekształcił w sposób życia to, co być może nie każdemu księdzu jest dane, a co -jak pokazał Chrystus - jest warunkiem pełnego miłości spojrzenia ku Górze; że trzeba się uniżyć, ażeby w swym duchu zostać podniesionym i żeby się dać podźwignąć. W tym ewangelicznym porządku, w świetle Chrystusowego świadectwa, daje się rozpoznać i uzasadnić sens tytułu jego wierszy zebranych. I tak też rozumiem poetycką i kapłańską rolę tego, kogo nazwisko i imię widnieje nad owym z samego serca Ewangelii wziętym tytułem *Ten co umywa nogi:* Franciszek Kamecki.

FRANCISZEK KAMECKI

WIELKI PIĄTEK

pani Annie Kamieńskiej

Wielki Piątku
świątku krwisty
niewiniątko
z ciebie się narodziło
co niepojęte
z ciebie wschód zachód
niż i wyż
cień i blask
jedyny krzyżu
pośrodku stu tysięcy
rozhisteryzowanych zawziętości
jedyna ciszo
wokół gór oceanów
dotknij mnie zielonym drzewem
abym na suchym leżąc
nie skłamał
pagórku zbrodni
przykryj mnie
deszczem obmyj mnie
zasłoń kalwarią czaszek
przebacz

BERNARD JANOWICZ

Kurónek i kokoszka

Raz kurónek i kokoszka poszli sobie na szpacer. Podedrogó kurónek wyskakiwał to w ta, to wewta strona, bo tu znalaz ziarko, tam znów robaczek, a wszystko z dużo chwalbó łostawiał na kokoszki. A kokoszka kele niego latała, że jano te pytki ji tak lateli. I tak óni dolejcieli na śmnietnik, i tam grzebeli, i gdakeli, aż naraz kurónek wew śmnieciach znalaz jigła. Co to? Patrzy z jednego boku, patrzy z drugego boku, dziobnył i chce dać jigła kokoszce, ale jigła łostała mu wew gardle i od razu kurónek ni móg dostać tchu, jano zdóżył zawołać: - Ko-ko-szko, daj wo-dy! -I kurónek tera leży na śmnieciach i ledwie tchnie.

A kokoszka jak to łobaczyła, że jeji kurónek leży na śmnieciach i ledwie tchnie, zawjinyła sia chwatko i lejci do gospodyni i woła: - Gospodyni, gospodyni, daj wody! - Komu wody? - Kurónkowji wody, bo kurónek leży na śmnieciach i ledwie tchnie. - O, ja ci dóm wody, ale lejć do krowy i halaj mnie mleka, żebym mogła zacierki zrobjić.

I nasza kokoszka lejci do krowy i woła: - Krowo, krowo, daj mleka! - Komu mleka? - Gospodyni mleka, żeby gospodyni dała wody. - Komu wody? - Kurónkowji wody, bo kurónek leży na śmnieciach i ledwie tchnie. - Ja dóm ci mleka, ale lejć do gospodarza i halaj mnie siana.

I kokoszka chwatko sia zawjija do gospodarza i woła: - Gospodarzu, gospodarzu, daj siana! - Komu siana? - Krowie siana, żeby krowa dała mleka. - Komu mleka? - Gospodyni mleka, żeby gospodyni dała wody. - Komu wody? - Kurónkowji wody, bo kurónek leży na śmnieciach i ledwie tchnie. - A moja kokoszko, ja wjidza, że ty jezdeś srodze zorgowna o twojego kurónka, ja dóm ci siana, dóm. A zawjijaj sia chwatko, żebyś zdóżyła do twojego kurónka.

I tak gospodarz dał siana na krowy. Krowa dała mleka na gospodyni. A gospodyni dała wody na kurónka kokoszce. A nasza kokoszka tera lejci zez wodó do kurónka -jano te pytki ji lateli - co leży na śmnieciach i ledwie tchnie.

A kurónek popsił wody raz - strzósnył sia. Popsił wody drugi raz - strzósnył sia. Popsił wody trzeci raz ji zapsiał:

- Ku-ku-ri-ku, czamu latałeś, głupsia ko-ko-szkoo! Ku-ku-ri-kuuu!

Bernard Janowicz

(1908-2003)

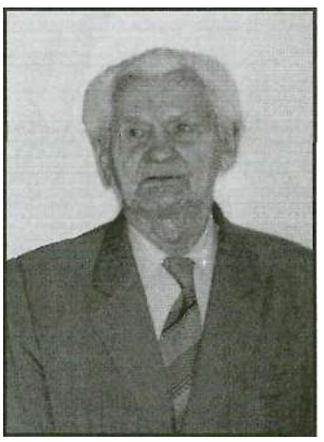

15 sierpnia w Starogardzie Gdańskim zmarł Bernard Janowicz, nestor twórców literatury kociewskiej. Przeżył 95 lat. Całe swoje życie związał ze Starogardem, w tym mieście się urodził 23 lipca 1908 roku.

Jego spuścizna pisarska nie była obfita, ale za to wybitna i oryginalna. Jego, wielokrotnie, wznawiany zbiór *Bajek kociewskich* to prawdziwa skarbnica folkloru literackiego, znacząca nie tylko dla naszego regionu, ich wartość wykracza daleko poza Kociewie.

Te literackie perełki gwarą pisane powstały na kanwie rodzinnych opowieści, przekazanych najczęściej przez matkę. Janowicz oddał w tych żartobliwych „bajdach" cały urok ludowej mądrości. Krytycy literaccy uznali je za autentyczną rewelację. Krzysztof Kuczkowski stwierdził, że „Oryginalność *Bajek kociewskfch* polega na tym, iż napisane zostały z dużym znawstwem regionalnej kultury, z wyczuciem kompozycyjnym, z zacięciem prawdziwego bajarza". Bajki te ujmują pięknem bogatej gwary kociewskiej, a zarazem zadziwiają sprawnością pisarskiego warsztatu.

O Bernardzie Janowiczu będziemy już mówić w czasie przeszłym, jego zacna osoba należy już do wspomnień, ale jego bajki będą żyły nadal, zawsze radosne, wesołe bądź zabarwione ludowym liryzmem. Nieśmiertelna pozostanie pamięć o ich fiutorze, podobnie jak wieczny pozostanie kurónek i kokoszka, bruny kot i myszór czy rogata koza...

Pamięć o Janowiczu przywracać będzie zapewne Szkoła Podstawowa w Brzeźnie Wielkim, której w ubiegłym roku nadano imię kociewskiego bajkopisarza.

Bernarda Janowicza pożegnaliśmy 20 sierpnia 2003 roku w kościele parafialnym Świętej Katarzyny Aleksandryjskiej. Pochowany został na cmentarzu przy ul. 2 Pułku Szwoleżerów w Starogardzie Gdańskim.

HUBERT POBŁOCKI

Paciyrz za kociywska dusza

Łokrutna śmniyrci, cóżeś zamkła łoczy Jygo,
Toć żeśma wjidzieli, co Łón czynił dobrygo.

Brat Janowicz bez całke długe życie swoje
Radował Kociywiaków, precz gnał niepokoje.

Wej, syrce mniał Łón czyste, a wew duszy siła,
A dziś roztworzyła sia przed Nim mogiła.

Nóm łostawził na drodze ziamskygo żywota
Fejn gwazda, chtórno niechaj bańdzie świanta cnota.

Mniał zawdi mocy tyla, by złamać fałsz i złość,
Toć wszandzie tamój chdzie był, halał walna mniłość.

Tedy błogosław Jamu, Panie, wew tyj dobie
Z ufnośció, wew paciyrzu, powierzym Go Tobie.

Wejta łzów tu dziś wiela zez łoczów nóm tryska,
Cośma przyszli Go pożegnać, z dalek i bliska.

Wnetki Jego zarek przykryje ziamnia świanta,
A kociywski lud na zawdi Go zapamnianta.

Świanta Katarzyno, droga Patrónko nasza,
Poprowadź nas do Boga, lud Ciebie uprasza.

I na nasze pokorne do Ciebie wezwanie,
Toć wieczny łodpoczynek racz Jamu dać, Panie.

Tekst modlitwy wygłosił autor 20 sierpnia 2003 roku podczas mszy żałobnej

CZESŁAW KNOPP

Żołnierskie wspomnienia

dokończenie

Dnia 1 września, w rocznicę wybuchu wojny, odbyło się poświęcenie cmentarza na Monte Cassino. Nasz Pułk reprezentował Kompanią Honorową, Drugą Warszawską Dywizję Pancerną. Prócz tego były reprezentacje 3 Dywizji Strzelców Karpackich i 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Również i mnie wyznaczono do Kompanii Honorowej. Przyjechaliśmy dzień wcześniej. Rozmieściliśmy się po resztkach krzaków, aby nie zastawiać całego terenu namiotami. Wieczorem przywieziono nam jakiś ciepły posiłek, a rano kawę i kanapki. Ubraliśmy się w nasze paradne mundury, chowając resztę naszego ekwipunku w krzakach. Prawie gotowi czekaliśmy na zbiórkę, jeszcze tylko jeden drugiemu poprawiał umundurowanie. Stałem w grupie naszych Ślązaków, którzy „łonaczyli" swą gwarą. Przechodziło tamtędy dwóch cywilów, ale na głos śląskiej gwary, skręcili w naszą stronę i zaczęli rozmowę. Ten mniejszy nie mówił wcale gorzej od naszych kolegów. Okazało się, gdy się później przedstawił, że był nim Gustaw Morcinek, a drugim Melchior Wańkowicz. Przyjemnie się z nimi rozmawiało, ale obowiązek zaczął pilić. Zbiórka, chorąży Śliwiński wyjął sztandar dywizyjny, ostatnie sprawdzanie rynsztunku, zbiórka, w prawo zwrot, naprzód marsz. Szliśmy od ruin klasztoru w dół do cmentarza. Ustawiliśmy się przed wejściem, wszystkie trzy kompanie w rzędzie. Po kilku chwilach zaczęli przychodzić goście. Generał Anders, w asyście marszałka Alexandra, robił przegląd Kompanii Honorowych. Orkiestra grała Marsz Generalski. Generał wszedł na teren cmentarza, a za nim po kolei nasze kompanie. Zaczęła się uroczystość poświęcenia. Biskup polowy Gawlina rozpoczął ceremonie katolickie. Za nim przedstawiciele wyznania prawosławnego, ewangelickiego, mojżeszowego i muzułmańskiego odprawiali swoje modły. Nastąpiła uroczysta msza Św. żałobna w asyście wszystkich przedstawicieli innych wyznań. Modlitwa za zmarłych łączy wszystkich.

Trwało to około dwóch godzin. Jako Kompanie Honorowe zeszliśmy z cmentarza ostatni. Doszliśmy do naszego biwaku i niektórzy zaraz poprzebierali się w luźniejsze umundurowanie letnie. Teraz dopiero sami mogliśmy przejść się po okolicy, a szczególnie ci, którzy w bitwie udziału nie brali, mogli popatrzeć na ten teren, który kosztował tyle istnień ludzkich. Oczywiście musieliśmy też dojść do „Gardzieli", która zaczynała się u końca drogi Polskich Saperów (Cavendish road), a gdzie wyleciał na minie pierwszy czołg naszego pułku. Obejrzeliśmy też sam cmentarz dokładniej. Wejścia na pierwsze plateau strzegą dwa orły wykute w trawertynie. Pośrodku inkrustacja krzyża Virtuti Militari z płonącym pośrodku zniczem. Wokoło dwumetrowymi literami wyryty napis: *Przechodniu powiedz Polsce, żeśmy połegli wierni w jej służbie.* Wyżej dziewięć tarasów z podwójnymi rzędami grobów. Krzyże i grobowe płyty z trawertynu. Prawosławni mają krzyże podwójne. Żydowskie groby jak i muzułmańskie wedle ich zwyczaju. Na każdej płycie wyryte: stopień, nazwisko i imię, data urodzenia i śmierci. Na samej górze przed murem ochronnym kamienna bryła ołtarza, a za murem krzyż z żywopłotu z wykutym pośrodku kamiennym orłem.

W maju czekała nas jeszcze jedna uroczystość. 18 maja, rocznicę zwycięstwa pod Monte Cassino, zatwierdzono jako Święto Pułkowe. Z tej okazji przyjechali również wszyscy, którzy byli w szkołach i na kursach. Wrócili do nas również nasi koledzy z Modeny. Zameldowali się w kancelarii, gdzie właśnie był też dowódca i szef szwadronu. W pewnym momencie, Danek zwrócił się do mnie, pytając:

- Znałeś może Boczara?

- Owszem - odpowiedziałem. - Jeden uczył mnie przed wojną geografii.

- To chyba ten sam, bo i nas uczy geografii.

- To jak będziecie wracali pojadę z wami.

- Pan porucznik pozwoli - zwróciłem się do dowódcy.

- Naturalnie - odpowiedział - możesz zostać kilka dni.

W przeddzień święta cały personel pułku zebrał się na „Gardzieli", gdzie pierwszy zniszczony czołg został przerobiony na pomnik. Czołg postawiono na betonowej podstawie. Wieża leżała przed czołgiem. Pośrodku postawiono krzyż zrobiony z członów gąsienic. Dwie tablice z brązu, jedną z przodu, drugą z tyłu, podtrzymują dwa brązowe skorpiony. Na przedniej tablicy napis głosi: *Bohaterom Pułku 4 Pancernego, poległym w marszu do Polski.* Na tylnej tablicy nazwiska poległych w kampanii włoskiej (parę lat później, skorpiony skradziono).

Wieczorem odbył się capstrzyk z apelem poległych. Następnego dnia, w obecności wielu gości, biskup Gawlina, w asyście naszego dzielnego kapelana, kawalera krzyża Virtuti Militari, ojca Adama Studzińskiego, poświęcił pomnik i odprawił uroczystą mszę Św. Po mszy wszyscy siedli do wspólnego żołnierskiego obiadu. Odjechaliśmy następnego dnia rano.

Drugiego dnia wybrałem się do Modeny. Przyjechaliśmy akurat przed wieczornym posiłkiem. Koledzy zakwaterowali mnie w swym pokoju, gdzie było wolne łóżko. W pewnym momencie, komenda „baczność". Wszyscy stanęli przed łóżkami, wszedł oficer służbowy. Poznałem go bez trudu. Nie zmienił się nic, mimo ponad pięcioletniej niewoli w Murnau. Szedł wzdłuż szeregu z każdym zamieniając kilka słów. Doszedł wreszcie do mnie. Spojrzał, i rzekł:

- Ja. pana znam, ale proszę nie mówić kto.

Po chwili mówi: - Knopp Czesław z Tczewa.

KMR

- Tak jest panie poruczniku.

Objął mnie, uściskał. Byłem pierwszym tczewianinem, którego spotkał. Porozmawialiśmy nieco i powiedział tylko, że ze względu na służbę nie możemy się spotkać, ale prosi abym przyszedł do niego następnego dnia przed wieczorem. Podał adres hotelu. Byłem zaskoczony jego pamięcią. Ostatni raz widział mnie przed zakończeniem roku szkolnego w 1939 roku w mundurku szkolnym. Powołany do wojska zakończył wykłady jeszcze w maju. Teraz stałem przed nim w mundurze wojskowym.

Następnego dnia przesiedzieliśmy prawie do świtu. We dwóch opróżniliśmy butelkę whisky (piłem ją po raz pierwszy w życiu). Ciekawił go każdy szczegół naszego bytu podczas wojny. W Wielkiej Brytanii pracował najpierw w szkole polskiej dla dziewcząt, a po zamknięciu polskich szkół w szkolnictwie angielskim. Zmarł nagle około 1964 roku.

W czerwcu dostałem powołanie do liceum w Fermo. Było nas kilku z pułku. Przyjechaliśmy przed jakiś klasztor, w którym urządzono pomieszczenia dla uczniów. Była tam też administracja i kuchnia. Po zarejestrowaniu się, kazano nam iść na piętro i rozgościć się w jednej z dwóch sal. Popatrzyłem na pierwszą, podszedłem do drugiej i wpadłem prawie w ramiona Romka Filbrandta, starego kolegi z lat dziecinnych. Skończył w Tczewie Gimnazjum Techniczne. W Alessano dorobił czwartą klasę Gimnazjum Ogólnokształcącego. Tu z dobrą podstawą, przyjechał po dyplom technika mechanika. Dużo było gadania, choć czasu mało. Czekał nas egzamin wstępny z fizyki i matematyki. Ten okazał się zgubą dla wszystkich. Pytania były jak na egzaminie na uniwersytecie. Dopiero tłumaczenia dyrektorowi, że nasze wiadomości są tylko na poziomie gimnazjalnym, zmusiły go do zmiany frontu. Romek po osiedleniu się w Manchester został kierownikiem biura projektów w fabryce przekładni. Wydatnie pracował jako prezes Komitetu Parafialnego, za co odznaczono go medalami papieskimi, został także szambelanem Jego Świątobliwości. Zmarł w Manchester 15 lipca 2000 roku.

W sierpniu przybyła z Kanady Komisja Werbunkowa, poszukująca 4000 chętnych do pracy na roli. Musieli to być ludzie młodzi, samotni, bez zobowiązań. Nie wiedziałem wtedy, że jednym z ochotników został mój serdeczny przyjaciel, Ludwik Michalski. Okazało się, że służył w łączności jako goniec motocyklowy. Po odbyciu obowiązkowych dwóch lat pracy na roli, poszedł do wycinania lasów. Żyjąc oszczędnie, przyjechał z pewną sumą gotówki w rejon Toronto, gdzie kupił małą farmę z dużym domem. Pracował w jakiejś fabryce tylko przez letnie miesiące. Potem sprzedał swoją farmę i osiadł na stałe w Toronto. Zmarł w lipcu 1994 roku.

W październiku przyszła kolej na nasze przeniesienie do Wielkiej Brytanii. Ostatnie tygodnie przed wyjazdem, wszelkie regulaminy poszły w kąt. Ubieraliśmy się jak kto chciał, a nawet nieco po cywilnemu. Blisko szkoły była fabryka obuwia. Za kilka lirów można było kupić eleganckie buciki. Te, które tam kupiłem służyły mi jeszcze kilka lat w cywilu. Nasz transport był już jednym z ostatnich.

Dzień przed załadowaniem się do pociągu spędziliśmy na plaży w niedalekim Porto San Giorgio. Było tam również gimnazjum i liceum dla ochotniczek. Zjeżdżaliśmy nad morze tramwajem, który jechał gdzieś z dalekich gór. Koledzy mieli znajome wśród panienek ze szkół, więc na ogół nasza wyprawa zaczynała się od wizyty w internacie i większą już grupą wędrowaliśmy na plażę.

Żołnierze Kompanii Honorowej maszerują na uroczystość, która miała miejsce na cmentarzu Monte Cassino

Przed samym odjazdem musieliśmy oddać nasze letnie umundurowanie i założyć normalne mundury. Jechaliśmy przez Bolzano, Brenner, Monachium, Frankfurt do Calais. Po drodze Amerykanie zorganizowali stacje, gdzie można było się nawet wykąpać, dobrze zjeść i dostać prowiant na dalszą drogę. We Frankfurcie zatrzymaliśmy się w jakiejś restauracji. Widać było nędzę. Na stołach stały pudełka na papierosy dla obsługi. Miałem jeszcze kilka marek, które chciałem wydać. Niestety, dostałem tylko pióro Parkera, ponieważ sklepy były puste.

W Calais załadowano nas na mały stateczek, każąc założyć kamizelki ratunkowe i bezwzględnie siedzieć pod pokładem. W Dover, po długim oczekiwaniu, wsiedliśmy do pociągu, po czterech na przedział. Jechaliśmy przez całą noc. Próbowaliśmy szukać nazw mijanych stacji, by zorientować się w kierunku jazdy. Każda stacja nazywała się Virol (Virol był jakąś odżywką dla dzieci). Brytyjczycy dla zmylenia ewentualnego agresora pozdejmowali wszystkie nazwy miejscowości, nawet drogowskazy poprzestawiali. Około południa wyładowano nas w Maghul koło Liverpoolu.

Zamieszkaliśmy w małych baraczkach; po 32 osoby na barak. Nie było tam żadnych rozrywek, tyle, że mogliśmy za grosze pojechać do Liverpoolu do kina, lub po prostu połazić. Dopiero na początku grudnia pojechaliśmy do Miliom, gdzie przydzielono nam poamerykańskie lotnisko. Mieliśmy dobre, murowane baraki. Obóz był prawie nad samym morzem, w bezpośrednim sąsiedztwie Pojezierza Cambryjskiego słynącego z pięknych widoków.

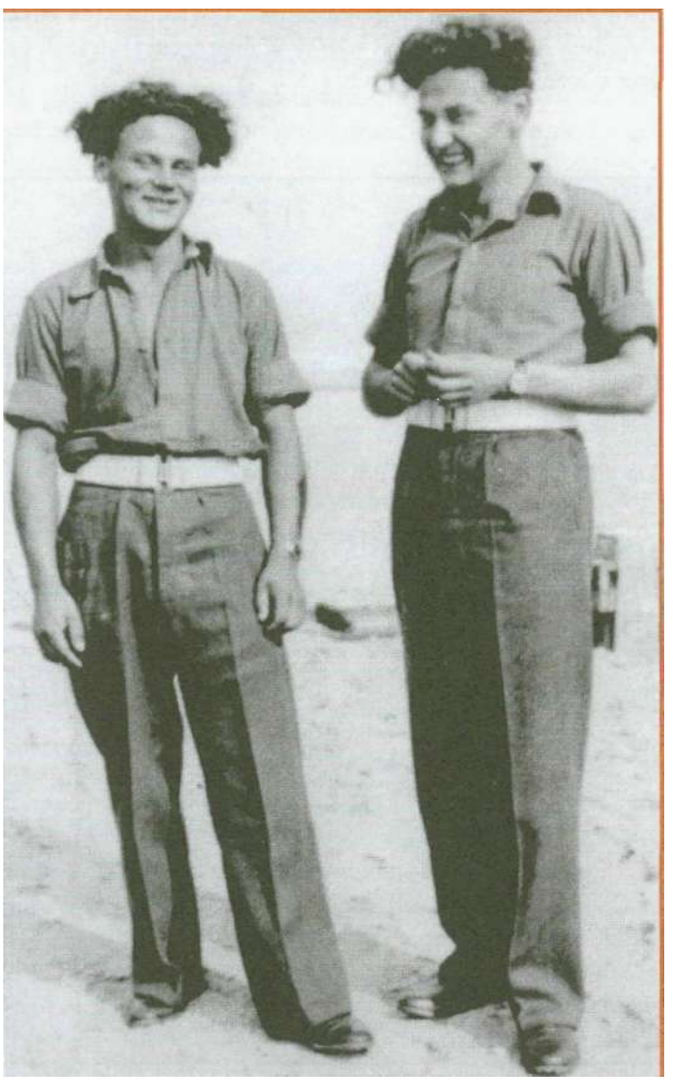

Spotkanie braci w Miliom

Na Boże Narodzenie zaprosiłem do siebie brata Alfonsa. Dostał dwa tygodnie urlopu. On należał do jednostki, która miała za zadanie obronę wschodniego wybrzeża Szkocji. Został wzięty do niewoli przez Amerykanów po inwazji w Normandii. Nie śpieszyli się z oddaniem go pod polską jurysdykcję. Przez dłuższy czas musiał oczyszczać pola minowe i odgruzowywać teren. Po przesłaniu go do polskich jednostek zgłosił się na spadochroniarza, ale wymagania były ponad jego siły. Odwiedził mnie po raz drugi w lecie. Krótko po tym został przesłany w rejon Londynu. Dostał pracę cukiernika.

Krótko po wyjeździe brata musieliśmy podpisać z Rządem Jego Królewskiej Mości dwuletni kontrakt na służbę w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Bez tego nie dawano nam prawa pobytu. Trzeba było wtedy zdecydować - albo powrót do kraju, albo emigracja.

Po podpisaniu kontraktu nasi gospodarze zgodzili się wreszcie na kontynuowanie nauki. Zaczęły przyjeżdżać zorganizowane grupy, które już poprzednio prowadziły naukę. Do nas dołączyła grupa z Anglii, ale nieco cofnięta z programem i stworzono wtedy dwie następne klasy. Podobnie stało się z Liceum Mechanicznym. Przyjechali też uczniowie Liceum Budowlanego, a z nimi Danek. Przyjechali też i chemicy, a z nimi kolega z Tczewa - Norbert Kunert. Po ukończeniu nauki, Kunert osiedlił się w Bury koło Manchester. Otrzymał pracę w fabryce celuloidu i pokrewnych tworzyw. Został tam nawet dyrektorem. Już jako emeryt przeniósł się do Shropshire. W Manchester przez pewien czas pełnił obowiązki prezesa Koła Kombatantów. W ten sposób dwie największe polskie instytucje, Parafia i Koło Kombatantów, były zarządzanie przez tczewian.

W połowie 1947 roku dowiedziałem się, że w Leek jest jeszcze jeden z kolegów, Tadeusz Żur. Nadarzyła się okazja, że krótko po tym, zostałem wydelegowany na zebranie Funduszu Wdów i Sierot w Delamere. Fundusz ten powstał przy II Korpusie z dobrowolnego opodatkowania się żołnierzy. Teraz, kiedy Korpus przestał istnieć, trzeba było postanowić, co zrobić z pieniędzmi. Zebranie trwało krótko, bo nie było odpowiednio przygotowane, więc postanowiłem odwiedzić Tadka. Trafiłem do ich obozu bez trudu. Kolegę też znalazłem od razu. Gorzej było z rozmową. Był on bardzo zaabsorbowany sprawami sercowymi. Znał tam pewną dziewczynę, która wraz z rodzicami nalegała na szybkie zamążpójście. On w obcym kraju, bez dobrej znajomości języka, nie wiedząc czego się łapać, wcale nie miał w głowie ożenku. W końcu jednak, przed upływem dwuletniego kontraktu z PKPR, ożenił się.

Zaskoczeniem dla mnie było, kiedy z wiosną 1947 roku dostałem list od Danki Smoczyńskiej. Pisała, że przyjechała do Anglii jako „cywilna żona" George'a Kelvie. Zapraszała mnie na swój ślub w kościele w Maidstone. George był jeńcem wojennym w Tczewie. Pomogła mu w ucieczce, a on oświadczył się, został przyjęty i sprowadził ją do Anglii. Na ślub nie dano mi przepustki, więc spotkałem ją dopiero w lecie w czasie naszych ferii, po zakończeniu roku szkolnego. Rodzina męża jej nie akceptowała i na tym tle powstawały częste nieporozumienia. Sprawy dopiero się ułożyły, kiedy kupili własny dom. Po śmierci męża zamieszkała w domu opieki. Zmarła na początku 2001 roku.

1 grudnia 1948 roku, zarejestrowałem się na PUCu (Plish University College). Był to eksternistyczny wydział polski uniwersytetu londyńskiego. Po dwóch zmianach mieszkania, w styczniu osiadłem na Earls Court, popularnie przez konduktorów autobusowych zwanym polskim korytarzem. Którejś niedzieli w lutym, zastukała do drzwi gospodyni i zawiadomiła, że ktoś chce się ze mną zobaczyć. Był to mój serdeczny kolega, Franek Muchliński, z którym razem wyjechaliśmy do Hann. Munden. Utrzymywaliśmy stały kontakt, aż do początku 1944 roku, kiedy ślad po nim zaginął. Franek pracował w polskiej sekcji Ministerstwa Obrony przy ewidencji polskiej armii. Ponieważ biura były w Whitley, a żona studiowała w Londynie, spotykali się tylko w weekendy. Ukończył kurs techników dentystycznych. Ich sytuacja materialna uległa poprawie i zamieszkali razem. Wkrótce otworzył pracownię jubilerską. Mieli dwóch synów, z których młodszy jest znanym prawnikiem od spraw wielkich międzynarodowych przedsiębiorstw. Pracuje m.in. jako doradca Unii Europejskiej w Szwajcarii. Franek zmarł w lutym 1981 roku.

Kiedy w 1953 roku kupiłem swój pierwszy dom, któregoś dnia odwiedził mnie jeszcze jeden kolega szkolny, Edmund Wołoszyk. Był w wojsku na terenie Wielkiej Brytanii. Spotkał kilku tczewian, między innymi Strojnego z naszej klasy. Ten musiał dostać się do wojska dosyć wcześnie i kiedy się spotkali był już oficerem. Edek pracował jako mechanik na statkach linii United Baltic. Pływał do Hiszpanii i portów śródziemnomorskich, później także do Gdyni. Podczas jednej z podróży poznał swoją przyszłą żonę. Wracała do kraju po rocznym stażu na londyńskiej placówce. Nie było to szczęśliwe małżeństwo i skończyło się rozwodem. Edek zmarł 18 stycznia 1983 roku i pochowany został na cmentarzu Gunnesbury koło Pomnika Katyńskiego.

Kiedy zamieszkałem w dzielnicy Balham zjawił się u mnie Jan Metelski. Chodziliśmy razem do szkoły powszechnej, ale w gimnazjum był o rok niżej. Ożenił się z tczewianką, którą sprowadził do Londynu. Kupili dom przy tej samej ulicy co ja. Bardzo się udzielał w pracy na terenie polskiej parafii i w lokalnym harcerstwie. Zmarł 3 sierpnia 1993 roku. Brat jego, Bernard, mieszka w Birmingham.

Przez Metelskiego poznałem jeszcze jednego tczewianina, był nim Edmund Kaźmierczak. Podczas wojny został poważnie ranny w kolano. Pracował w londyńskim metro jako kasjer. Zmarł 2 stycznia 2002 roku.

We wczesnych latach 80. nawiązałem kontakt z jednym ze starszych kolegów, Jurkiem Hobottem. Po maturze został przyjęty na uniwersytet w Wilnie. Po agresji sowieckiej, wywieziono go do ZSRR. Po amnestii znalazł się we Władywostoku, skąd przyjechał do Wielkiej Brytanii i wstąpił do marynarki. Został oficerem artylerii na pokładzie polskiego statku. Po wojnie z kolegami założyli Przedsiębiorstwo Transportu Morskiego. Zmarł w 1992 roku.

Wiem, że w Birmingham mieszkali brat i siostra Struczyńscy. Jakimi drogami dostali się do Anglii nie wiem.

Mieszkał w Londynie na Balham Alek Ormańczyk z Tczewskich Łąk. Spotykając się przy kościele rozmawialiśmy, ale nigdy nie spotkaliśmy się w domu. Zmarł w szpitalu w połowie 2001 roku.

Jestem przekonany, że naszych rodaków z Tczewa było więcej w wojsku i poza granicami kraju. To jest tylko mała garstka tych, których spotkałem.

ODZNAKI NOSZONE NA MUNDURZE

na berecie

na wyłogach kołnierza

u góry na rękawach

Krzyż 8 Armii na prawym rękawie

Odznaka Dywizyjna na lewym rękawie

Krzyż Pułkowy na lewej kieszeni

Przedstawiamy czytelnikom obszerne fragmenty pracy Witolda Banackiego (godło „Brzoza 290619"), wyróżnioną w konkursie otwartym na tekst publicystyczny „Szanujmy wspomnienia", rozstrzygniętym 29 października 2002 roku.

WITOLD BANACKI

O naszym ojcu

Przodkowie

Nasz ojciec Józef Banacki pochodził z rodziny, której przodkowie zamieszkiwali od dawna w różnych miejscowościach Warmii i Mazur. Ojciec Józefa, Antoni, urodzony w Kazanicach koło Lubawy, gdy dorósł uczył się kowalstwa w Toruniu. Po skończonej nauce udał się piechotą do Westfalii (Niemcy) pracując po drodze u różnych mistrzów kowalskich w swoim zawodzie. Po pewnym czasie przybył do miasta Dortmund, gdzie rozpoczął pracę w fabryce. Kilka lat później złożył egzamin i został mistrzem kowalskim. W 1898 roku zawarł związek małżeński z panną Julianną Ryńską, która pochodziła z miejscowości Losy koło Lubawy. W roku 1899 urodził się tam, w Dortmundzie, nasz ojciec Józef, a później jeszcze trzech synów. Rodzice Józefa mając na uwadze powrót do Ojczyzny, zaoszczędzili około 7000 marek i za te pieniądze w 1909 roku we wsi Rożental koło Lubawy zbudowali dom mieszkalny i kuźnię. Po powrocie z Westfalii Antoni Banacki objął własną kuźnię, przyjął do pomocy czeladnika i uczniów.

Lata młodzieńcze

Najstarsi synowie musieli w miarę swych możliwości również pomagać w kuźni. Po śniadaniu, przed pójściem do szkoły, Józef i brat Bernard mieli za zadanie odkuć pewną ilość potrzebnych do podkuwania koni specjalnych gwoździ tzw. „hufnali", aby mistrz i czeladnik nie tracili czasu na takie drobne prace.

Po ukończeniu szkoły podstawowej od 1915 do 1918 roku już oficjalnie w kuźni swego ojca Józef uczył się zawodu kowala, po czym przed Komisją Egzaminacyjną przy Izbie Rzemieślniczej w Grudziądzu złożył egzamin na czeladnika w zawodzie kowalskim.

W listopadzie 1918 roku zakończyła się pierwsza wojna światowa, Polska odzyskała niepodległość. Ale dopiero w styczniu 1920 roku na mocy Traktatu Wersalskiego Lubawa i okolice zostały przyłączone do Macierzy.

W 1919 roku na Wschodzie rozpoczęły się walki z bolszewikami, których wojska w lipcu - sierpniu 1920 roku dotarły pod Warszawę, zajęły już Działdowo, zagrażały Toruniowi, a ich patrole konne dwukrotnie wjechały na krótko do Lubawy. W tej sytuacji Józef jako najstarszy syn ochotniczo zgłosił się do Wojska Polskiego i brał udział w wojnie 1920/1921 roku w szeregach 30 Syberyjskiego Pułku Artylerii Polowej.

Po zakończeniu wojny, jeszcze do sierpnia 1922 roku służył w wojsku, kiedy to został zdemobilizowany i przeniesiony do rezerwy w stopniu kaprala. Z rekomendacją swojego dowódcy wojskowego przybył do Tczewa, gdzie jako uczestnik wojny otrzymał pracę w Parowozowni PKP Zajączkowo Tczewskie. Odtąd, od 1922 roku, aż do śmierci mieszkał w Tczewie.

Początkowo pracował jako ślusarz przy remontach parowozów, po pewnym czasie przenósł się do „ruchu". Przechodził różne szkolenia, praktyki, zdał egzaminy i w 1926 roku został pomocnikiem maszynisty II klasy. Mając już zapewnioną stabilizację materialną, w lutym 1927 roku ożenił się z pochodzącą z Lubawy Zofią Wilamowską.

Po dalszych latach służby, 1 lipca 1929 roku został mianowany pomocnikiem maszynisty I klasy, a od 1 maja 1934 roku maszynistą II klasy. W tym roku odbywał ćwiczenia wojskowe w Baonie Silnikowym i awansował do stopnia plutonowego. W pracy otrzymał ósmą grupę zaszeregowania, która upoważniała do noszenia na mundurze kolejowym dystynkcji złotego koloru. W tamtych latach kolejarze nosili na kołnierzach munduru dystynkcje w postaci srebrnych lub złotych kwadracików i pasków, w zależności od grupy zaszeregowania i zajmowanych funkcji. Spotykając się na ulicy oddawali sobie honory salutując jak w wojsku. My dzieci byliśmy zawsze dumni, gdy z ojcem mogliśmy iść przez miasto, a jego koledzy mu salutowali. Był też komendantem Kolejowego Przysposobienia Wojskowego w PKP. Zawsze w przeddzień świąt państwowych 11 listopada i 3 maja, przynosił do domu pas oficerski i szablę, którą czyścił do połysku, by nazajutrz w defiladzie prowadzić oddział kolejarzy z bronią. Zawsze z mamą chodziliśmy oglądać te defilady i naszego ojca.

Był bardzo sumiennym i zdyscyplinowanym pracownikiem. Praca była dla niego rzeczą najważniejszą. Nie mówił: Idę do pracy, lecz do służby. Jako maszynista pracował na zmiany również w niedziele i święta. Bywało, że nie widzieliśmy go przez kilka dni, bo albo w dzień był w pracy i to nie tylko 8 godzin, albo wrócił z nocnej zmiany i w dzień spał gdyż znów na noc miał wyjazd służbowy.

Jako maszynista PKP zarabiał dobrze. Pamiętam, że zawsze gdy otrzymywał premię, lub tzw. „kilometrówkę" za oszczędność węgla i przejechane kilometry, przynosił ciastka i słodycze dla nas dzieci i matki. Alkoholu nie pił, bo nie lubił, ale także dlatego, że zawsze musiał być gotowy do objęcia służby.

Jako maszynista przewoził też tranzytowe pociągi niemieckie przez tzw. „korytarz", to jest z niemieckiego wówczas Malborka przez teren Polski do zachodniej granicy polsko-niemieckiej koło Chojnic i z powrotem. Komunikacja kolejowa między Rzeszą Niemiecką a należącymi do niej Prusami Wschodnimi, zgodnie z umową międzynarodową, odbywała się w ten sposób, że niemieckie pociągi z zaplombowanymi wagonami towarowymi były prowadzone przez polską lokomotywę z polską załogą, a na granicznej stacji w Malborku lub Chojnicach przekazywane Niemcom.

Do tego zadania wybierano maszynistów doświadczonych, sumiennych i znających język niemiecki.

Zadanie specjalne

Niemcy już wcześniej przygotowały się do wojny z Polską. Po aneksji Austrii i Czechosłowacji przyszła kolej na Polskę. W Prusach Wschodnich nie było ciężkiego przemysłu, wobec czego stacjonujące tam, odcięte od Rzeszy, oddziały wojskowe były zaopatrywane w sprzęt i uzbrojenie z Rzeszy m.in. transportem kolejowym z konieczności przez terytorium Polski. Tam, w Prusach Wschodnich, formowała się 3 Armia Niemiecka pod dowództwem gen. von Kuchlera, która 1 września 1939 roku uderzyła stamtąd w kierunku Warszawy.

Wywiad polski był poinformowany, że w tych zaplombowanych wagonach Niemcy przewożą sprzęt wojskowy. Jednak potrzebne były konkretne dane.

Pewnego dnia na początku roku 1938 do mieszkania naszego ojca w Tczewie przybył mężczyzna w cywilu, który przedstawił się jako oficer II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i po krótkiej rozmowie zaproponował wykonanie tajnego zadania:

- W ustalonym dniu w nocy, na umówionym kilometrze drogi między Chojnicami a Tczewem, w ściśle wyznaczonym czasie zatrzyma pan parowóz na czas kilku minut pod pozorem drobnej awarii. Z pomocnikiem będziecie udawali czynności związane z jej usunięciem. Niemiecka załoga pociągu (kierownik i jego pomocnik) niewątpliwie z ciekawości przybiegną do parowozu w celu wyjaśnienia zatrzymania pociągu, co jest czymś niezwykłym, w dotychczasowej praktyce. W tym czasie nasi wywiadowcy, którzy w tym miejscu będą oczekiwać na ten pociąg, rozpłombują drzwi wagonu zrobią zdjęcia fotograficzne tego, co się we wnętrzu znajduje i ponownie po zamknięciu drzwi wagonu i założeniu podrobionych plomb, może pan ruszać w drogę. Zadanie jest tajne i nikt ze współpracowników ani przełożonych o tym nie będzie poinformowany.

Ojciec jako wzorowy pracownik do tego projektu miał początkowo zastrzeżenia, które temu oficerowi przedstawił:

- Otóż parowozy na tej trasie są wyposażone w urządzenie, które na woskowanej papierowej taśmie z podziałką milimetrową rejestrują przebieg jazdy parowozu, tzn. szybkość, miejsce zatrzymania itp. Ponieważ przyjazd do stacji docelowej będzie opóźniony, Niemcy sporządzą protokół i będą się domagać karnych opłat umownych. Jako maszynista odpowiadam za sprawność parowozu, regularność jazdy, to po powrocie do parowozowni i oddaniu dyspozytorowi zaplombowanej taśmy z zapisem jazdy, po jej analizie, czeka mnie nagana, pozbawienie premii, a moja opinia, dotąd wzorowego pracownika, będzie podważona. Po tylu latach nienagannej służby, wyróżnieniach i awansach taka „wpadka"?

Odpowiedź oficera była następująca:

- Tak będzie! Ale to jest rozkaz. Pan jako podoficer rezerwy jest zobowiązany go wykonać!

A więc stało się wszystko jak uzgodniono na tym spotkaniu. I konsekwencje służbowe zostały wyciągnięte zgodnie z regulaminem służby w PKP. Ale niedługo po tym wydarzeniu, 11 listopada 1938 roku z okazji Święta Niepodległości, nasz ojciec został „Zarządzeniem Pana Prezesa Rady Ministrów odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi RP za zasługi w służbie kolejowej". Tak zapisano w zawiadomieniu. Przełożeni ojca w PKP Zajączkowo Tczewskie i koledzy byli nieco zdziwieni, że taki młody został tak wysoko uhonorowany. (...).

Wojna

Ten pamiętny dzień, 1 września 1939 roku, Józef Banacki tak opisał w swoim pamiętniku kilka lat przed śmiercią: *Pierwszego września 1939 pełniłem służbę dyspozytora parowozowni PKP w Zajączkowie Tczewskim z dyspozytorem. Słomkowskim. Rano, wracając do domu, zauważyłem na niebie lecące samoloty. Sądziłem, że są to samoloty polskie. Lecz gdy padły pierwsze bomby na zabudowania dworca kolejowego, przekonałem się, że to nieprzyjaciel. Zabrałem więc z domu najważniejsze rzeczy i udałem się piechotą z powrotem do pracy. Żona moja z dziećmi, w myśl odgórnego zarządzenia, pojechała do Lubomia za Bugiem, gdyż nasz teren jako bliski Gdańska był niebezpieczny w czasie działań wojennych. W miejscu pracy - Zajączkowie staraliśmy się, aby wszystkie parowozy zgodnie z instrukcją wysłać w kierunku Warszawa-Praga. Zabieraliśmy na wagony wiertarki, heblarki i inne ważne urządzenia, a także poufne dokumenty i plany administracyjne, aby Niemcom nie pozostało nic wartościowego. Z Tczewa odjechaliśmy ostatnim pociągiem, kiedy już od strony Miłobądza było słychać strzelaninę. Gdy dojeżdżaliśmy do stacji Sierpce k Warszawy, zaatakowały nas samoloty niemieckie rzucając bomby w środek składu pociągu. Dwa wagony zostały całkowicie zniszczone. Personel uciekł pod krzewy. Nad stacją piloci obniżyli lot strzelając z karabinów maszynowych. Ja sam też zostałem trafiony i upadłem. Zauważyłem, że kilku kolegów zostało ranionych śmiertelnie. Po upadku stwierdziłem, że z prawej nogi uchodziła krew. Mając maskę p-gaz. urwałem paski i przewiązałem nogę powyżej rany, hamując uchodzącą krew. Moi koledzy Jan Elż-*

Józef Banacki jako żołnierz Wojska Polskiego w 1921 roku

kowski i Witold Karsznicki pobiegli po lekarza, który przybył do mnie i stwierdził postrzał prawego i lewego uda. Lekarz założył opatrunek i kazał mnie odtransportować do szpitala. Zostałem załadowany na wóz i tam odwieziony. W szpitalu było duże przepełnienie, wobec czego czekałem na zabieg leżąc na noszach w korytarzu. W pewnej chwili znów nadleciały niemieckie samoloty, które zaczęły bombardować szpital. Personel szpitala i chorzy uciekali w panice. Widząc co się dzieje, że obrywa się sufit i pękają ściany, postanowiłem przesunąć się na łokciach w kierunku piwnicy. Wpadłem tam po schodach i usłyszałem jęki. Po głosie poznałem, że był to znajomy maszynista Lewandowski z Torunia. Lecz sam niezdolny się podnieść nie mogłem przekonać się o tym dokładnie.

Straciłem przytomność. Następnego dnia rano, budząc się z letargu stwierdziłem, że noga jest mocno opuchnięta, wokół mnie ciemno, a podświadomie ogarnąłem się ziemią. Usłyszałem jakieś dźwięki wskazujące, że prowadzone są prace odgruzowujące. Wobec tego zacząłem uderzać jakąś cegłą w rury wodociągowe, które tam w piwnicy przebiegały. Jeden z miejscowych rolników wyciągnął mnie z piwnicy i ułożył na jezdni. Tamtędy przejeżdżał jakiś kapitan WP z żołnierzem. Oni zabrali mnie na pojazd i zawieźli do szpitala w Gostyninie. Lecz i tam już następowała ewakuacja. Kapitan pojechał dalej, a żołnierzowi kazał zaopiekować się mną i dostarczyć do następnego szpitala. Lecz i Bielsk już Niemcy zajęli, wobec czego wojskowe pojazdy sanitarne odtransportowały mnie do Warszawy.

Trudny był wjazd do stolicy. Wszystko tam ciągnęło. Wojsko i cywile. W Warszawie ulokowano mnie w szpitalu św. Ducha przy ulicy Elektoralnej. Po stwierdzeniu mego stanu, zwłaszcza prawej nogi, ordynator orzekł, że noga spuchnięta kilka dni bez opatrunku, i trzeba ją amputować. Byłem w rozpaczy i całą noc nie spałem. Następnego dnia przyszła pani doktor Wolf zatrudniona w tym szpitalu. Po zbadaniu powiedziała, że nie ma obawy i że mnie wyleczy. Pani doktor Wolf na nowo przebiła ranę, oczyściła i opatrzyła należycie stwierdzając, że noga będzie w porządku. Rzeczywiście w krótkim czasie opuchlizna zeszła i coraz lepiej mogłem chodzić.

Po wyjściu ze szpitala w Warszawie spotkałem moich kolegów Gronka i Bigusa. Poczęstowali mnie chlebem i zaprowadzili do Pruszkowa, skąd można było odjechać do Tczewa. Gdy tu przybyłem, koledzy przekazali mi wiadomość, że moja rodzina jeszcze nie wróciła z Lubomia, a w naszym mieszkaniu Niemcy przeprowadzili rewizję. Zauważono, że okna są otwarte, a drzwi rozbite. Sąsiedzi mówili, że szuka mnie policja niemiecka. Nie powinienem wobec tego wracać do mieszkania przy ulicy Gdańskiej.

Udałem się do kolegi Żórańskiego, który mieszkał przy ulicy Pomira. On potwierdził wiadomość o rewizji w naszym mieszkaniu i kazał pozostać u niego. Sam miał mieszkanie składające się z 2 pokoi i kuchni. Tam mieszkałem 14 dni. Wiedząc teraz, że poszukuje mnie gestapo (Geheime Staatspolizei - Tajna Policja Państwowa) nie zgłosiłem się w poprzednim miejscu pracy na kolei, lecz aby zarobić na życie podjąłem pracę przy odbudowie mostu na Wiśle, który został wysadzony 1 września 1939 roku przez saperów polskich.

31 października przybył mój kolega A. Bielicki i powiadomił mnie, że wracają rodziny kolejarzy z ewakuacji. Moja żona z dziećmi znajdują się w Laskowicach i niebawem będą w Tczewie.

Aresztowanie

Rzeczywiście 31 października 1939 roku późnym wieczorem wróciliśmy z ucieczki do Tczewa. Teraz całą 6-osobową rodziną nie mogliśmy mieszkać u kolegi ojca, wobec czego w nocy udaliśmy się do naszego przedwojennego mieszkania, gdzie spędziliśmy noc. Byliśmy szczęśliwi, że ojciec żyje i że jesteśmy wszyscy razem.

Nazajutrz 1 listopada rano rozległo się głośne uderzanie w drzwi. Wtargnęli do mieszkania policjanci niemieccy i jacyś cywile z opaskami na rękawie i z bronią. Policjant odczytał z listy nazwisko i imię naszego ojca, oświadczył mu, że jest aresztowany. Zaraz zaczęli go popychać ku wyjściu na klatkę schodową. Policjant ze zdziwieniem zauważył, że są jeszcze dzieci i kobieta. Na tej liście nie byliśmy wpisani. Po wyjaśnieniu, że jesteśmy rodziną kazali nam też w ciągu 10 minut opuścić mieszkanie i wyjść na ulicę. Ponieważ matka początkowo nie chciała się zastosować do tego rozkazu, policjant przyprowadził ojca ponownie do mieszkania, aby namówił żonę, by ta ubrała dzieci i opuściła mieszkanie, w przeciwnym razie wobec nas użyją siły.

W tym rozgardiaszu, gdy Niemcy chodzili po mieszkaniu, a matka ubierała dzieci, ojciec zabrał jakieś swoje dokumenty osobiste, mnie dał do ręki ten swój Brązowy Krzyż Zasługi RP, abym go schował. Obawiał się, że podczas rewizji osobistej znajdą przy nim to odznaczenie. Nie chciał też zostawić go w mieszkaniu, gdyż znaleziony przez Niemców podczas przeszukania będzie dodatkowym dowodem obciążającym. Ja wsunąłem ten Krzyż Zasługi w wełnianą, zrobioną przez matkę na drutach pończochę, jakie wówczas dzieci nosiły. Odznaczenie wpadło pod stopę i tam i nosiłem je cały czas przez 6 tygodni w obozie w Gniewie, gdzie się w ogóle nie rozbieraliśmy. Także w obozie Riesenburg, kiedy musieliśmy oddać rzeczy do „odwszalni" Krzyż Zasługi tkwił nadal w stopie pończochy, po zwróceniu odzieży również tam go odnalazłem.

Ten Brązowy Krzyż Zasługi RP mogłem ojcu oddać dopiero, kiedy byliśmy w pociągu jadąc na roboty przymusowe do Niemiec. Teraz przechowuje go na pamiątkę po ojcu nasz najmłodszy brat.

Ten kawałek metalu jest częścią i świadectwem historii życia naszego ojca, symbolem jego postawy.

Następnym etapem był obóz internowania w Gniewie, dokąd został przywieziony tego dnia wraz z rodziną.

„Internierungslager Mewe" taka była nazwa według niemieckiego dokumentu urzędowego. O warunkach tam i panujących istnieje kilka relacji drukowanych w prasie lokalnej oraz w „Kociewskim Magazynie Regionalnym".

Obóz istniał od 2 września 1939 do listopada 1940 roku. Mieścił się w piwnicach i salach zniszczonego częściowo zamku, na dziedzińcu koszar i w więzieniu. Przez obóz przeszło około 2000 Polaków (mężczyzn kobiet i dzieci) aresztowanych w Tczewie, Pelplinie Starogardzie Gd. Stamtąd w listopadzie hitlerowcy wywieźli 24 mieszkańców Tczewa do Lasu Szpęgawskiego i tam rozstrzelali.

Straż obozową pełnił Selbstschutz (Akta NTN sygn. 225). Prawie codziennie wyprowadzano mężczyzn do wykonywania poniżających prac w mieście, albo wywożono do innych obozów, np. młodych do Stutthofu, albo jak wyżej wymieniono do Lasu Szpęgawskiego. Nikt nie był pewien czy wróci wieczorem do obozu. Wyprowadzani \ rano, żegnali się z rodzinami.

W połowie grudnia 1939 roku zostaliśmy przeniesieni do obozu Riesenburg (obecnie Prabuty), który został urządzony w blokach byłego szpitala dla umysłowo chorych. Już w drodze z Gniewa rodziny rozdzielono. Mężczyzn wieziono samochodami ciężarowymi, a kobiety z dziećmi autobusami z zamalowanymi białą farbą szybami. Nie wiedzieliśmy czy mężczyzn wywożą w inne miejsce niż nas i ojciec też nie wiedział, czy spotka się jeszcze z rodziną. (...).

Ojciec w swoich wspomnieniach pisał, że komendantem obozu był SS Obersturmbannfuhrer Joseph Mayer. Jego pomocnikami SS Obersturmbannfuhrer Bosch z Gdańska, Untersturmfuhrer Wolf, który chodził po obozie ze szpicrutą, mając u swego boku psa wilka (nazwisko Wolf znaczy wilk). Ojciec skarżył się, że w ich bloku mężczyźni są bici przez SS-owców. Nadzorcą był niejaki Bar, który zawsze przypominał, że kto nie zastosuje się do jego rozkazów będzie surowo ukarany. Drugim był Niemiec nazwiskiem Klemens. Ten w wigilię Bożego Narodzenia powiedział, że chciałby dla nich zrobić coś dobrego. Poszedł do kuchni i po chwili wrócił. Przyniósł suchego chleba i każdemu przydzielił po kawałku.

W styczniu 1940 roku, tam w obozie urodziła się nam siostrzyczka. Nadano jej imię Ewelina. Żyła tylko 10 dni. Została pochowana na cmentarzu w pobliżu obozu. Rodzice i my rodzeństwo z tą małą trumienką zostaliśmy zaprowadzeni pod eskortą wartownika. Ojciec wykopał grób, pochowaliśmy Ewelinkę w obcej ziemi.

W połowie lutego 1940 roku otrzymaliśmy polecenie przygotowania się do wyjazdu. Na podstawie listy wywoływano nazwiskami osoby i rodziny. Pod eskortą SS prowadzono nas w kolumnie do stacji kolejowej, gdzie stał już pociąg, do którego się załadowaliśmy. Cała rodzina była teraz w komplecie. Zostaliśmy poinformowani, że jedziemy do pracy w Niemczech.

Po około dwóch godzinach jazdy przejeżdżaliśmy przez most na Wiśle w Tczewie, który był już prowizorycznie odbudowany. Jadąc przez Tczew (na wysokości obecnego cmentarza i kotłowni Malinowa) z okien wagonu widzieliśmy nasze mieszkanie w domu przy ulicy Gdańskiej, z którego nas wysiedlono 1 września 1939 roku. Mieszkał tam teraz jakiś volksdeutsch, o czym dowiedzieliśmy się jeszcze w obozie. Podróż trwała całą noc. Nad ranem pociąg stanął na stacji. Kazano nam wysiąść z wagonów, wyprowadzono nas przed dworzec. Miejscowość nazywała się Stargard in Pommern. Na placu czekali na siłę roboczą niemieccy gospodarze, przedstawiciele dużych majątków ziemskich i inni którym przydzielono Polaków do pracy. Ojciec i matka otrzymali przydział do pracy u gospodarza dużego gospodarstwa rolnego Ludwigsfrei o nazwisku Paul Jurgens.

Praca przymusowa w Ludwigsfrei

Zabudowania znajdowały się w polu w odległości około 3 km od najbliższej wioski Klein Wachlin (obecnie Warchlino) i 10 km od małego miasteczka Massów (Maszewo). Po przybyciu na miejsce stanęliśmy przed dworem właściciela majątku. Jurgens był wysokim, tęgim mężczyzną. Chodził ubrany w strój myśliwski, spodnie wpuszczone w skarpety-podkolanówki wykonane z grubej wełny. Na głowie nosił kapelusz tyrolski z charakterystycznym „pędzelkiem". W ręku zawsze trzymał nieodłączną grubą laskę. Obejrzał nas z niezadowoleniem i zapytał ojca jaki uprzednio wykonywał zawód. Po odpowiedzi, że był maszynistą parowozu, zwrócił się do matki z ironicznym stwierdzeniem: *A wy pewnie byłyście nauczycielką?*. Matka odpowiedziała, że nie pracowała. Kazał ojcu natychmiast zabrać się do pracy, a matce z dziećmi zająć przydzielone mieszkanie.

Znajdowało się ono w tzw. „czworakach" i nie było w nim żadnych mebli ani sprzętu. Dosłownie „gołe ściany". Pod jedną z nich na podłodze leżało kilka snopów słomy. Przez pierwsze dni pobytu spaliśmy w ubraniach na tej słomie na podłodze. Podczas śniadania kawę piliśmy po kolei z jednej butelki, bo nie mieliśmy nawet kubków. Później ojciec od Jurgensa otrzymał trochę desek, z których sam wykonał stół, ławki i łóżka. Ze starych worków otrzymanych z dworu, matka uszyła sienniki. Rodzice zaczęli wysyłać listy do rodziców i swego rodzeństwa z prośbą o pomoc i przysłanie potrzebnych rzeczy do ubrania i wyposażenia mieszkania. Niebawem zaczęły nadchodzić paczki, a w nich wszystko, co było nam potrzebne. Odzież, obuwie do pracy dla ojca, nakrycia stołowe, pierzyna i trochę gotówki na pierwsze niezbędne wydatki.

Nasz ojciec na początku zarabiał w gotówce 7 fenigów na godzinę. Ale należał się tzw. „deputat", czyli świadczenia w naturze. Z dworu otrzymywaliśmy codziennie mleko, chleb, ziemniaki, warzywa, opał itp. (...).

Ojciec zaprenumerował gazetę „Stargarder Zeitung", skąd czerpaliśmy wiadomości o sytuacji na frontach. Tłumaczył je kolegom nie znającym języka niemieckiego. Zawsze podnosiły nas na duchu i wzniecały nadzieje na rychły koniec wojny komunikaty niemieckiego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu o „planowym wycofaniu i skróceniu frontu przez jednostki niemieckie w rejonie...", co zawsze oznaczało oddanie uprzednio zajętych terenów. Nieuchronnie zbliżał się koniec III Rzeszy.

Po pięciu latach pobytu w Ludwigsfrei wreszcie pojawiła się nadzieja na koniec niewoli. W lutym 1945 roku front walk był już blisko. Wojska radzieckie i polskie przerwały umocnienia Wału Pomorskiego. Zajęte były już miejscowości Drawno, Choszczno, Szczecinek. Trwały walki pod Stargardem Szczecińskim. Niestety, naszą rodzinę znów dotknęło nieszczęście, naszego ojca Niemcy wyznaczyli do grupy, która na tyłach frontu miała budować okopy, schrony itp. Musiał nas zostawić, nie wiedząc czy i kiedy się znów spotkamy. Powiedziano, że za kilka dni wróci do Ludwigsfrei, ale teraz każda godzina niosła zmiany.

W miarę jak front się zbliżał i wojska niemieckie wycofywały się na zachód, to i te brygady robocze również za frontem się cofały. I tak w pobliżu miasta Lubeck nasz ojciec dotarł do strefy, która została zajęta przez wojska brytyjskie. Tam w Wentorf zaraz wstąpił do Związku Polaków w Niemczech, z zamiarem przystąpienia do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Tam z innymi Polakami musieli czekać na zorganizowany powrót do Polski, co nastąpiło dopiero w grudniu 1945 roku. Statkiem zostali przywiezieni do Gdyni.

Powrót i tragiczna wiadomość

o przybyciu do Gdyni, Józef Banacki przyjechał do Tczewa, pełen radości, z nadzieją, że znów zobaczy żonę i dzieci i teraz kiedy wojna się skończyła będzie znów mógł pracować na PKP i żyć szczęśliwie. Nas niestety nie zastał w przedwojennym mieszkaniu. Nikt ze znajomych i sąsiadów nie miał od nas żadnych wiadomości. Udał się więc do swoich teściów Wilamowskich do Lubawy.

6 marca 1945 roku, po trwających trzy dni w naszym rejonie walkach, w trakcie których razem z matką i innymi ukrywaliśmy się w lesie, Rosjanie zajęli między innymi Ludwigsfrei. Jeszcze trwały działania bojowe o leżącą 3 km na zachód najbliższą wieś Klein Wachlin, gdzie bronili się jeszcze Niemcy. Dowódca radzieckiego oddziału wygłosił do nas przemowę, w której oświadczył, że jesteśmy wolni i możemy wracać do Ojczyzny. W tym celu mamy udać się do punktu zbornego w Stargardzie, skąd będą organizowane transporty do Polski. Wobec powyższego cała nasza grupa pracujących w majątku Polaków udała się we wskazanym kierunku.

Na autostradzie, w kierunku Szczecina, stały czołgi, samochody pełne żołnierzy oczekujących na przełamanie oporu Niemców, z którymi tam na przedzie toczył walkę wydzielony oddział. Z konieczności musieliśmy przejść między tym zgrupowaniem wojska, aby wyjść na drogę do Stargardu. W pewnym momencie artyleria niemiecka z Wachlina otworzyła ogień na te oczekujące oddziały. Pocisk moździerzowy rozerwał się w środku naszej grupy wracających z robót Polaków, w wyniku czego nasza matka trafiona odłamkiem w głowę zmarła na miejscu. W obie nogi została ranna również siostra naszej mamy, która w tych dniach też wracając z robót przymusowych chciała jechać razem z nami. Również nasza 8-letnia siostra została trafiona odłamkiem w nogę. Było jeszcze więcej rannych i zabitych wśród nas i żołnierzy. Na plecach wyniosłem siostrę, która nie mogła chodzić, starsza siostra wzięła na ręce najmłodszą 1,5-roczną Irenę, 10-letni brat walizkę z rzeczami małej i udaliśmy się do wioski na wschód czyli za front od tego miejsca. Zaopiekowali się nami państwo Grzesikowie z Tczewa, którzy też byli na robotach przymusowych i kilka dni temu zatrzymali się u nas w Ludwigsfrei. Matka i ciocia zostały tam na polu i do dziś nie wiemy, gdzie są pochowane.

Po wielu trudach, idąc 120 km pieszo z kolumnami wracających do domów byłych robotników przymusowych, więźniów i byłych jeńców wojennych, dotarliśmy do miejscowości Krzyż, skąd pociągiem towarowym przyjechaliśmy do naszych dziadków Wilamowskich w Lubawie. Tam po kilku dniach pobytu rodzeństwo zostało rozdzielone wśród rodzin sióstr naszej matki. O tym nasz ojciec wracając do Tczewa jeszcze nie wiedział.

Dzień przed wigilią Bożego Narodzenia 1945 roku pojechałem do Lubawy, aby tam u dziadków spotkać się z rodzeństwem i razem z nimi spędzić święta. Już nawet wróciła Maria ze szpitala wojskowego, gdzie ją zostawiliśmy w marcu, starsza siostra uczęszczała do Gimnazjum.

Wyszedłem przed dom i zobaczyłem zbliżającego się ojca. Był ubrany w stary wojskowy mundur angielski, na głowie miał czapkę z daszkiem. Podbiegłem do niego, przywitaliśmy się i z radością wprowadziłem go do mieszkania. Kiedy już wszystkie dzieci przywitały się z ojcem, nadszedł moment przekazania mu tragicznych wydarzeń.

Gdy dowiedział się, że żona nie żyje ustąpiła z niego radość spotkania z nami i cały wieczór siedział w milczeniu przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Taki straszny cios dosięgnął go w tym dniu pełnym nadziei, że po tylu latach - „czasów pogardy" nareszcie zacznie się normalne życie. Co jeszcze gorszego mogło spotkać ojca?

Po świętach zebrał nas starsze dzieci i wróciliśmy do Tczewa. Nasze mieszkanie przy ul. Gdańskiej zastaliśmy zupełnie puste.

Ojciec natychmiast podjął pracę w Parowozowni Zajączkowo Tczewskie. Zaproponowano mu awans na stanowisko naczelnika parowozowni PKP na Pomorzu Zachodnim, ale tam było jeszcze niespokojnie i musiałby zostawić nas samych w Tczewie zanim tam załatwi formalności i mieszkanie. Biorąc pod uwagę warunki, w jakich się znajdowaliśmy (bez matki) zmuszony był odmówić przyjęcia tej propozycji.

Było nam bardzo ciężko wtedy na początku 1946 roku. Domem była zmuszona zająć się nasza wówczas niespełna 15-letnia siostra Brygida. Na nią spadły obowiązki przerastające jej siły. Musiała gotować obiady, prać i wychowywać młodsze rodzeństwo.

Zima była mroźna, a my nie mieliśmy w piwnicy ani kawałka węgla lub drewna na opał. Zanim ojciec załatwił formalności związane z przyjęciem do pracy, mieszkaliśmy w nieogrzewanym mieszkaniu. Do gotowania posiłków nasza sąsiadka odstąpiła nam trochę węgla. Ojciec codziennie wracając z pracy przynosił w torbie z Zajączkowa tyle węgla, ile się w niej zmieściło, ale starczało go tylko do ogrzewania w jednym tylko pokoju.

Ojciec, tak jak przed wojną, znów całkowicie poświęcił się pracy. 22 czerwca 1946 roku otrzymał pismo Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych, w którym zawiadomiono, że: *Wobec ponownego zgłoszenia się do służby i udowodnienia, że w dniu 1.IX.39. był etatowym pracownikiem. PKP mianuje go z ważnością od 7. stycznia 1946 maszynistą parowozu I klasy.* Po złożeniu egzaminów w dniach 5, 9 i 10 grudnia 1947 roku z dniem 1 stycznia 1948 roku został mianowany dyspozytorem parowozowni głównej. Komisja Kwalifikacyjna w dniu 15 września 1948 roku przyznała ojcu stopień ogólnej oceny kwalifikacyjnej bardzo dobry. Następnie 11 grudnia 1951 dyrektor O.K.P. mianował go Referendarzem Kolei Państwowych.

W latach późniejszych w PKP Zajączkowo pełnił różne funkcje. W 1952 roku wyznaczony został do czynności inżyniera, w 1956 roku nadano mu stopień inspektora III stopnia służby mechanicznej. Od 1958 roku był kierownikiem Oddziału Trakcji Parowozowni i na tym stanowisku pracował aż do przejścia na emeryturę w 1961 roku.

W sierpniu 1958 roku, gdy dzieci się już usamodzielniły i założyły własne rodziny, zawarł związek małżeński z wdową, siostrą naszej mamy, Franciszką Linowiecką. Z tego związku urodziło się jeszcze troje dzieci.

Po przejściu na emeryturę od września 1963 do lipca 1964 roku pracował na pół etatu jako kontroler sanitarny w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Tczewie, a od tego czasu do 31 października 1974 roku w Spółdzielni Usług i Robót Komunikacyjnych w Tczewie jako rachmistrz, a później kierownik tego zakładu.

W okresie pracy zawodowej i będąc już na emeryturze aktywnie pracował społecznie jakby chciał odrobić stracony czas okresu okupacji. Był członkiem Związku Zawodowego Kolejarzy, w latach 1949-1951 radnym miasta Tczewa. Pełnił funkcję Przewodniczącego Komitetu Rodzicielskiego przy Państwowym Gimnazjum Mechanicznym, gdzie uczyli się jego synowie. Przez cztery lata był ławnikiem Sądu Rejonowego w Tczewie.

Za pracę zawodową i społeczną został oznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi.

Posiadał ogródek działkowy, gdzie w wolnych chwilach z zamiłowaniem pracował. I tam też został wybrany do Zarządu P.O.D. jako sekretarz, a później zastępca przewodniczącego. Za tę działalność przyznano mu Odznakę Działkowca III stopnia.

Po trudach życia, w 1975 roku dopadła go ciężka choroba żołądka, poddany dwukrotnie skomplikowanej operacji żył jeszcze dwa lata. W nocy 26 października 1977 roku zmarł nagle i cicho, nikogo nie wzywając w tej ostatniej chwili.

Nowe teksty kociewskie

W końcu maja br. podsumowano po raz pierwszy ogłoszony konkurs na nowe teksty kociewskie. Organizatorem jego był Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Świeciu, przy współudziale Starostwa Powiatowego i Urzędu Miejskiego w Świeciu.

Celem konkursu było spopularyzowanie kultury kociewskiej, a przede wszystkim wzbogacenie piśmiennictwa regionalnego. Konkurs przeznaczony dla mieszkańców powiatu świeckiego, czyli południowego Kociewia przewidywał udział uczestników według poszczególnych kategorii wiekowych i był przeznaczony dla debiutantów. Głównymi kryteriami oceny była poprawność gwarowa i oryginalność tekstów.

W konkursie wzięło udział 17 autorów z następujących miejscowości: Drzycim, Gruczno, Nowe, Rychława, Świecie i Wielki Komórsk.

Powołane przez organizatora jury w składzie:

– Maria Pająkowska-Kensik, prof. ze Świecia – przewodnicząca,

– ks. Franciszek Kamecki z Gruczna,

– Jerzy Cherek ze Starogardu Gdańskiego,

– Roman Landowski z Czarnej Wody

po zapoznaniu się z 31 nadesłanymi pracami postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

• W KATEGORII DOROSŁYCH:

I miejsce **Marlenie Zakrzewskiej** z Drzycimia (godło: znak graficzny szyszki),

II miejsce **Mirosławie Danielewicz** z Wielkiego Komórska (godło: „Daniel"),

wyróżnienie **Apolonii Prętkiej** z Gruczna (godło: „Papla");

• W KATEGORII SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH

I miejsce **Annie Kleszewskiej** ze Świecia (godło: „Gzubek"), 17 lat;

• W KATEGORII SZKÓŁ PODSTAWOWYCH

wyróżnienie **Paulinie Manys** z Gruczna (godło: „Pina"), 13 lat.

Jury podkreśliło różnorodność tekstów, a były to głównie gawędy i scenki nawiązujące do ludowej stylistyki z dużą dozą charakterystycznego humoru. Szczególną cechą plonu konkursu był w większości przypadków prawidłowy przekaz kociewskiej mowy z użyciem wielu archaizmów. Prostota języka i wyrazistość formy nagrodzonych utworów tworzyły harmonijną całość w przedstawieniu realiów życia codziennego. Komisja wyraziła nadzieję, że zgromadzone teksty będą dobrze służyć edukacji regionalnej w szkołach powiatu. Jednocześnie zachęciła organizatora, by ten cenny pomysł konkursu był kontynuowany corocznie i objął zasięgiem cały region.

Marlena Zakrzewska

A wszisko bez tygo brojóna

Jezdóm Agniszka, mniszkóm wew Drzycimniu w śweckam powjicie. Aniołam żam nie je, nó niewidarzóna tyż nie jezdóm.

Nó mój brat, to je dopjiro czort, łón bi wóm pokazał, co łumni. Łón je moja najwjanksza bolónczka, bo wjita jak to zez knapam je, same termedyje. Uż wew pjeluchach durch riczał, ji dar sia jak łoparzóny, kedy puścił sia maminy fereti.

Tera to uż dobrze je, bo nasz knap do szkoły lata. Nó szkólne tyż ni majó z nim letko. Uż wew pjirszy klasie nie łobiło sie bez draki, bo łón łodstawjił taka heca.

Raz prziszed do dóm ji riczy, że dostał „pała". Mówja mu:

– Nie ricz, nałuczisz sia, to jó poprawjisz ji bandzie fertich. Dóm ci bómbómków.

Nasz knap pogłówkował chwjiła ji wzión sia żwawo do roboti, zara po maltychu. Robota mu coś nie szła ji zmarachowany, nó łucieszóny poszed spać.

A wew szkole uż na mnie czykali, zara z rana szkólna pokazuje mnia jigo kajet, a w niem „pała" poprawjóna na czwórka, jeno jenna laska zdziebko wiskrobana, no dziury wew kajicie nie biło. Ji wjita, co ten łobsmarkaniec nóm powjedział, że mu za bardzo nie wiszło, bo to pjirszy raz ji ni ma eszcze wprawi. Drugu razu bandzie lepji.

Szkólna dopjiro sia zjadowjiła, górz jó taky wzión, że sie łuspokojić kobjita ni mogła. Uż po maltychu biła dóma, a łojciec czykał zez pydu. Dało smary, żeby sie gzub cygaństwa łoducził. Pomogło, nó na krótko.

Take to cianżke życie móm zez tym knapam, że kedyś w głowa dostana. Nó ni banda łóbolywać ji ranków nie załamuja. Może eszcze z niygo chłop na placki wyrośnie. Zresztu wi tyż ni mata letko ji co ja wóm banda łepetyna zaprzóntać. Toć bez syrca bym musiała być.

Pewno myślita, że to wszisko bajdy, że to wszisko scyganiłóm, nó chceta wjerzta, chceta nie wjerzta, powjedziałóm wóm szczyra prawda.

Anna Kleszewska

Wiosenne porzóndki

Wiosnę u mnie wew chałupsie czuć w powjetrzu eszczy przed 21 marca. Kedy zamiast drożdżaka z pieca wycióngam klicz - to nieomylny cech, że eszczy troche i moja familia, od trzech pokoleń Kociywiaki, zacznó planować wiosenne porzóndki.

Durcham w ten czas mamuś, jak rajter baba myje łokna, wrzeszczane, że mietły sie jeno kurzó, a my nic, tata tyż zawszy porezynuje i wylezie na dwór do swojej roboty, a ja i moja siostra co? Sprzóntamy w pokojach na glanc i dalejży wew świat, do lólkil Wolim zwyczajnie wykrańcić sie od reszty roboty. Mamie lepij nie wadzić pod nogami, gdy gniewna, bo można łoberwać teptuchem po łbie albo podknóńć sie o jakaś ruczka i giry se połamać. Tyle tylko, żeby bedy zmienić, koty z podłogi zmyć i ewentualnie korytarz zmieść i wej do dziadków! Tamój jest świanty spokój.

Jeno tylko słonko mocnij zagrzyje, lólek bierzy rower miandzy nogi i daje na działke! Co rok krzaczory przycina i sieje nowalijki, a my uż w końcu kwietnia mamy stać w wazonie żonkile i tulipany oraz świrzó sałatę i radyski na chleb.

Tygo roku było ździebko inaczy. Kuzyn z wujkam odmaloweli wystawka na działce i teraz wszitko wyglónda dycht czysto, a nie jak stara kanciapa. Jeno, że nachlapali się niemiłosiernie! Na Przemka prawie nie starczyło rozpuszczalnika, bo farbó uzyzał nie tylko buksy, ale tyż renki, gilón, a nawet klatry.

Po malowaniu zjedlim z lólkami maltych. Knapy, co przyśli z nami, zaczarapili babusia rower i zniknęli. Wujek z Przemkam tyż gdzieś wsiónkli, a ciocia, babcia i ja wytutkaliśmy po dwa kawy i poplotkowaliśmy o wszitkim, co sie wkoło wyprawia...

Goróncy łokres uskrómniania jak zawdy zakóńczyli uroczyste psioczenia, że te gzuby do pracy sie nie garnó, jano rezynujó i na plachandry biegajó. Inaczy było tylko bezto, że ja żem tych klaftów nie wzięła do serca. Stwierdziłom, że nie ma co sie ksykać, jeno poczekać, aż to wiosenne przesilenie pójdzie weg.

Ponad rok trwały konsultacje dziesiątków projektów, nadesłanych do redakcji „Dziennika Bałtyckiego", która zainicjowała akcję „Wymyśl herb dla Kociewia". Projekty były różne - lepsze i mniej udane. Najtrafniejsze propozycje zostały zaprezentowane na ubiegłorocznym Święcie Kociewia w Skórczu. Ostatecznymi ustaleniami zajęła się Federacja Stowarzyszeń i Związków „Kociewska Więźba", która na Zjeździe Kociewiaków w Szpęgawsku przedstawiła trzy końcowe propozycje. Na Walnym Zgromadzeniu Federacji przyjęto tę jedyną, dziś już obowiązującą.

Na trójkolorowej tarczy herbowej figuruje gryf, godło całego Pomorza. Ale ten gryf, starożytny strażnik skarbów, ów lwi orzeł lub

orli lew jest dla Kociewia szczególny. Jest to stylizowany gryf Sambora II, księcia tczewsko-lubiszewskiego, za którego przyczyną (a raczej jego małżonki Mechtyldy) godło to zostało sprowadzone z Meklemburgii. Wówczas, w XIII wieku, gryf na tarczach rycerskich księcia był pierwszym tego rodzaju godłem w dziejach Pomorza Gdańskiego. Gryf jest czerwony, w kolorze tożsamym dla znaku Pomorza. Świadczy to o nierozerwalnej spójni Kociewia z tą historyczną dzielnicą Polski.

Omówienia wymaga podział i symbolika tarczy.

Z Kociewiem kojarzą się trzy powiaty, od których przyjęto określenia poszczególnych części regionu - Kociewie starogardzkie, świeckie i tczewskie. Dlatego tarcza jest trójdzielna.

Natomiast idea kolorystyczna jest wspólna dla całego Kociewia. Barwa żółta, bądź złota - jak widzieliby to niektórzy - symbolizuje bogactwo. Ściślej ów kolor można odnieść do udziału w regionie rolnictwa - łanów dojrzewających zbóż. Zielony kolor

określa lasy, których na Kociewiu jest sporo, bowiem region już leży częściowo na obrzeżu Borów Tucholskich. Trzeci kolor, niebieski, to symbol czystego powietrza i wody, bowiem jezior też sporo tutaj występuje.

Przypomnijmy jeszcze, że geofizyczną granicą wschodnią regionu jest Wisła, a przez Kociewie przepływają trzy jej ważne i urokliwe dopływy: Wierzyca, Wda zwana też Czarną Wodą i Mątawa.

I tak należy rozumieć herb Kociewia.

Począwszy od tego numeru będziemy tym znakiem sygnować winietę naszego kwartalnika.

CZARNA WODA
GNIEW
NOWE
PELPLIN
SKARSZEWY
SKÓRCZ
STAROGARD GD.
ŚWIECIE
TCZEW

BOBOWO
BUKOWIEC
DRAGACZ
DRZYCIM
JEŻEWO
KALISKA
LINIEWO
LNIANO
LUBICHOWO
MORZESZCZYN
OSIE
OSIECZNA
OSIEK
SMĘTOWO
STARA KISZEWA
SUBKOWY
ŚLIWICE
TRĄBKI WIELKIE
WARLUBIE
ZBLEWO

W następnym numerze
między innymi:

- **Piaseckie muzeum historii ruchu ludowego** Jana Ejankowskiego
- **Archiwalia na wystawie** Grzegorza Walkowskiego
- **Z doświadczeń nauczycieli regionalistów**
- **Haft kociewski ożywiony przez Bożenę Ronowską** Zygmunta Bukowskiego i Romana Landowskiego
- **Zaduszkowe refleksje** Adama Murawskiego
- **Klęski elementarne na Pomorzu w świetle Kroniki Pelplińskiej** Joanny Karczewskiej
- **Raport z wandrów** Joanny Kończewskiej

Fot. Jan Przychodzeń